

Anne Herries

Odnaleziony

Rozdział pierwszy

Kathryn stała na szczycie skały, patrząc na wzburzone fale, które z hukiem waliły o głazy. Wiatr rozwiewał jej włosy i szarpał ciężką peleryną. Spojrzała w dal, na odległą linię widnokregu, i odruchowo powróciła myślami do czasów dzieciństwa - do dnia, w którym przyjaciel i towarzysz zabaw ocalił jej życie. Oddalili się z domu bez zgody obu ojców. Powodowała nimi natrętna ciekawość - bardzo chcieli zobaczyć tajemniczy statek, który niespodziewanie pojawił się w zatoce. To zakończyło się katastrofą.

Kathryn wierzchem dłoni otarła łzy z policzków. Nie chciała dłużej płakać. Dickon odszedł na zawsze; od niej, od rodziny, porwany przez piratów, którzy zawinęli tutaj w poszukiwaniu żywności i słodkiej wody. Chyba niektórzy rybacy od dawna prowadzili pokątny handel z rabusiami, grabiącymi wody Morza Śródziemnego. Najzuchwalsi z piratów docierali nawet do brzegów Anglii i Kornwalii. Kathryn szczerze żałowała swojego nieposłuszeństwa. Przecież to ona uparła się na tę niebezpieczną eskapadę.

Zeszli na brzeg i, niczego nie podejrzewając, nagle znaleźli się w samym środku bandy. Był wśród nich pewien rybak, znany hultaj, który później na zawsze uciekł ze wsi. Na pewno zdawał sobie sprawę, że Kathryn nie będzie milczeć. Udało się jej umknąć, lecz ukochany Dickon miał mniej szczęścia. Popchnął ją w plecy i kazał jak najszybciej biec w stronę skalnego klifu. Sam rzucił się na bandytów, którzy usiłowali ją zatrzymać. Walczył z nimi naprawdę dzielnie, ale ich było dużo więcej... Kathryn zatrzymała się na skraju skały i spojrzała za siebie. Zobaczyła odbijającą od brzegu szalupę. Dickon leżał na ławce, chyba nieprzytomny.

Co sił w nogach pobiegła do ojca. Opowiedziała mu o zdradzie i porwaniu. Oddział zbrojnych natychmiast wyruszył na plażę, ale ani na brzegu, ani na morzu nikogo nie było. Ani śladu okrętu. Dickon miał zaledwie dwanaście lat, kiedy go porwano. Kathryn dobrze wiedziała, że zostanie sprzedany jako niewolnik gdzieś na Wschodzie. Pewnie będzie pracował w kuchni jakiegoś wschodniego satrapy. A może nie... Jeśli wyrośnie na silnego mężczyznę, zapędzą go na galery, do wiosł.

Znowu otarła łzy. Dickon był jej najlepszym przyjacielem i powiernikiem. Znalazła w nim pokrewną duszę. Chociaż ich rodziny mieszkały daleko od siebie, zawsze udawało im się spotkać. Kathryn przypuszczała, że ojcowie zechcą ich w końcu wyswatać. Oczywiście do tego nie doszło. Niedługo będzie obchodzić dwudzieste piąte urodziny i ojciec zaczął rozmyślać o jej małżeństwie. Zabrakło

jednak Richarda Mountfitcheta - Dickona. Serce Kathryn wciąż do niego należało.

- Dickon... - szepnęła.

Jej słowo uleciało poniesione wiatrem i utonęło w krzyku mew, szybujących nad skalistym brzegiem.

- Wybacz mi. Nie wiedziałam, że tak to się skończy. Nie wiedziałam, że nawet w dzisiejszych czasach świat nadal pełen jest groźnych, niebezpiecznych ludzi. Tęsknię za tobą. Zawsze będę cię kochać.

Minęło piętnaście lat od tamtej przygody. W każdą rocznicę Kathryn stawiała na wysokim brzegu z nadzieją, że ujrzy ukochanego. Modliła się za jego szczęśliwy powrót do niej i do rodziny. Wiedziała jednak, że to niemożliwe. Jak miał wrócić? Ich ojcowie wysłali swoich ludzi nawet na targ niewolników do Algieru. Skontaktowali się z przyjaciółmi na Cyprze, w Wenecji i Konstantynopolu, czyli w mieście, które tureccy władcy nazwali Stambułem. Wśród chrześcijan nadal nosiło dawną nazwę. Turcy i chrześcijanie toczyli ciągłe walki. Różnice wiary i poglądów utrudniały poszukiwania chłopca na terenie imperium osmańskiego. Sułtan Selim II wciąż myślał o podbojach i zarzekał się, że pewnego dnia stanie nawet u bram Rzymu. Znalazł się jednak pewien człowiek, który chciał pomóc zrozpaczonym rodzinom. Nazywał się Sulejman Bakhar.

Sulejman był żonaty z Angielką. Mądry i wykształcony, wciąż podróżował, chcąc zobaczyć kraje leżące z daleka od granic imperium. Miał nadzieję, że w pewien sposób przy-

czyni się do zrozumienia racji innych narodów. Niczego nie pragnął w życiu tak jak pokoju.

Kathryn słyszała, że Sulejman ponownie przybył do Anglii. Obiecał, że popyta w swoim kraju, co się stało z młodym Mountfitchetem. Jak dotąd nie miał żadnych dobrych wieści. Sir John Rowlands i lord Mountfitchet pojechali do Londynu, żeby się z nim spotkać i pomówić. Oczywiście były też inne sprawy, o których Kathryn nie miała pojęcia. Zamierzali wrócić właśnie dzisiaj. Skierowała się w stronę pięknego starego dworu. Kiedyś przypominał niewielką fortecę, przygotowaną do odparcia napadu od strony morza. Teraz, w o wiele spokojniejszych czasach panowania królowej Elżbiety, dawna forteca stała się domem. Ojciec postarał się, żeby jego bliskim nie zabrakło niezbędnych wygód.

Kathryn weszła na dziedziniec. Niemal od razu spostrzegła podróżną karete, stojącą przed bramą. Zaczęła biec. Serce waliło jej jak oszałałe. Może tym razem dowiem się czegoś o Dickonie, pomyślała.

Lorenzo Santorini stał na schodach swojego pałacu. Przed nim rozpościerały się wody Canale Grande, a dookoła wyrastały mury i mosty cudownej Wenecji. Przed stu laty miasto prowadziło otwarty handel ze światem muzułmańskim i w krótkim czasie stało się największą morską potęgą chrześcijańskiej Europy. To właśnie stąd słynny Marco Polo wyruszył na swoją wiekopomną wyprawę, która zawiodła go aż na dwór Kubiłaj Chana. Niestety, tureckie

najazdy i ciągłe wojny spowodowały, że znaczenie Republiki Weneckiej z wolna zaczęło upadać.

Mimo to weneckie galery nadal były uważane za jedne z najlepszych jednostek pływających na świecie. Flota republiki sama w sobie stanowiła potężną siłę. Zamożni kupcy mieli ogromne wpływy; Lorenzo Santorini należał do najbogatszych. Jego okręty niczym strzały mknęły po powierzchni morza, a załogi - wśród których nie było niewolników - potrafiły równie dobrze walczyć, jak żeglować.

Lorenzo ze zmarszczonymi brwiami przypatrywał się galerze, która zmierzała do pomostu, wychodzącego w wodę spod murów pałacu. Należała do konwoju, ochraniającego znacznie cięższe statki handlowe. Wiadomo było, że jeden z frachtowców wkrótce wraca z tradycyjnej wyprawy na Cypr po świeży zapas wina. Galera nosiła wyraźne ślady ciężkiej potyczki, to znaczy, że została zaatakowana przez Turków lub piratów berberyjskich.

- Witaj w porcie, Michaelu - odezwał się Lorenzo na widok schodzącego po trapie kapitana. Wyciągnął rękę i pomógł mu przeskoczyć na schody pałacu. - Chyba miałeś kłopoty? To znowu Raszid?

- Jak zwykle Raszid - odparł z uśmiechem Michael dei Ignacio. - Ten łotr nienawidzi nas z całego serca. Na szczęście odpłynąłem z Cypru z trzema innymi okrętami i twoim statkiem, przewożącym wino. Straciliśmy jedną galere, ale transport dotarł bezpiecznie do miejsca przeznaczenia. Płynie jakąś godzinę za nami pod eskortą dwóch pozosta-

łych galer. Kazałem swoim ludziom wiosłować trochę szybciej, bo mam na pokładzie kilku rannych.

- Medyk się nimi zajmie - z marsową miną odpowiedział Lorenzo. - Wszystkim trzeba wypłacić stosowne odszkodowanie. - Jego żeglarze pobierali sowite wynagrodzenie za swoją pracę. Żaden z nich nie siedział przykuty łańcuchem do wiosła, jak to się nagminnie zdarzało na innych jednostkach. Berberyjscy piraci byli plagą całego Morza Śródziemnego, od Adriatyku po Atlantyk. Nie podlegali praktycznie nikomu, lecz stanowili własne prawa, chociaż zdarzało się, że niektórzy z nich płacili daninę władcy imperium osmańskiego.

- Dopilnuję tego - obiecał Michael.

Lorenzo był sprawiedliwym panem, choć dla wielu swoich ludzi stanowił zagadkę. Praktycznie nikt o nim nic nie wiedział. Nawet Michael słyszał jedynie, że jego pryncypał i przyjaciel przed laty został adoptowany przez człowieka, którego nazwisko dzisiaj nosił. I to wszystko.

- Wiem. Mogę być spokojny - odparł Lorenzo.

Miał oczy koloru fiołków, ciemne i nieprzeniknione jak jego myśli. Włosy, złote niczym pszenica, pobiełały na końcach od palącego słońca. Zawsze nosił je dłuższe, niż wymagały tego kanony najnowszej mody.

- Jutro jadę do Rzymu. Wezwano mnie na naradę, dotyczącą właśnie walki z piratami - powiedział z lekkim grymasem. Do piratów zaliczał także Turków, którzy ostatnio sprawiali niezliczone kłopoty wszystkim weneckim kupcom. Domagali się nawet wyjęcia Cypru spod władzy

dożów. Wenecjanie byli oburzeni. - Wiele się mówi o otwartej wojnie przeciwko Selimowi. Nie możemy pozwolić, żeby jego wojska zajęły całą Europę. Cesarz liczy przede wszystkim na pomoc Hiszpanii i innych państw sprzymierzonych.

Michael pokiwał głową. Należąca do jego przyjaciela flota liczyła dwadzieścia bojowych galer i cztery frachtowce. Nie ulegało nawet najmniejszej wątpliwości, że koalicja wymierzona przeciw Turkom chętnie skorzysta z pomocy. Uważano wręcz, że klęska imperium osmańskiego zniszczy także potęgę piratów berberyjskich.

- Ranni muszą odpocząć. - Michael pokiwał głową. - Schwytałismy także jednego z wioślarzy Raszida. Wciąż przykuty do wiosła, dryfował bezwładnie wśród szczątków zatopionego przez nas okrętu. Zobaczymy, co powie nam o swoim panu...

- Zabraniam go torturować - pospiesznie wtrącił Lorenzo. - Nieważne, czy jest Turkiem, czy potencjalnym wrogiem. Traktujcie go po ludzku. Jeśli zechce nam pomóc, możesz mu zaproponować miejsce w mojej flocie. A jeżeli odmówi, niech wraca do rodziny; rzecz jasna, za okupem.

Lorenzo odruchowo potarł szeroką skórzaną opaskę, którą miał na nadgarstku. Jego oczy stały się mroczne i nieodgadnione jak wody Morza Śródziemnego.

- Wątpię, żeby był Turkiem - powiedział Michael. - Nic nie mówi, chociaż na pewno rozumiał rozkazy swoich panów. Chyba także zna kilka słów po francusku i trochę po angielsku.

Lorenzo przez dłuższą chwilę przypatrywał mu się w milczeniu.

- Nie zróbcie mu krzywdy - polecił. - Sam się z nim rozmówię po powrocie z Rzymu. A ty, przyjacielu, odpocznij i naciesz się rodziną. Zasłużyłeś na parę dni urlopu. Zobaczymy się, gdy przyjadę.

- Jak rozkażesz - odparł z uśmiechem Michael.

Lorenzo wszedł do czekającej na niego gondoli i odpłynął w stronę swojej prywatnej galery, zakotwiczonej w głębi laguny. Michael przez chwilę spoglądał za nim. Dlaczego Lorenzo chciał sam przesłuchać jeńca? Nowa zagadka... Michael nie zamierzał złamać rozkazów. Sam pochodził z dobrego rodu, ale szanował Lorenza. To dobry i uczciwy człowiek, chociaż od swoich ludzi wymagał posłuchu.

Zamyślony Lorenzo wszedł na pokład galery. To był flagowy okręt jego floty, najszybszy i najnowszy, o trzech wielkich żaglach, z których korzystano przy sprzyjających wiatrach. Dzięki temu wioślarze mogli nieco odpocząć. Galery okazały się szybsze i zwrotniejsze od ciężkich galeonów, szczególnie ulubionych przez Hiszpanów. Nawet mniejsze stateczki angielskich kupców, którzy coraz śmieiej wpływali na wody Morza Śródziemnego, nie mogły się równać z galera Santorinich. Tureccy żeglarze raczej go omijali. Już z daleka wiedzieli, z kim mają do czynienia.

Bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem był Raszid Groźny, okrutnik, który w zupełności zasłużył na to miano. Nieszczęśliwi wioślarze, zakuci w kajdany na jego okrę-

tach, z rzadka wytrzymywali dłużej niż trzy lata ustawicznej katorgi.

Lorenzo przymknął oczy. Wciąż pamiętał człowieka, który cudem wydostał się z niewoli Raszida. Poprzysiągł sobie wtedy, że nie spocznie, dopóki nie zobaczy pirata na stryczku lub przebitego szpadą. Powtórzył to przyrzeczenie, klęcząc przy łożu śmierci przybranego ojca. Wiedział, że go dotrzyma.

Żałował tylko, że jedna galera przepadła w ostatniej walce z piratami. Zginęło kilku żeglarzy, chociaż Michael na pewno wyciągnął z wody wielu rozbitków. Wprawdzie Raszid też stracił okręty i ludzi, ale dla niego życie ludzkie było bardzo tanie. W każdej chwili mógł kupić nowych wioślarzy na targu niewolników w Algierze lub najechać jedną z wysp Morza Egejskiego i porwać stamtąd mężczyzn, kobiety i dzieci. Mężczyźni pójdą na galery, reszta zaś - jako niewolnicy - do domów bogaczy. Cały chrześcijański świat potępiał ten proceder.

Ciekawe, co usłyszę w Rzymie, pomyślał Lorenzo. Od dawna czekał na okazję, żeby przyłączyć się do walki. Raszid płacił daninę tureckiemu władcy, w zamian sułtan przemykał oko na jego wyczyny. Mógł rabować i palić do woli. A gdyby tak ukrećić łeb tureckiej hydrze... Dużo łatwiej byłoby pokonać okrutnych piratów.

Zresztą nieważne, co się tak naprawdę stanie, uznał Lorenzo. Jeśli zajdzie potrzeba, sam wedrę się do twierdzy wroga i zabiję człowieka, którego nienawidzę.

- Jak dobrze cię znowu widzieć, panie! - Kathryn cmoknęła gościa w policzek.

Lord Mountfitchet był dla niej niczym ojciec i z utęsknieniem czekała na jego wizytę. Od czasu porwania syna trochę rzadziej odwiedzał dwór przyjaciół.

- Spotkałeś się z tym człowiekiem? Z Sulejmanem Bakharem?

- Tak, rozmawiałem z nim nawet bardzo długo - z głębokim westchnieniem odparł lord Mountfitchet. - Niestety, wciąż nie ma żadnych wiadomości. Sulejman zasięgał języka w wielu miejscach, a jak zapewne wiesz, jego wpływy sięgają daleko w głąb muzułmańskiego świata. Mimo wszystko nie traci nadziei... Chociaż sam powiada, że rzadko się zdarza, aby ktoś tak długo wytrzymał na gale-
rach. Wszystko zależy od tego, gdzie Richard trafił. Jeżeli sprzedano go jakiemuś bogaczowi, to bardzo trudno będzie go odnaleźć.

- Módlmy się, żeby tak było - odezwał się ojciec Kathryn - bo inaczej...

Miał niewyraźną minę. Jego zdaniem, młody Richard Mountfitchet już dawno w cierpieniach zszedł z tego świata. Nie dziwił się jednak przyjacielowi, że nie ustaje w poszukiwaniach. Gdyby chodziło o jego syna, albo, uchowaj Boże, o Kathryn, na pewno postąpiłby w ten sam sposób.

- Nie wierzę w śmierć Dickona - powiedziała Kathryn.
- Musimy go nadal szukać, panie.

- Oczywiście. Masz rację. - Lord Mountfitchet uśmiechnął się do Kathryn. Pomyślał, że wyrosła na piękność. Miała

zielone oczy i kasztanowe włosy, a jej słodkie usta znamionowały łagodną naturę. Po stracie syna stała się dla niego podporą i nadzieją. - Wpadłem do was, żeby się pożegnać. Wkrótce zamierzam wyruszyć do Wenecji i na Cypr. Jak wicie, ostatnio sprowadzam wino z Włoch i z Cypru do naszej starej Anglii. Poszukam Richarda. A może z czasem na stałe osiadę na południu?

- Chciałbyś opuścić Anglię, panie? - Kathryn popatrzyła na niego z zaskoczeniem. Nigdy przedtem o tym nie wspominał. - A co z twoim majątkiem?

- Dom i ziemię mogę zostawić pod opieką rządcy. Może kiedyś zapragnę wrócić. Na razie nie mam tu nic do roboty. W elżbietańskiej Anglii katolicy tacy jak ja i twój ojciec są ludźmi wyraźnie drugiej kategorii. Oczywiście, broń Boże, nie winię za to królowej, ale ona ma swoich doradców i ministrów. Wszyscy się boją, że pewnego dnia wybuchnie rewolta angielskich katolików. Ja się do tego nie mieszam, bo cenię Elżbietę, lecz rzeczywiście nic mnie tu nie trzyma. A jeśli nasz biedny Dickon naprawdę gdzieś żyje, to wolę być bliżej Algieru lub Konstantynopola.

- Będziemy za tobą tęsknić - szepnęła Kathryn. Pomyślała, że już nigdy się nie zobaczą. - Jak nam przekażesz wieści o Dickonie, panie?

- Możesz być pewna, że będę do ciebie pisał - odparł z uśmiechem. - Oprócz tego potrzebny mi ktoś, kto tu, na miejscu, dopilnuje niektórych spraw. Poprosiłem sir Johna, żeby został moim wspólnikiem przy imporcie wina. Był tak dobry, że wyraził zgodę.

Kathryn spojrzała na ojca, który z satysfakcją pokiwał głową.

- Pozostaniemy więc w kontakcie - rzekł.

Lord Mountfitchet z namysłem popatrzył na Kathryn.

- Twój ojciec jest zbyt zajęty, żeby wybrać się ze mną w tę podróż - powiedział. - Ja zaś chciałbym niejako z pierwszej ręki przekazać mu moje wrażenia. Zapropnowałem, abyśmy pojechali razem. Moja siostra, lady Mary Rivers, owdowiała kilka miesięcy temu. Też jest gotowa do odbycia podróży i bez wątpienia bardzo się ucieszy z twojego towarzystwa. Taki ktoś jak ty to dla starszej osoby autentyczna pociecha.

- Wcale nie jesteś starcem, panie!

- Jeszcze nie, ale w końcu wszystkich nas czeka starość. Żyję z Mary w zgodzie, a drugi raz już się nie ożenię. Co prawda, siostra jest przekonana, że po próżnicy szukam Dickona, ale na szczęście trzymają język za zębami i nie próbuje mi się sprzeciwiać. Na pewno weźmie cię pod swoje skrzydła. Chyba że w pewnej chwili spotkasz młodzieńca, którego zechcesz nazwać mężem.

- Och... - Kathryn zerknęła na ojca. Lekki rumieniec zabarwił jej policzki.

- Chciałem ci znaleźć odpowiednią partię, córko - powiedział sir Rowlands - ale lord Mountfitchet ma rację. W Anglii zabrakło miejsca dla katolików. Jeśli poznasz kogoś, kto spełni twe oczekiwania, masz moje pełne błogosławieństwo. Mary i lord Charles otoczą cię opieką nie gorzej od matki i ojca. Mimo to trochę żałuję, że nie mogę poje-

chać z wami, jednak twój brat Philip w przyszłym roku powraca z Oksfordu. Gdybym przypadkiem nadal nie mógł przyjechać do ciebie, wyślę Philipa w moim imieniu. Od dawna marzył o podróżach.

- Wiem. - Kathryn była dumna z brata. - Naprawdę nie pogniewasz się, ojczy, jeśli wyjadę z lordem Mountfitchetem i lady Mary?

- Będzie mi ciebie bardzo brakowało - przyznał sir Rowlands, spoglądając na nią z niekłamana miłością. - Gdyby twoja matka żyła, pewnie dużo wcześniej znalazłaby ci odpowiedniego męża. Zawsze byłem zbyt zajęty. Poza tym to niewiasty powinny decydować o takich rzeczach. Kiedy więc usłyszałem, że lady Mary wybiera się z lordem Charlesem, pomyślałem, że to dla ciebie wspaniała okazja, aby zobaczyć trochę świata. Podejrzewam, że od śmierci matki czułaś się bardzo samotna.

Kathryn uśmiechnęła się, chociaż w głębi ducha przyznała ojcu rację. Owszem, miała przyjaciół, sąsiadów i wiekową nianię, która kochała ją jak matka, ale to wszystko jednak było nie to samo... Brakowało jej rozmów z mamą i wspólnych wieczorów, spędzanych z robótką w rękę. Matka zmarła na gorączkę niecały rok po porwaniu Dickona...

- A dokąd najpierw udamy się, panie? - zapytała, zwracając jasne spojrzenie zielonych oczu na lorda Mountfitcheta.

- Pierwszym przystankiem będzie Londyn - odparł. - Tam dołączycy do nas moja siostra. Potem Dover, a stam-

tań już prosto do Wenecji. Skontaktowałem się z jednym z tamtejszych kupców. To bogaty i wpływowy człowiek. Od trzech lat kupuję u niego przednie wino. Właśnie on doradził mi, żebym rozszerzył interesy. Chcę się z nim spotkać przed dalszą podróżą, chociaż podejrzewam, że na Cyprze będzie mi lepiej niż w Italii. Mógłbym założyć tam własną winnicę...

- Mogę przemyśleć tę propozycję? - zapytała Kathryn.
- Rano dam ci ostateczną odpowiedź, panie.

- Oczywiście. Wiem, że to bardzo poważna decyzja. Jeśli wyjedziesz, to przez wiele długich miesięcy nie zobaczysz rodzinnego domu.

- Prawdę mówiąc, już wiem, co powiem, lecz mimo wszystko wolę z tym poczekać. Zatem... za waszym pozwoleniem, dostojni panowie, teraz was opuszczę. Mam jeszcze sporo rzeczy do zrobienia.

- Do jutra, moja droga. - Lord Mounthtchet ukłonił się na pożegnanie.

- To dobra dziewczyna - powiedział sir John Rowlands, kiedy drzwi zamknęły się za jego córką. Znow westchnął.
- Tak naprawdę, to nigdy nie zapomniała o Dickonie. Wciąż go wspomina. Chyba zawarli pakt w dzieciństwie, lecz ona nie chce o tym zbyt wiele mówić. Obawiam się, że nie wyjdzie za mąż, póki nie będzie miała wyraźnych dowodów, że Dickona nie ma na tym świecie.

- Nie powinna tak robić. Zmarnuje sobie życie - odparł lord Mountfitchet. - Owszem, sam czepiam się nadziei, że może w Wenecji usłyszę coś o moim synu. Jednak Kathryn

nie może ciągle trwać w żałobie. Jest młoda, piękna duchem i ciałem... Zasługuje na szczęście.

- Myślisz, że ten kupiec może coś wiedzieć?

-Chciałbym. To dobry znajomy Sulejmana Bakhara. Nazywa się Lorenzo Santorini. Ponoć już nieraz pomagał niewolnikom, którzy zbiegli od swoich panów. Czasem kupuje ich na targu w Algierze, kiedy indziej uwalnia z zatopionych galer. Jest zawziętym wrogiem piratów. Słyszałem, że parę miesięcy temu wziął do niewoli jednego z berberyjskich kapitanów. Wiesz, co za niego zażądał? Dziesięciu niewolników! Jednym proponuje pracę u siebie, innym także wracać do rodziny. Pewnie zażąda ode mnie pieniędzy za swoje usługi, ale z ochotą mu zapłacę.

- Brzmi to zachęcająco.

- To prawda. Sulejman go podziwia... Zresztą z wzajemnością, chociaż Santorini w głębi ducha nie pała miłością ani do Turków, ani do Berberów. Raczej ich nienawidzi.

- Mimo to Sulejman Bakhar uważa go za przyjaciela.

- Sulejman Bakhar to oświecony człowiek. Ma tylko jedną żonę, Eleanor. Mógłby mieć więcej, ale nie chce. Kocha ją nad życie. Zazwyczaj podróżują razem. Chociaż na co dzień lady Eleanor nosi muzułmańskie stroje, to zagranicą zawsze wkłada suknie. Sulejman twierdzi, że tylko Santorini może odszukać Dickona.

Sir John skinął głową.

-I to jest właśnie zasadniczy powód, dla którego chcesz zabrać ze sobą Kathryn, prawda? Wierzysz, że Dickon, jeśli się znajdzie, będzie potrzebował was obojga.

- Kto wie, co się z nim działo przez te wszystkie lata? - Lord Mountfitchet się zasepił. Czas nie uleczył go z tej najgorszej rany. - Na pewno wiele wycierpiał...

- Obawiam się, że masz rację - przytaknął sir John. - Być może tylko Kathryn zdoła go przywrócić do naszego świata. Jako dzieci byli nierozłączni i bardzo ze sobą zżyci.

- Nie powiedziałem jej, co naprawdę myślę. Chcę, żeby pojechała z nami, ale musi uczynić to z własnej woli.

- W tym się z tobą zgadzam - odparł sir John. - Inaczej być nie może. Gdyby zaś w pewnej chwili pomyślała o ślubie...

- Od razu do ciebie napiszę - obiecał przyjaciel. - Mary na pewno będzie uważała, żeby Kathryn nic złego się nie stało. Nie dopadną jej łowcy posagów, zapewniam cię.

- Jej posag jest całkiem spory, ale bez przesady. Po pierwsze, mam jeszcze syna, a po drugie, sam wspominałeś, że dla katolików nastały złe czasy w starej Anglii. Philip nie zajdzie tak wysoko jak ja pod rządami królowej Marii.

- Choćby dlatego chciałem, abyś jechał ze mną - powiedział lord Mountfitchet. - Moglibyśmy spokojnie zająć się uczciwym handlem. Świat jest większy od naszej wyspy.

- Tak, masz rację - przyznał sir John. - Ciężko byłoby mi jednak porzucić na zawsze to wszystko...

- Zapewne myślałbym trochę inaczej, gdyby... - Lord Mountfitchet urwał i z westchnieniem pokręcił głową. - Nie ma czego żałować. Jeżeli Santorini także mnie zawiedzie, przyznam przed Bogiem i ludźmi, że straciłem syna.

Kathryn przejrzała się w małym lusterku. Lusterko pochodziło z dalekiej Wenecji i kiedyś należało do jej matki. Pogładziła palcami srebrną rączkę. Kupcy weneccy cieszyli się zasłużoną sławą. Ich towary były najprzedniejszej jakości. Oprócz lusterka matka miała jeszcze szklaną karafkę, też stamtąd. Traktowała ją jak największy skarb.

Podróż z lady Mary i lordem Mountfitchetem zapowiadała się na wspaniałą przygodę. Kathryn nigdy nawet nie pomyślała o tym, że mogłaby opuścić Anglię. Ojciec nie tęsknił za włóczęgą, chociaż w jego bibliotece znajdowało się wiele książek, opowiadających o zamorskich krajach. Rzadko kto miał dostęp do tych tomów. Na pewno były bardzo cenne. Ojciec jednak nie wzbraniał córce nauki i lektury. Kathryn bardzo chciała poznać obce ziemie; a może przy okazji znalazłaby Dickona?

Bujne kasztanowe włosy opadały jej na ramiona. Blask świecy budził w nich delikatne iskierki. Kathryn wstała, podeszła do okna i spojrzała w ciemność. Niemal nic nie widziała, bo gwiazdy skryły się za chmurami. Ojciec mówił, że powinna poszukać męża, lecz jak mogła to zrobić, skoro jej serce należało do Dickona? Obiecali sobie, jeszcze w dzieciństwie, że zawsze będą razem. Dickon wziął wtedy nóż i na grzbiecie własnego nadgarstka wyciął sobie jej inicjały. Kathryn aż krzyknęła ze zgrozy. Szybko podała mu koronkową chusteczkę, żeby zatamował upływ krwi.

- Bardzo bolało? - zapytała, ale on tylko się roześmiał i popatrzył na nią dumnym wzrokiem.

- To nic takiego - odparł. - Teraz wiem, że ta krew połączyła nas na zawsze.

Kathryn pocałowała Dickona w skaleczone miejsce. Poczwała krew na swoich ustach i pomyślała, że nigdy nie przestanie go kochać. Nie chciała mieć innego męża. Postanowiła, że w podróży będzie zachowywać się nadzwyczaj skromnie i we wszystkim słuchać lady Mary. Nie pozwoli na swaty do czasu, kiedy nabierze całkowitej pewności i w głębi serca poczuje, że Dickon rzeczywiście nie żyje. Może wtedy...

Dalsze jej myśli odbijały się jak od litej ściany. Co uczynić, jeżeli Dickon do mnie nie wróci? - myślała. Przecież panna z jej sfery musiała w końcu wyjść za mąż, chyba że wołała zamknąć się w klasztorze. A może Philip wzięłby ją do siebie, na przykład jako opiekunkę własnych dzieci? Minie parę lat i będzie za stara do zamażpójścia...

To była smutna perspektywa, ale cóż zrobić? Kathryn odłożyła lusterko i ułożyła się w wielkim łożu z baldachimem, wspartym na czterech kolumnach. Było miękkie i ciepłe, zwłaszcza przy tej liczbie poduszek, pierzyn i materacy, wypełnionych gęsim puchem. Kathryn wsunęła się pod jedwabną kołdrę. Ciekawe, jak będę sypiała na statku? - zadała sobie w duchu pytanie.

Była gotowa na wszelkie niewygody, byle na końcu tej podróży odnaleźć ukochanego.

Najwyższa pora, uznał w duchu Lorenzo, wychodząc z narady. Od lat mówiono o chrześcijańskiej koalicji prze-

ciwko tureckiej nawale, ale dopiero teraz zapadły konkretne decyzje. Kampania mogła ruszyć już pod koniec roku. Papież Pius V powołał Świętą Ligę z udziałem Hiszpanii i Wenecji. Wszyscy liczyli na to, że inne państwa przyłączy się do walki z okrutną plagą, która rozprzestrzeniła się na wodach Morza Śródziemnego i Cieśniny Messyńskiej. Wciąż trwały końcowe negocjacje. Ostatnie groźby Turków pod adresem Cypru i Rzymu sprawiły, że Ojciec Święty postanowił własnym autorytetem poprzeć zbrojny opór chrześcijańskich krajów.

Pogrążony w zadumie Lorenzo opuścił pałac. Nie myślał jednak o zakończonej naradzie, lecz o liście, który nadszedł z Anglii tuż przed jego wyjazdem z Wenecji. Nadawcą był pewien szlachcic, z którym od kilku lat prowadził interesy. Anglik zawiadamiał go, że wybiera się w podróż na południe Europy i prosił o pomoc w odszukaniu młodzieńca porwanego przed laty przez piratów.

Lorenzo zmarszczył brwi. Nie wierzył w powodzenie takich poszukiwań; szanse, by chłopak przeżył były znikome.

Oczywiście nie zamierzał odmówić pomocy lordowi Mountfitchetowi. Co prawda, jeszcze nie zdążył poznać go osobiście, ale słyszał o nim niemało dobrego. Ojciec Lorenza, Antonio Santorini, przed kilku laty odwiedził Anglię i spotkał się z lordem Mountfitchetem. Był o nim jak najlepszego zdania. Powiedział, że to szczerzy, uczciwy, przyzwoity człowiek...

Lorenzo szedł pogrążony w myślach, ale nawet na chwilę nie stracił czujności. Ostrożności nigdy za wiele. W pew-

nym momencie zorientował się, że ktoś go śledzi. Tuż przed napadem dobył szpady i odwrócił się w stronę trzech opryszków, czających się za nim w ciemności.

- Podejdźcie bliżej, przyjaciele - rzekł zachęcającym tonem. Uśmiechał się nieznacznie, ale bacznie przyglądał się napastnikom przenikliwym spojrzeniem. - Chcecie moją sakiewkę? Sami ją sobie weźcie. O ile zdołacie...

Tylko jeden z bandytów, widać odważniejszy od innych, doskoczył do Lorenza. Zadźwięczała stal. Już po chwili opryszek zrozumiał, że nie dotrzyma pola doświadczonemu szermierzowi, i głośno wezwał na pomoc kompanów. Ruszyli niechętnie, widząc, że Lorenzo nie będzie łatwą zdobyczą. Chociaż było ich trzech, on zaś tylko jeden, nie zdołali go osiągnąć, Lorenzo ciął w lewo i w prawo, odskakiwał i natychmiast ruszał do kontrataku. Widać, że przez długie lata dowodził wojenną galera. Mimo to przewaga była po stronie bandytów. Nie wiadomo, jak skończyłaby się ta potyczka, gdyby w zaułku nie pojawił się nieznajomy mężczyzna i bez wahania nie stanął po stronie Lorenza.

Szpada Santoriniego cięła pierwszego z opryszków. Dwaj pozostali - widząc, że szanse się wyrównały - z miejsca podali tyły i jak niepyszni zniknęli za najbliższym zakrętem ulicy. Ranny został, ciężko oparty o ścianę, i trzymał się za rękę. Krew spływała mu między palcami.

Lorenzo schował szpadę, lecz jego towarzysz ciągle stał z bronią w dłoni, podejrzliwie patrząc na bandytę.

- Może lepiej go zabić? - zwrócił się do Lorenza. - Chyba na to zasłużył. Mamy go przepytac?

- To zwyczajny rabuś. - Santorini wzruszył ramionami.
 - Chciał mojej sakiewki. Niech idzie do swoich, chyba że sam ze wstydu pragnie szybkiej śmierci. - Teatralnym ruchem chwycił za rękę szpady.

Bandyta miauknął coś ze strachem, nagle odzyskał siły i popędził śladem kamratów. Nieznajomy roześmiał się głośno i ponownie spojrzął na Lorenza.

- Jesteś naprawdę pobłażliwy, panie, on by cię zabił bez wahania.

- Nie wątpię - przyznał Lorenzo. - Dziękuję za pomoc, panie. Jestem...

- Znam pana, signor Santorini - przerwał mu nieznajomy.
 - Może się przedstawię: Pablo Dominicus. Przed chwilą obaj wyszliśmy z narady. Podążyłem za panem, ponieważ zamierzałem porozmawiać.

- W tam razie był pan wysłańcem fortuny - odparł Lorenzo. - Znajdźmy jakąś gospodę, w której będziemy mogli przysiąc nad kubkiem wina i spokojnie pogadać. Chodzi o interesy?

- To zależy - odparł Pablo Dominicus. - Z jednej strony, jestem emisariuszem Jego Świątobliwości papieża Piusa V. Z drugiej, można mnie nazwać mścicielem. Chyba mamy wspólnego wroga.

- Naprawdę?

Lorenzo zmrużył oczy. Pablo wyglądał mu na Hiszpana. Nie przepadał za Hiszpanami z powodu inkwizycji. Faktem jest, że Święte Oficjum istniało też w innych krajach, ale w Hiszpanii działy się najgorsze rzeczy. A poza

tym Hiszpanie wciąż stali okoniem wobec Republiki Weneckiej. Odmawiali jej prawa do niepodległości. Prawda oczywiście leżała gdzie indziej. Wiele niedoszłych ofiar inkwizycji - zwłaszcza żydów - znalazło azyl w Wenecji. Niektórzy z nich nawet służyli na gale-
rach Santoriniego. Ich opowieści o wcześniejszych prze-
ściach siały grozę.

Mimo *to* Lorenzo zachowywał się całkiem uprzejmie.

- Słucham, senior. Czym mogę panu służyć?

- Chyba najlepiej będzie, jak rzeczywiście siądziemy w jakimś zaciszniejszym miejscu, signor Santorini. Przy-
chodzę z małą prośbą od Jego Świątobliwości... Tak, tak, pańskie imię jest mu dobrze znane. Druga prośba będzie ode mnie.

- Znam dobrą oberżę przy sąsiedniej ulicy - powiedział Lorenzo. - Jeśli pańskie zlecenie jest naprawdę tajne, możemy tam wynająć osobną salkę i porozmawiać otwarcie, bez obaw, że ktoś nas podsłucha.

Lorenzo z rzadka popijał wyborne czerwone wino, zamówione przez Hiszpana. Przede wszystkim słuchał. W ciemnym zaułku nie mógł wyraźnie dostrzec twarzy don Pabla, ale teraz zobaczył mężczyznę w średnim wieku, krzepkiej budowy ciała, z małą spiczastą bródką i krótkimi włosami, rzadszymi na skroniach. Don Pablo zachowywał się z lekką rezerwą, co od razu wzbudziło ciekawość Lorenza.

- Jego Świątobliwość ze wszech miar liczy na pańską przyjaźń i poparcie dla naszej sprawy - wyjął don Pablo.

- Ma pan najlepsze galery oraz silnych i dzielnych żeglarzy, bezgranicznie panu oddanych. Jeśli przystąpi pan do Świętej Ligi, inni pójda za panem.

- Najpierw muszę o tym porozmawiać z moimi kapitanami - z namysłem odparł Lorenzo. Nie spuszczał wzroku z rozmówcy. Dlaczego nie ufał don Pablowi? - Potem złożę ofertę. - Wasza sprawa jest moją sprawą. Jednak nie mogę nikogo zmuszać, żeby postępował wbrew swojej woli. W takich sprawach zostawiam ludziom wolną rękę. Podejrzewam, że większość z nich powie „tak”, bo nienawidzą Turków nie mniej ode mnie. - Taktownie nie dodał, że niektórzy nie lubili też Hiszpanów. - A teraz przejdźmy do sedna sprawy. Po co pan za mną poszedł?

Don Pablo się uśmiechnął.

- Mówiono mi, że jesteś bystry i sprytny, panie. Zatem nie będę udawał, że przywiodło mnie tu wyłącznie życzenie Ojca Świętego. Podejrzewam, że papież to samo poruczył kilku innym osobom z kręgu twoich znajomych. Przyszedłem, bo wiem, że masz wszelkie powody, aby paść niechęcią do niejakiego Raszida, tego, którego zwa Groźnym. Na pewno życzysz mu śmierci.

Lorenzo milczał przez dłuższą chwilę, po czym spytał:

- Co ci uczynił Raszid, panie?

- Niespełna trzy miesiące temu jego galery zaatakowały i przejęły jeden z moich statków - wyjaśnił don Pablo, zaciskając pięści. Wyraźnie walczył z gniewem. - Straciłem spory majątek, ale nie to jest najgorsze. Podczas bitwy zabito mi zięcia.

- Proszę przyjąć najgłębsze wyrazy współczucia, panie.

- Moja córka i wnuki mieszkają na Cyprze - ciągnął don Pablo, wyraźnie zdenerwowany. - Immacula chce jak najszybciej wrócić z dziećmi do Hiszpanii. Wysłałbym po nią całą flotę, lecz nie mogę. Poniosłem zbyt wielkie straty. Przekłęci Anglicy napadli na inne moje statki, wracające z Nowego Świata...

- Chcesz, żebyśmy sprowadził tu twoją rodzinę, panie? - spytał Lorenzo, uważnie spoglądając na rozmówcę.

- Pokryję wszystkie koszty - zapewnił go don Pablo, ale umknął wzrokiem.

- Moje galery to okręty wojenne. Nie nadają się do przewozu kobiet i dzieci. Chyba trafił pan pod zły adres, senior Dominicus.

- Nie, nie... To pan źle mnie zrozumiał, signor Santorini. Immacula popłynie na własnym statku. Chcę tylko, żeby bezpiecznie dotarła do brzegów Hiszpanii.

- Mam wystawić eskortę? - Lorenzo pokiwał głową i spod zmrużonych powiek popatrzył na Hiszpana. Coś tu nie pasowało... Odruchowo uznał, że powinien mieć się na baczności. Instykt rzadko go mylił. - Moi ludzie pracują dla mnie. Nie są do wynajęcia.

- Przecież na pewno słuchają pańskich rozkazów.

Lorenzo nabrał przekonania, że Hiszpan nie powiedział mu jeszcze całej prawdy.

- Nie uwierzę, że nie ma pan pełnej władzy nad swoimi żeglarzami!

Złowieszczy uśmiech wykrzywił twarz Lorenza, a jego

zimne spojrzenie sprawiło, że lodowały dreszcz przebiegł po plecach don Pabla.

- Wybacz pan, że powiem prosto z mostu. Wielu moich wioślarzy uciekło z rąk inkwizycji. Prędzej naplują panu w twarz, niż zgodzą się pomóc.

Twarcz Hiszpana wykrzywił grymas wściekłości. Podniósł się z za stołu, jakby chciał uderzyć swojego rozmówcę.

- Odmawiasz, panie? Słyszałem, że jesteś dobrym kupcem. Mam złota nie mniej niż inni!

- Z chęcią przyjąłbym pańskie pieniądze - odparł Lorenzo wyważonym tonem. Jego twarz przypominała teraz nieprzeniknioną maskę. - Obawiam się jednak, że moi ludzie nie będą ginąć za Hiszpana. - Wstał i ze smutkiem pokręcił głową. - Bardzo mi przykro. Niech pan znajdzie kogoś innego.

- Niech pan wymieni cenę! - krzyknął za nim don Pablo w akcie desperacji. - Błagam o pomoc, signor!

- Moja odpowiedź brzmi „nie”, don Pablo. - Lorenzo z obojętną miną spojrział na niego przez ramię. Przeczucie go nie zawiodło; tu nie chodziło o zwykłą przysługę. - Chyba że powie mi pan prawdę. W przeciwnym razie żegnam.

Hiszpan przypatrywał mu się z przerażeniem. Kilkakrotnie otwierał usta, jakby rzeczywiście chciał coś powiedzieć, ale za każdym razem je zamykał. Potrząsnął głową. Lorenzo wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Dzisiejszy napad na pewno nie był dziełem przypad-

ku, doszedł do wniosku. To sprawka don Pabla. Myślał, że w ten sposób zaskarbi sobie moją wdzięczność. Po co to wszystko? Lorenzo przeszedł zbyt twardą szkołę życia, żeby ufać ludziom.

Nie chciał się mieszać w niejasne, podejrzane sprawy. Z reguły źle się to kończyło. Tym razem także wietrzył podstęp.

Rozdział drugi

Oto Wenecja! Od chwili gdy statek rzucił kotwicę w lagunie, Kathryn z przejęciem rozglądała się wokół. Co prawda, stali zbyt daleko, żeby mogła dokładnie zobaczyć, co dzieje się na nabrzeżu, ale widziała błyszczące w słońcu dachy pałaców, obmywane falami schody i barwne gondole.

- Jak ci się podoba, moja droga? - spytała lady Mary, stając obok Kathryn. - Tego się spodziewałaś?

- Cudo... Prawdę mówiąc, niewiele się spodziewałam, pani. Widziałam tylko pastelowy obraz, przedstawiający Canale Grande i kilka pałaców. Rzeczywistość znacznie przerosła wyobraźnię artysty. Przecież to wszystko niemal pływa!

Lady Mary się roześmiała. Była pogodną kobietą, bardzo ładną za młodu, która wciąż zachowała niemal dziewczęcy uśmiech i wewnętrzne ciepło. W czasie podróży serdecznie polubiła swoją podopieczną. Jakby nie było, spędziły razem kilka tygodni. Tymczasem nadeszła wiosna 1570 roku.

W Anglii wciąż panowały poranne przymrozki, ale tu grały promienie słoneczne, które odbijały się w wodzie.

- Magiczne miejsce, prawda? Mój zmarły mąż uwielbiał dalekie podróże. Wiele mi opowiadał o swoim pobycie w Wenecji. Przede wszystkim musimy zwiedzić plac Świętego Marka i obejrzeć Pałac Dożów. W tym samym czasie twój wuj zajmie się interesami.

Podczas podróży ustalili, że Kathryn będzie miała „ciotkę Mary” i „wuję Charlesa”. Tak było o wiele łatwiej.

- Co prawda, nie jesteśmy ze sobą spokrewnieni - powiedział lord Charles Mountfitchet w drodze do Londynu - ale przez długi czas będziemy małą *en familie*. To chyba wystarczy.

Kathryn z niekłamana radością przyjęła tę propozycję. Przecież od dawna lorda Mountfitcheta darzyła serdecznym uczuciem niczym ojca. Rejs minął jej bez kłopotów. Nawet się nie pochorowała, zresztą w przeciwieństwie do lady Mary, która kilka pierwszych dni spędziła pod pokładem.

- Na lądzie poczujesz się znacznie lepiej, ciociu.

- Wcale w to nie wątpię. Prawdę mówiąc, wolałabym już stąd nie wyjeżdżać - z westchnieniem oznajmiła lady Mary.

- Obawiam się jednak, że to tylko krótki przystanek. Mój brat nosi się z zamiarem, by osiąść na Cyprze. Wkrótce znów wyruszymy na morze.

- Chciał założyć własną winnicę - zauważyła Kathryn.

- Ale kto wie? Plany się zmieniają.

- Oczywiście jak zwykle myślisz o Richardzie. - Lady

Mary zmarszczyła brwi. - Wiem, że liczysz na cud. Lord Charles jest niewiele lepszy. Lękam się jednak, że czeka was smutne rozczarowanie.

- Cuda się zdarzają - z przekonaniem oznajmiła Kathryn. - Nawet Sulejman Bakhar przekonywał wujka, że czasami można odkupić niewolnika. Są tacy, którym udaje się uciec. A może znajdziemy Dickona w jakimś mieście na wybrzeżach Afryki?

- Mój brat od piętnastu lat bezskutecznie szuka zaginionego syna - przypomniała lady Mary. Nie przeszkadzała mu w tych poszukiwaniach, ale ubolewała, widząc, jak bardzo cierpi. - Pisał do wielu wpływowych ludzi. Wszystko na marne. Moim zdaniem, Richard nie żyje. Gdyby było inaczej, to gdzieś by się pojawił.

- Zapewne tak... - odparła Kathryn, ale błysk nadziei w jej oczach przeczył słowom. - A jednak głęboko wierzę, że wciąż żyje. Czuję to. - Przycisnęła rękę do piersi. - Nie potrafię tego wytłumaczyć. Może to głupie... Gdyby Dickon naprawdę umarł, to coś we mnie też by umarło.

Lady Mary pokręciła głową, ale nic więcej nie powiedziała. Jej zdaniem, Kathryn zupełnie niepotrzebnie łudziła się nadzieją. Nawet jeśli bratanek rzeczywiście przeżył, to pobyt w niewoli na pewno go odmienił. Po tylu latach... Zapewne pozostał z niego wrak człowieka. Przerażające, ale prawdziwe. Może lepiej, żeby Kathryn jednak go nie znalazła? Niech poszuka innego i zazna nieco szczęścia, a z czasem na pewno nauczy się go kochać.

Kathryn rozkwitła pod troskliwą opieką nowego wu-

jostwa. W Londynie lady Mary zabrała ją na zakupy. Na-
były jedwabie, lepiej nadające się do ciepłego klimatu. La-
dy Mary z wyraźną satysfakcją przedstawiała podopieczną
różnym swoim znajomym. Dzięki temu Kathryn pozna-
ła smak wielkiego miasta, zupełnie odmienny od życia na
prowincji. Ku zadowoleniu ciotki, sprawiło jej to przyjem-
ność. Uśmiechała się częściej, chociaż pod pozorem towa-
rzyskiej ogłady ciągle pozostawała tak uparta jak dawniej.
Najważniejsze, że otrząsnęła się ze smutku, który towarzy-
szył jej przez długie lata.

Lady Mary była dogłębnie przekonana, że wkrótce znaj-
dzie jej odpowiedniego męża.

- Widzę gondole! - zawołała Kathryn. - Chyba możemy
zejść na brzeg! Pojedziemy do domu, który wynajął wuj
lord Charles. Szkoda, że on sam musi od razu pędzić gdzieś
w interesach. Wydaje mi się, że umówił się na spotkanie
z panem Santorinim, o którym nam opowiadał.

- Pewnie chciałyby usłyszeć dobre wieści. - Lady Ma-
ry stłumiła żalotne westchnienie. - No cóż, przynajmniej
będziemy miały dość czasu, żeby się rozgościć. W takich
chwilach mężczyźni jedynie przeszkadzają.

Kathryn uśmiechnęła się, lecz nic nie powiedziała. Gdy-
by tylko mogła, wybrałaby się wraz z wujem, żeby wysłu-
chać nowin od pana Santoriniego. Niestety, lord Charles
wolał pójść sam. W tej sytuacji, uznała, pomogę lady Mary
się rozpakować. Co oczywiście nie znaczy, że nie będę cze-
kać na wiadomości.

- Mam nadzieję, że podróż przebiegła spokojnie, panie?
- Lorenzo wstał, żeby powitać wchodzącego gościa. Przyjął go w jednym z mniejszych pokoiów okazałego pałacu położonego nad Canale Grande, na prawo od głównego wejścia. Tu było nieco przytulniej. - Rad jestem, że w końcu mogę pana poznać, lordzie Mountfitchecie.

Mówił zupełnie szczerze. Już po pierwszym spojrzeniu poczuł do Anglika sympatię, której na ogół nie zauważał u siebie w kontaktach z innymi ludźmi. Zobaczył zmęczoną twarz i ślady siwizny na skroniach i brodzie gościa. Lord Mountfitchet postarzał się stanowczo za wcześnie. To była twarz człowieka pogrążonego w głębokiej rozpacz. Z niewiadomych powodów Lorenzo też posmutniał, choć przecież nie znał lorda Mountfitcheta i spotkał się z nim po raz pierwszy.

- Zapraszam, sir. Może kieliszek wina? Niech pan siada.
- Wskazał gościowi fotel, całkiem inny niż w Anglii, suto wyściełany i bardzo wygodny. - Na pewno jest pan zmęczony po tak długim rejsie.

- Rzeczywiście. Kieliszek wina dobrze mi zrobi, signor Santorini - odparł lord Charles Mountfitchet. - Moja siostra wręcz nalegała, żebym trochę odpoczął na naszej kwaterze, lecz ja najpierw pragnąłem zobaczyć się z panem.

- Niestety, wciąż nie dysponuję pewnymi wiadomościami o pańskim synu - bez ogródek powiedział Lorenzo. - Chciałbym jednak, żeby pan kogoś poznał. Dwa miesiące temu przejąłem rozbitka z pirackiej galery. Do tej pory chorował, nie chciałem więc go męczyć. Podejrzewam, że

jest Anglikiem, chociaż trudno wydobyć z niego choćby słowo.

- Jak on wygląda? - Lord Charles z trudem panował nad zdenerwowaniem. - Jakie ma włosy? Jakie oczy?

- A pański syn? - spytał Lorenzo. - Pamięta pan coś szczególnego?

Lord Charles zastanawiał się przez dłuższą chwilę.

- Wstyd powiedzieć, lecz niezbyt dokładnie pamiętam rysy twarzy Richarda. Włosy miał jasne, nieco ciemniejsze od pańskich, chociaż podobne, oczy zaś niebieskie. - Zmarszczył brwi. - Taki opis może pasować do tysięcy ludzi. Obawiam się, że nie będę mógł służyć panu zbyt wielką pomocą. Prawdę mówiąc, niewiele czasu spędzałem z synem, kiedy był mały. Wystarczyło mi, że kręcił się w pobliżu. Dopiero wtedy, gdy go straciłem, zrozumiałem, ile dla mnie znaczy. - Głos załamał mu się ze wzruszenia.

- Tak zwykle bywa - zauważył Lorenzo. Nie miał pojęcia, dlaczego wzruszyła go historia lorda Mountfitcheta. Nie przypuszczałyby, że może być aż tak sentymentalny. - Bierzemy za pewnik, że wszystko wokół nas będzie trwać wiecznie. Mój ojciec zmarł kilka miesięcy temu. Bardzo mi go brakuje. Większość czasu spędzałem poza domem i chyba nawet mu nie wyjawiałem, jak mocno go kocham i szanuję.

- Tak, słyszałem o śmierci Antonia. Bardzo mi przykro. Spotkałem go tylko dwa razy podczas jego pobytu w Anglii. Mimo to chyba mnie lubił... - Lord Charles urwał, po

czym dodał: - W tamtych latach nie wspominał, że dochował się takiego wspaniałego syna.

- Adoptował mnie przed kilku laty - wyjaśnił Lorenzo. Nie wiedzieć czemu, powiedział o wiele więcej, niż zamierzał. - Rzeczywiście był dobrym i szczodrym człowiekiem. Wiele mu zawdzięczam. Nie miał dużego majątku, więc troska o przyszłość spadła na mnie. Jestem szczęśliwy, że swoich dni dożył bogaty i zadowolony.

- Tak, to wspaniałe. Moje ziemie miał przejąć Richard, ale wygląda na to, że na starość zostanę samotny. - Oczy lorda Charlesa zasły łzami, twarz spochmurniała.

- Ten rozbitek, o którym mówiłem wcześniej, ma niebieskie oczy - z zamyśloną miną powiedział Lorenzo. - Włosy... .. Cóż powiedzieć? Osiwiał po tylu przerażających przejściach, jakich zapewne doświadczył z rąk okrutnych panów. Muszę cię także ostrzec, panie, że ma straszliwe blizny na rękach, nogach i plecach.

- Biedaczysko... - Lord Charles drżącą ręką sięgnął po kieliszek z winem. Głęboko zaczerpnął tchu i starał się odpedzić bolesne myśli, które dręczyły go przez całe lata, myśli o strasliwym bólu, torturach i cierpieniu. - Wyśmienite wino. - Z wysiłkiem otrząsnął się z zadumy. - Młode? Czy raczej nowe? Nigdy takiego nie piłem.

- Pochodzi z Cypru - odparł Lorenzo. - Chcę je wypróbować przed wprowadzeniem na szerszy rynek. - Ponownie napełnił kieliszek gościa. - Porozmawiam z człowiekiem, o którym ci mówiłem, panie. Zapytam go, czy zechce się z tobą widzieć. - Zobaczył wyraz zaskoczenia na twa-

rzy lorda Charlesa. - Nie jest moim więźniem. Zabrano go z galery i od tamtej pory pozostaje pod moją opieką. Gdy wyzdrowieje, dam mu wybór. Może zostać w Wenecji i pracować dla mnie lub poszukać rodziny. Chętnie mu w tym pomogę.

- Zażąda pan okupu?

- Jeżeli jego krewni mogą go zapłacić. No cóż, nie ukrywam, że przede wszystkim jestem człowiekiem interesu.

- A co będzie, jeśli nie znajdzie rodziny?

- Będzie mógł odejść, dokąd zechce, albo zostać u mnie.

- Lorenzo dumnie uniósł głowę. - Zwróciłem mu życie. Czego można jeszcze ode mnie wymagać?

- Niczego więcej - odrzekł z przekonaniem lord Charles.

- Sam chętnie bym zapłacił, byle odzyskać syna.

- Chciałbym przekazać panu lepsze wiadomości - zapewnił go Lorenzo. - Na razie pomówmy o pozostałych sprawach. Z tego co słyszałem, zamierza pan na stałe osiedlić się na Cyprze?

- Myślałem nawet, żeby założyć tam winnicę.

- Pod tym względem mogę być bardziej pomocny. Zapraszam pana dzisiaj na kolację. Niech pan weźmie ze sobą siostrę i kuzynkę. Może do tego czasu dowiem się czegoś więcej.

- Dziękuję za zaproszenie. Nie omieszkamy pana odwiedzić.

Lord Mountfitchet opuścił pałac. Po spotkaniu z Lorenzem Santorinim nabrał przekonania, że ma do czynienia ze szlachetnym, uczciwym człowiekiem, chociaż zaniepokoiły go zimne błyski w jego oczach. Lord Charles wywnio-

skował, że Santorini skupia uwagę przede wszystkim na interesach. Nie winił go za to. Nie miał mu też za złe, że wspomniał o okupie za uwolnionego jeńca. Zapewne inni pozostawiliby rozbitka na pastwę losu albo powtórnie sprzedali go na targu niewolników.

Santorini stał się bogaty, bo odrzucił wszelkie sentymenty. A to, że bywał szorstki? Cóż, takie jest życie. Otaczała go aura tajemnicy. Kto wie, czego w życiu doświadczył? Kto wie, co przeżył? To nie moja sprawa, uznał lord Charles. Nie powinienem o nic pytać, i tak mi nie powie.

Powrócił myślami do rozbitka, o którym mówił mu Santorini. Prawdopodobnie Anglik o niebieskich oczach... Czy mógł to być Richard? Lord Charles pozwolił sobie na isierkę nadziei. Zaraz jednak ją zdusił, lękając się kolejnego bolesnego rozczarowania. Przecież na świecie żyło tysiące Anglików o niebieskich oczach. Niektórzy służyli na hiszpańskich galerach. Ich los też był nie do pozazdroszczenia. Bici, torturowani, do śmierci siedzieli przy wiosłach. Zmarłych wyrzucano po prostu za burtę. Hiszpanie nienawidzili angielskich heretyków i powiadano, że wobec jeńców bywali okrutniejsi nawet od piratów.

Lord Charles przymknął oczy. Próbował odpędzić od siebie czarne myśli. Boże, dopomóż... Bywały chwile, że życzył synowi szybkiej śmierci, by nie doświadczył nędznego losu niewolnika.

- Ależ to wstrętne! - zawołała Kathryn, kiedy lord Charles powiedział jej, że chce zapłacić okup za rozbitka. - Ten

twój Lorenzo Santorini, wuju, jest niewiele lepszy od handlarzy niewolników!

- Nie, Kathryn. Z tym nie mogę się zgodzić. To przyzwoity i uczynny człowiek interesu. Jestem gotów zapłacić każdą sumę za wolność Richarda. Lorenzo Santorini zasłużył raczej na naszą głęboką wdzięczność.

- Uczciwy człowiek nie żąda pieniędzy w takiej sytuacji - upierała się Kathryn. Już zapałała głęboką niechęcią do Lorenza, chociaż go jeszcze nie poznała.

- Cicho, Kathryn - mitygował ją lord Charles. - Nie osądzaj go zbyt pochopnie. Postąpił szlachetnie, ratując rozbitkowi życie, a jeżeli chce przy tym zarobić... - Wzruszył ramionami. - Moim zdaniem, postąpił nad wyraz uczciwie. Można z nim prowadzić poważne interesy. Wołałabyś, aby ten rozbiitek zginął?

- Lordzie Charlesie! - Lady Mary wzdygnęła się mimo woli. - Proszę, nie opowiadaj nam takich okropnych rzeczy. Kathryn będzie miała koszmary.

- Nie, droga ciociu Mary. Od początku podróży nie miałam koszmarów. Sama nie wiem dlaczego, ale moje serce jest przepełnione radością. - Kathryn towarzyszyło wrażenie, że niedługo czeka ją spotkanie z Dickonem. We śnie widziała go naprawdę blisko; zdrowego i całego. Uśmiechał się, tulił ją w ramionach i całował...

- To bardzo dobrze - ucieszył się lord Charles - lecz nie spodziewaj się, że szybko znajdziemy Richarda. To może potrwać miesiące, a może nawet lata... O ile w ogóle do nas wróci. Signor Santorini obiecał nam pomoc. Pamię-

taj, Kathryn, bądź dla niego uprzejma, zwłaszcza dziś wieczorem.

- Przysięgam, wuju - zapewniła Kathryn. - Nie chcę, żeby przypadkiem na nas się obraził. Tym bardziej że obiecał wspomóc nasze poszukiwania. Ani słówkiem się nie zdradzę, co o nim naprawdę myślę.

Lord Mountfitchet uśmiechnął się i z zadowoleniem pokiwał głową. Pora ruszać, pomyślał. Przy schodach ich domu czekała gondola, którą mieli popłynąć do pałacu Lorenza Santoriniego.

Kathryn szeroko otworzyła oczy z zachwytu. Miała przed sobą imponujący, chyba największy i najpiękniejszy pałac ze wszystkich, jakie wzniesiono w Wenecji. Signor Santorini musiał być zamożny. Skoro zgromadził bogactwa, to dlaczego żądał okupu od biednych rodzin, które szukały zagubionych i nieszczęśliwych najbliższych? Z całą pewnością nie potrzebował tych pieniędzy.

Poczuła narastającą złość na widok ostentacyjnego bogactwa Lorenza Santoriniego. Była tak pochłonięta własnymi myślami, że widok gospodarza zupełnie ją zaskoczył. Po schodach pałacu zszedł wysoki, złotowłosy młody mężczyzna o fiołkowych oczach. Był tak urodziwy, że Kathryn w pierwszej chwili nie mogła uwierzyć, że to Lorenzo Santorini. Popatrzyła mu prosto w twarz i poczuła się nieswojo. Kiedyś znała chłopca o podobnych oczach... Zrobiło jej się słabo, zachwiała się i byłaby upadła, gdyby Santorini w ostatniej chwili nie podtrzymał jej silnym ramieniem.

- Źle się pani czuje, madonno?

Miał ciepły i głęboki timbre głosu. Jednak nie dotarł do uszu Kathryn. Odpłynęła myślami w odległe czasy: słyszała huk morskich fal, bijących o skały, zmieszany z wyciem wiatru. Znow widziała Dickona w rękach groźnych piratów, szalupę płynącą w stronę odległego okrętu...

- Co ci jest, kochanie?

Głos lady Mary przywrócił Kathryn do rzeczywistości. Potrząsnęła głową. Spojrzała na mężczyznę, który w dalszym ciągu ścisnął ją za rękę. Dłoń miał silną niczym imadło. Jak mogła choćby przez chwilę pomyśleć, że spotkała Dickona? Signor Lorenzo miał smagłą cerę, wydatne kości policzkowe i głębokie bruzdy pod oczami. Richard Mountfitchet liczyłby obecnie dwadzieścia siedem wiosen. Santorini był na pewno starszy. Dickon bez przerwy się uśmiechał. Santorini zaciskał usta, jakby w ogóle nie wiedział, czym jest uśmiech.

W gruncie rzeczy niewiele różnił się od piratów, którzy porwali jej ukochanego!

Kathryn poruszyła ręką i Lorenzo ją puścił. Dziewczyna dumnie uniosła głowę, jakby chciała dać mu do zrozumienia, by na przyszłość powstrzymał się od tak poufałych gestów.

- Wszystko w porządku, ciociu Mary - odparła z uśmiechem. - Zakręciło mi się w głowie. Pewnie dlatego, że tu tak ciemno.

Ta wymówka nie w pełni odpowiadała prawdzie, bo wnętrza pałacu wcale nie były ciemne. Światło, padają-

ce przez wysokie okna, nadawało obszernej sieni wygląd niemal kościoła.

- Okropny dziś upał - powiedział Lorenzo. Zmarszczył brwi, podświadomie wyczuwając niechęć nowo przybyłej. Co się stało? - pomyślał. Dlaczego patrzy na mnie tak dziwnie?
- W środku jest dużo chłodniej. Zapraszam do moich prywatnych pokoi. Tam poczujecie się o wiele lepiej.

Zaprowadził gości do mniejszej komnaty, bogato zdobionej przepiękną ceramiką i kolorowymi mozaikami, pokrywającymi ściany i podłogę. Kathryn nigdy dotąd nie widziała czegoś tak cudownego. Niektóre z ozdób miały wyraźnie bizantyjski charakter. A jedwabne kanapy? Chyba dużo bardziej pasowałyby do haremu.

- Co za wspaniały pokój - zauważyła lady Mary, głośno wyrażając ocenę Kathryn. - Gdzie pan zdobył te wszystkie cudowne, signor Santorini?

- Niektóre dostałem jako wyraz wdzięczności za uratowanie potomka pewnej bogatej rodziny - odparł Lorenzo. Przez cały czas spoglądał na Kathryn, jakby chciał się przekonać, jakie wrażenie wywrą na niej jego słowa. - To było w Granadzie. Chłopiec, zresztą Maur, okazał się synem kupieckiego księcia. Człowieka, przy którym jestem zaledwie biedakiem.

- To ciekawe - skwitowała lady Mary. - Niech pan opowie nam o tym coś więcej.

- Nic takiego - odparł Lorenzo z przelotnym uśmiechem. Zauważył nadaśaną minę Kathryn i spochmurniał.
- Po prostu znalazłem się we właściwym miejscu w odpo-

wiednim czasie. Wdzięczny ojciec obsypał mnie podarkami. Niektóre z nich państwo tu widzą.

- Nie wątpię, że pan też jest bardzo bogaty - odezwała się Kathryn takim tonem, że zabrzmiało to jak wyrzut. - Mógł pan odmówić wszelkich darów. Uratował pan chłopcu życie. Nie miał pan z tego satysfakcji?

- Nie, nie, Kathryn - pospiesznie wtrącił lord Charles. Za nic w świecie nie chciał urazić Wenecjanina. Santorini, być może, odszuka Richarda. Od chwili gdy go zobaczył, poczuł przypływ optymizmu. - Nie wolno ci tak mówić. Nie osądzaj postępowania innych.

- Zachowanie panny Kathryn świadczy o jej niewiedzy - swobodnym tonem powiedział Lorenzo i uśmiechnął się niemal drwiąco. - Gdybym odmówił przyjęcia podarków, ojciec chłopca uznałby to za obrazę. Mógłby pomyśleć, że chcę go zmusić do większej hojności. Być może, poczułby się poniżony. Najwyraźniej pańska kuzynka nie zna tych zwyczajów i nic nie wie o dumie takich ludzi.

Patrzył na nią, jakby miał do czynienia z nieznośnym bachorem!

Kathryn poczuła się jak małe dziecko, które niania skrzyczała za niecną psotę. Była wściekła na Santoriniego! Gdyby nie obietnica dana lordowi Mountfitchetowi, powiedziałaaby na głos, co o nim naprawdę myśli.

- Chylę czoło przed twoją przenikliwością, panie - powiedziała. Tak mocno zaciskała pięści, że paznokcie wbiły jej się w ciało. Ojciec Dickona pokładał w tym

człowieku wszystkie swoje nadzieje. Musiała więc być uprzejma. Może dzięki niemu odnajdą porwanego? Stłumiła narastającą niechęć. - Proszę wybaczyć. Istotnie nie widziałam...

Słowa z trudem przechodziły jej przez ściśnięte gardło. Postanowiła, że nic więcej nie powie do końca wieczoru. Nie zdawała sobie sprawy, że błysk w oku i uniesiona głowa zdradzały jej myśli. Lorenzo z rozbawieniem spoglądał na urodziwą dziewczynę.

- Niech pani nie przeprasza, słodka madonno - mruknął. Nuta ironii w jego głosie, wyraźnie słyszalna, podziałała na Kathryn jak chłaśnięcie biczem. - Chyba nie powinniśmy kłócić się o taki drobiazg.

Kathryn zacisnęła usta. Jest przesadnie pewny siebie i zarozumiały, pomyślała o Santorinim, bo ma wspaniały pałac, wpływy i bogactwo. Z chęcią sprawiłaby, żeby z jego twarzy zniknął drwiący uśmieszek. Szkoda, że nie są sami... Niestety, musiała pamiętać po pierwsze, że jest gościem, po drugie, że jest angielską damą.

- Dziękuję, panie. - Zmierzyła go kosym spojrzeniem, ale on tylko się uśmiechnął i przeniósł wzrok na lorda Mountfitcheta.

Podano wino; dla kobiet słodkie. Kathryn z uporem zażądała takiego samego, jakie pił lord Charles. Było bardzo wytrawne, omal więc nie zakrztusiła się pierwszym łykiem. Natychmiast odstawiła kieliszek. Oczywiście Lorenzo zauważył jej zmieszanie, czym ją jeszcze bardziej rozdrażnił. Zanim przeszli do wewnętrznego, niewielkiego ogro-

du, gdzie ustawiono stół do kolacji, dał ukradkowy znak służącym. Kathryn obejrzała się podejrzliwie. Zauważyła, że lokaj szybko podmienił jej kieliszek.

Na bogato udekorowanym stole pojawiały się liczne i urozmaicone potrawy. Kathryn poprosiła służącego o wodę. Postanowiła w ogóle nie pić słodkiego wina, chociaż lady Mary uznała je za znakomite.

Kolacja była pyszna. W Anglii jadano nieco ciężiej i chyba nie tak obficie. Okrętowy kucharz podawał im niemal pomyje. Nic zatem dziwnego, że wygłodniała Kathryn z zapalem rzuciła się na wspaniałe krewetki, niezwykle owoce i nieznane sobie warzywa. Na deser podano ciasta, lodowy sorbet, a później słodką galaretkę, której Kathryn nie była w stanie się oprzeć.

- Widzę, że jednak przypadły pani do gustu przynajmniej niektóre podarki mojego przyjaciela z Granady - zauważył z uśmiechem Lorenzo. - Jego syn wyrósł na mężczyznę, a mimo to ojciec wciąż o mnie pamięta. Prawdę mówiąc, uważa mnie za drugiego syna.

Kathryn właśnie chciała sięgnąć po kolejną porcję słodkiej galaretki. Słyszając słowa gospodarza, zamarła w pół ruchu, a potem szybko cofnęła rękę. Signor Santorini zdyskontował to zachowanie uśmiechem.

- Ależ niech pani sobie nie przerywa, madonno - powiedział Lorenzo. - Mój przyjaciel byłby szczęśliwy, wiedząc, że jego dary się nie zmarnują. Obawiał się, że za bardzo nie gustuję w słodyczach. Przy najbliższej okazji opowiem mu, że wzbudziły pani niekłamany zachwyty.

- To bardzo miłe - odparła Kathryn i zdecydowanym ruchem wzięła kawałek cytrynowego ciasta. Lorenzo bawił się znakomicie. Co prawda, nie czynił tego otwarcie, ale Kathryn wiedziała, że specjalnie się z nią drażnił. Niech ten wieczór wreszcie się skończy i wracajmy do domu, pomyślała. Mam nadzieję, że więcej się nie spotkamy, dodała w duchu.

Lord Charles był całkowicie nieświadomy cichego pojedynku, jaki toczyli między sobą Kathryn i Lorenzo.

- Próbowałem doszukać się w pamięci jakiegoś charakterystycznego znaku na ciele Richarda - powiedział. - To mogłoby ułatwić pańskie poszukiwania. Niestety, nic nie pamiętam.

- Ale... - gwałtownie zaczęła Kathryn i urwała, kiedy wszystkie oczy zwróciły się na nią. Pokręciła głową. - Nie, nie, po tylu latach na pewno już zniknął.

- Jeśli coś wiesz, Kathryn, to lepiej nam powiedz - nalegał lord Charles. - Najlepiej z nas znałaś Richarda.

- Wszystko się może przydać - powiedział Lorenzo i sięgnął po kieliszek z winem. Kathryn spojrzała na skórzaną opaskę, pokrytą srebrnymi znakami, którą miał na przegubie. Przez chwilę przyglądała jej się ze zdumieniem.

- Podziwia pani moje bransolety, Kathryn? - Lorenzo podwinął rękawy koszuli, żeby mogła się lepiej przyjrzeć. Miał opaski na obu rękach. - Podejrzewam, że nie zna pani tych znaków. To pismo arabskie. Jeden symbol oznacza „życie”, a drugi „śmierć”. Przypominają mi, że śmierć jest nieodłączną towarzyszką życia.

- To prawda... - dalsze słowa zamarły jej na ustach. Nagle oczami duszy ujrzała samotnego, zdradzonego człowieka, pogrążonego w ustawicznym bólu. Pociemniało jej w oczach. - Są piękne, panie - powiedziała, żeby otrząsnąć się z przygnębienia. - Pytałeś o to, o czym wspomniałam przedtem. Wuj Charles bez wątplenia tego nie wie. - Znowu przerwała, tym razem pod wpływem własnych smutnych wspomnień. Zabolało ją poczucie straty. - Dickon był moim najbliższym przyjacielem. Pewnego razu wyznał, że mnie kocha, chociaż ja miałam wtedy zaledwie dziesięć lat, a on dwanaście. Odpowiedziałam mu, że gdy dorosnie, na pewno o mnie zapomni. Wtedy wyciągnął nóż i wyciął sobie pierwszą literę mojego imienia na nadgarstku, tuż powyżej pięści. - Zauważyła, że Lorenzo pociemniałym wzrokiem wpatruje się w nią z napiętą uwagą. - Pocięła krew. Okropnie się wtedy wystraszyłam. Dałam mu swoją chusteczkę, żeby obwiązał ranę, ale to nie pomogło. Dopiero w domu zajęła się nim moja niania. Dostałam burę, że pozwoliłam mu na coś takiego. Rana zagoiła się, ale „K” nadal było wyraźnie widoczne.

- Nigdy mi o tym nie mówiłaś, Kathryn - odezwał się lord Montfitchet. Zmarszczył brwi. - To rzeczywiście może pomóc nam w poszukiwaniach, o ile blizna nie zniknęła.

- Mogły ją zatrzeć inne szramy - z namysłem wtrącił Lorenzo. Już się nie uśmiechał. - Przepraszam, że mówię o tym przy damach, ale musi pan pamiętać, lordzie Mountfitchecie, że kajdany pozostawiają głębokie rany na rękach

galerników. Jeśli Richard spędził kilka lat przy wiosle, trudno będzie rozpoznać tak starą bliznę.

- Może nie trafił na galery - powiedziała Kathryn. - Miał dwanaście lat. Mógł jako niewolnik dostać się do czyjegoś domu. - Szczerze mówiąc, zawsze modliła się, aby tak właśnie się stało. Galernicy umierali po kilku latach nie-ludzkiej mordegi.

- To możliwe - przytaknął Santorini. - Jeśli jednak był silny... Tego nikt z nas nie wie. Piraci na swój sposób oceniają jeńców.

- Jeśli wciąż żyje, blizna na pewno będzie widoczna - zauważyła Kathryn. - Nie mógł piętnastu lat spędzić na galerach.

- Właśnie. Nikt tego by nie wytrzymał - odparł Lorenzo i obrzucił ją dziwnym spojrzeniem. Kathryn wzdrygnęła się mimo woli. - Miejmy nadzieję, że pani kuzyn dostąpił lepszego losu.

W jego oczach pojawiły się tajemnicze błyski. O czym myślał?

- A może pański przyjaciel z Granady przyłączy się do naszych poszukiwań? - spytała.

- To niewykлучzone - odparł Lorenzo. - Natychmiast napiszę do niego i poproszę, żeby podjął odpowiednie kroki, chociaż po tak długim czasie... - Urwał i wzruszył ramionami.

- Zatem uważa pan, że go nie znajdziemy?! - zaperzyła się Kathryn na widok wyrazu twarzy Lorenza Santoriniego. - Świeście wierzę, że Dickon ciągle żyje. Czuję to. O, tu-

taj. - Przyłożyła obie dłonie do piersi na wysokości serca. Nawet Lorenzo był szczerze poruszony tym gestem. - Podczas podróży to uczucie stało się silniejsze. Wiem, że żyje i że znajduje się bliżej, niż wszyscy myślimy.

- Wszystko jest możliwe - przytaknął Lorenzo. - Mój przyjaciel powiedziałby, że to wola Allaha, ale mnie bardziej bliska jest wola każdego zwykłego człowieka. Jeśli Dickon był silny, jeśli naprawdę chciał przeżyć, to zapewne tak się stało. Może dopisało mu szczęście. Nie wszyscy niewolnicy skazani są na cierpienie, Kathryn. Niektórzy mają dobrych panów.

- Można pomyśleć, że mówi pan o własnych doświadczeniach.

Lorenzo uśmiechnął się tajemniczo.

-Być może...

Kathryn chętnie spytałaby go o coś więcej, ale on odwrócił się do lorda Mountfitcheta i zaczął z nim rozmawiać o Cyprze oraz o winnicach. Kathryn słuchała tego w milczeniu. Lorenzo już nie budził w niej niechęci, jak na początku znajomości. Widziała w nim człowieka o rozległej wiedzy i niemałych wpływach.

Mimo to ciągle nie mogła mu wybaczyć, że pobierał okup od rodzin niewolników i nieszczęsnych rozbitków, którzy przypadkowo wpadli w jego ręce. Zrozumiała jednak, że to stanowiło jedynie niewielką część jego rozległych interesów. Wzbogacił się na czym innym.

Nie polubiła go, ponieważ przeszkadzało jej, że jest arogancki, złośliwy i zbyt pewny siebie. Nie rozumiał jej uczuć. Nie pojmował, że lord Mountfitchet rozpaczliwie pragnie

odnaleźć Richarda. Nie wiedział, co znaczy ból po stracie syna. A może wuj Charles miał rację? Może nie mylił się, widząc w Santorinim uczciwego człowieka?

Skąd mogła to wiedzieć, skoro go nie znała?

Lorenzo przypadkowo zerknął w jej stronę. Znów odniosła to samo przedziwne wrażenie, które poczuła przy pierwszym spotkaniu. Tak jakby kiedyś go już widziała...

- Ależ tu pięknie! - zawołała Kathryn, kiedy znaleźli się na ogromnym placu w samym centrum Wenecji. - Czy to prawda, że kościół Świętego Marka został zbudowany jako mauzoleum dla ciała apostoła, które przewieziono tutaj z Aleksandrii?

- Tak mi mówiono - odparł Lorenzo, chociaż Kathryn skierowała pytanie do lady Mary. - Ten budynek obok to Palazzo Ducale, a po drugiej stronie widzimy katedrę, wzniesioną w dziewiątym stuleciu i odbudowaną później w jedenastym, po wielkim pożarze. Proszę zwrócić uwagę na architekturę. Widać w niej wyraźne wpływy bizantyjskie.

- Wspaniała! - zachwyciła się Kathryn. - Zawsze uważałam mieszkańców Bizancjum za barbarzyńców. Wygląda na to, że jednak potrafili zbudować coś porządnego.

- Dużo wiedzieli - z uśmiechem powiedział Lorenzo. - Stworzyli potężne imperium, które po dziś dzień budzi powszechny respekt.

- Ty też posiadasz niemałą wiedzę, panie - przyznała Kathryn, wciąż oszołomiona widokami, które oferowało jej miasto na wodzie. - A to co za dom?

- To jest Procuratie Vecchie, czyli gmach zgromadzeń prokuratury i radców miejskich. Z nich wybierany jest kolejny doża. Budynek, jak państwo widzą, w typowo włoskim stylu, jak zresztą większość okolicznych pałaców. Kolumny wzniesiono w dwunastym wieku. Na jednej z nich stoi skrzydlaty lew świętego Marka, a na drugiej święty Teodor na krokodylu. - Zerknął na Kathryn i uśmiechnął się tajemniczo. - A nie chciałyby pani zobaczyć słynnego Mostu Westchnień? Chyba że czuje się pani już nieco zmęczona nadmiarem dzisiejszych wrażeń...

- Skąd taka dziwna nazwa: Most Westchnień?

- Jestem przekonana, że signor Santorini ma już dość tych ciągłych pytań - wtrąciła nagle lady Mary. - To bardzo miło z jego strony, że zechciał nam towarzyszyć, ale musimy wracać do domu.

- Och, proszę mi wybaczyć! - wykrzyknęła Kathryn. Prawdę mówiąc, zupełnie nie była zmęczona i mogła zwiedzać miasto jeszcze przez godzinę. - Tak, chodźmy do domu, to znaczy, do pańskiego domu, signor.

- Mój dom jest do państwa dyspozycji na cały czas pobytu - zapewnił ją Lorezno. Dzień wcześniej odkrył, że pałac wynajęty przez lorda Charlesa nie spełnia wszystkich oczekiwań gości. Kazał natychmiast przenieść bagaże do siebie. Potem zaproponował wycieczkę po mieście. Lady Mary i Kathryn z ochotą przystały na ten pomysł, tym bardziej że lord Mountfitchet nie mógł im towarzyszyć, zajęty innymi sprawami. Lorenzo uważał, że damy nie powinny chodzić po mieście same. - Wracając zaś do nazwy, most

łączy pałac z więzieniem. Tamtędy odprowadzano skazańców z sali rozpraw.

- Rozumiem - powiedziała Kathryn. Uśmiechnęła się lekko. - A już podejrzewałam, że kryje się za tym romantyczna historia...

- O młodzieńcu, który z rozpaczy za swoją ukochaną rzucił się do wody? - Lorenzo się roześmiał. - Widzę, że lubi pani poezję, moja madonno. Zatem trafiła pani we właściwe miejsce. To kraj poezji, piękna i romansu. Wystarczy jeden rzut oka na rzeźby i obrazy...

Zaczerwieniła się pod jego lekko drwiącym spojrzeniem i szybko odwróciła głowę.

- Kilka takich obrazów widziałam u ciebie, panie.

- Ciekaw jestem, które przypadły ci, pani, do gustu?

- Zwłaszcza jeden z nich ma niezwykle barwy. - Kathryn zmarszczyła czoło. - Wisi w głównej sali i w promieniach słońca wydaje się, że jaśnieje wewnętrznym blaskiem, niczym prawdziwy klejnot. Inne malowane są chyba temperą, ale ten to na pewno olej.

- Rzeczywiście, ma pani rację - przyznał Lorenzo. - Ojciec kupił go parę lat temu. Jego autorem jest niejaki Giovanni Bellini. Mam parę innych, z chęcią je pani pokażę.

- Dziękuję. Na pewno jest pan bardzo zajęтым człowiekiem, nie chciałabym więc odrywać pana od pracy. Uwaga! - krzyknęła nagle, widząc w pobliżu człowieka z długim wygiętym nożem. Skrytobójca zamierzył się na Santoriniego.

Lorenzo natychmiast obrócił się na pięcie i chwycił prze-

ciwnika za uniesioną rękę. Nastąpił ostry trzask pękającej kości. Zanim Kathryn na dobre się spostrzegła, podbiegło do nich trzech barczystych mężczyzn, którzy odciągnęli napastnika.

- Wybacz, madonno - powiedział Lorenzo. Jego twarz znów przypominała nieprzeniknioną maskę. Już się nie uśmiechał. - Ufam, że panie są całkiem bezpieczne, niemniej proszę przyjąć wyrazy ubolewania za to, co się stało. Moi ludzie mieli pilnować, żeby przypadkiem nie doszło do podobnych zdarzeń.

- To straszne - wyjąkała wstrząśnięta lady Mary. - Nie jest pan ranny?

- Nie. Dziękuję za troskę - odparł, przez cały czas patrząc na Kathryn. - Teraz już panie wiedzą, dlaczego lepiej nie chodzić samotnie po naszym pięknym mieście.

- Ale on rzucił się na pana! - Kathryn także była pod wrażeniem incydentu, ale nie przestraszyła się tak bardzo jak jej ciotka. - Ma pan wrogów?

Lorenzo zmarszczył brwi.

- Każdy człowiek z moim majątkiem i pozycją ma wrogów. Nie sądziłem jednak, że spróbują mnie dopaść nawet tu, w Wenecji.

- Kto to był?

- Płatny zabójca. - Lorenzo skrzywił się pogardliwie. - Domyślam się, kto go wynajął.

- Ten ktoś musi pana silnie nienawidzić.

- Ma swoje powody, ponieważ należy do bractwa, które budzi u pani odruchową niechęć. To pirat z zawodu i zami-

łowania. Powszechnie zwa go Groźnym, gdyż nawet rodacy kręcą głową na widok jego okrutnych wyczynów. Boją się go i nienawidzą, ale wciąż są mu wierni.

- Dlaczego chce pana zabić?

- Przed laty powziąłem stanowczą decyzję, że go zniszczę. Ciągłe zatapiam jego galery. - Lorenzo spojrział na nią przenikliwie. - Mam dziewiętnaście własnych galer. Jedną niedawno straciłem w walce z Raszidem. Zamówiłem już sześć następnych. Niedługo będę dysponował tak potężną flotą, by móc stanąć z nim do otwartej bitwy. Musi przegrać.

- W takim razie jestem panu winna najszczerze przeprosiny - powiedziała Kathryn. - Uważałam, że w gruncie rzeczy jest pan niewiele lepszy od każdego pirata. Chodziło mi o okup, który pan pobiera...

- Przestań, pani - przerwał jej w pół zdania. - Jeszcze chwila i doczekam się pochwał z pani ust, piękna madonno. Na razie to mi wystarczy.

- Droczy się pan ze mną - odrzekła lekko nadąsanym tonem, ale nie potrafiła ukryć rozbawienia.

- Rzeczywiście, przyznaję. To błąd z mojej strony. Jednak nie mogłem oprzeć się pokusie. Oskarżała mnie pani o najgorsze rzeczy, choć poznaliśmy się zaledwie wczoraj.

Kathryn przypatrywała mu się z ukosa, jakby chciała poznać jego prawdziwe myśli. Szli nieco z przodu, przed lady Mary i dwoma gwardzistami z ochrony signora Santoriniego. Wkrótce dotarli do kanału, przy którym czekała gondola. Wracali do pałacu.

- Jest pan inny, niż się wydaje - cicho powiedziała Kathryn.
- A może zdradzi mi pan, z jakiego powodu żywi pan tak silną nienawiść do Raszida? Po tych morzach pływają rozmaici piraci. Dlaczego właśnie ten jest pana najgorszym wrogiem?

- To wiedzą tylko nieliczni - odparł Lorenzo. - Może kiedyś i pani usłyszy całą prawdę. Na razie pozostanie to moją tajemnicą.

Rozdział trzeci

Właśnie tutaj, w ogrodzie, pośród barwnych kwiatów, rosnących w obszernych gazonach z terakoty, Kathryn czuła się niemal jak u siebie w domu. Ciepła noc była przesycona intensywnym zapachem. Większość roślin pochodziła z krajów położonych nad basenem Morza Śródziemnego. Za to róże w pełnym rozkwicie wyglądały tak samo jak te, które w Anglii hodowała lady Rowlands.

Pomyślała o ojcu. Na pewno za nią tęsknił. Philip niedługo powinien skończyć studia, a wtedy powróci do domu. A może już to się stało? Ojciec zapewne cieszył się z towarzystwa syna, chociaż, o czym Kathryn była przekonana, tęsknił za córką. Ona także tęskniła za rodziną, chociaż z zapałem odkrywała nieznany jej do tej pory świat.

Przypomniała sobie napad na placu Świętego Marka. Cała ta przygoda mogła się źle skończyć, gdyby Lorenzo był mniej szybki i zręczny. To prawda, że krzyknęłam, uprzytomniła sobie Kathryn. Ale on i tak wyczuł obecność

napastnika. Jakby bez przerwy miał się na baczości. Kim naprawdę jest Lorenzo Santorini?

Prawdę mówiąc, śnił jej się ubiegłej nocy. Znalazł się w niebezpieczeństwie, a ona usiłowała go ocalić. Niestety, silny podmuch wiatru odrzucił ją daleko. Obudziła się ze łzami w oczach. Nie wiedziała, dlaczego płacze.

Dreńczyły ją sprzeczne uczucia. Jak miała traktować signora Santoriniego? Raz był zimny jak gład, innym razem tryskał humorem. Gdy się śmiał, miała wrażenie, że znają się od zawsze.

„Na razie pozostanie to moją tajemnicą”. Tak powiedział. Co to może znaczyć? Czy chodzi o mroczny sekret?

Kathryn drgnęła, wyrwana z zamyślenia. Usłyszała czyjeś głosy. Lord Charles Mountfitchet i Lorenzo weszli do ogrodu. Jak zwykle rozmawiali po angielsku, ponieważ Lorenzo lepiej mówił w tym języku niż oni po włosku. Okazało się, że poza tym znał inne języki.

- Powinien pan raczej kupić ziemię tutaj, w Italii - powiedział Lorenzo. - Nad Cyprzem zawisła groźba tureckiej inwazji.

- Myśli pan, że zaatakują wyspę?

- Nie wiem tego na pewno, sir, ale ostrzegam, że jest to bardzo możliwe.

- Na razie nie ma niebezpieczeństwa - orzekł lord Charles, który już dawno przywykł do myśli, że na stałe osiadzie na Cyprze, wyspie bogatej w owoce, cukier i żyzną ziemię, w sam raz do uprawy winorośli. - Odwiedziłem rozbitka, o którym pan wspomniał.

- Mówił coś? - spytał Lorenzo.

- Był ciekaw, czy chcę go kupić - z westchnieniem odparł lord Charles. - Kiedy wspomniałem mu, że szukam syna, rozpłakał się, ale już nie chciał dłużej ze mną rozmawiać. Nie odpowiadał na pytania. Nie powiedziałem mu, że wkrótce wyjdzie na wolność, bo ta decyzja przecież należy do pana.

- Wydał się panu choć trochę podobny do syna?

Obaj znaleźli się w głębi ogrodu, wciąż nieświadomi obecności Kathryn, stojącej za rozłożystym krzewem.

- Nie wiem - ze smutkiem przyznał lord Charles. - Jeśli to nawet Richard, zupełnie go nie poznaję.

Kathryn wyszła z ukrycia. Spojrzeli na nią ze zdumieniem.

- Pozwoli pan, żebym go zobaczyła? - zapytała. - Jeżeli to Dickon, od razu go rozpoznam. Jestem tego zupełnie pewna.

- Mówisz o bliźnie? - Lord Charles ciężko pokręcił głową. - Nic z tego, Kathryn. Jego nadgarstki są tak poszarpane, pełne dziur, szram i zniekształceń...

- Biedny człowiek... - przerwała mu Kathryn, ale sama też nie zdążyła dokończyć zdania.

- To nie widok dla pani - stanowczo wtrącił Lorenzo. - Pani wuj wyszedł stamtąd wyraźnie roztrzęsiony. Kobiety nie powinny oglądać takich rzeczy.

- Skąd u pana taka mierna opinia o kobietach? - zapytała Kathryn z gniewnym błyskiem w oku. Znowu miał ją za głupią? - Myśli pan, że nie wiemy, co znaczy cierpienie? Moja kochana matka zmarła w straszliwych bólach, które

dreńczyły ją miesiącami. Na miejskim rynku oglądałam nędzarzy z poranionymi stopami, żywcem zjadanych przez robactwo. Takie widoki nie są dla mnie straszne. Chcę zobaczyć tego człowieka. Może to Dickon.

-Kathryn najlepiej z nas wszystkich znała mojego syna - dodał lord Charles, niepewnie zerkając w jej stronę. - I nie brak jej odwagi, signor Santorini. Niech spojrzy na tego rozbitka. Oczywiście za pańskim zezwoleniem. Przecież nie stanie jej się żadna krzywda. Ktoś z nas będzie w pobliżu, prawda?

Lorenzo zmarszczył brwi, jakby z trudem powstrzymywał się od wybuchu gniewu. Potrafił jednak nad sobą zapanować.

- Zgoda. Pójdziemy tam jutro, ale ostrzegam panią, że ten człowiek przeszedł bardzo wiele. Obawiam się, że pani czułe serce może wziąć górę nad rozsądkiem.

- Jeśli to Dickon, od razu go rozpoznam - z uporem powtórzyła Kathryn. W głębi duszy nie była tego już całkiem pewna. Przez krótką chwilę, wiedzona podszeptem, niemal uwierzyła, że to signor Lorenzo Santorini jest jej zaginionym ukochanym. Niemożliwe... Dickon i ten zarozumiały, chłodny Wenecjanin? Santorini bardziej wyglądał na człowieka, który od dziecka płał w luksusach. Z pewnością nie zaznał trudów niewolniczego życia.

- Zatem do jutra. Sprowadzę go tutaj - powiedział Lorenzo. Krótco skinął głową, wyraźnie niezadowolony, że go nie posłuchano. - Państwo wybaczą, ale dzisiaj czeka mnie jeszcze jedno ważne spotkanie. Czujcie się tu jak u siebie

w domu i nie zwracajcie najmniejszej uwagi na moją nieobecność. Cała służba jest oczywiście do państwa dyspozycji. Wkrótce podadzą wieczerzę.

- Jest pan doprawdy szczodry - odrzekł lord Charles. - Ja też mam kilka spraw do załatwienia. Kathryn i Mary zostaną w domu. Na pewno nie będą się nudzić w swoim towarzystwie.

- Oczywiście. - Kathryn uśmiechnęła się do wuja. Nie spojrzała na Lorenza, zła, że początkowo nie zgadzał się na spotkanie z rozbitkiem. - Znajdziemy sobie jakieś koście zajęcia.

- W takim razie życzę państwu spokojniejszej nocy. - Lorenzo ponownie skłonił się, odwrócił i odszedł.

Lord Charles przez chwilę spoglądał za nim w milczeniu.

- To było naprawdę smutne doświadczenie, moja droga - powiedział wreszcie. - Nie dziwię się, że signor Santorini chciał ci tego oszczędzić.

- Wiem. Niczego innego się nie spodziewałam - odparła Kathryn. - Z drugiej strony właśnie po to przyjechałam, wuju. Nie pamiętasz? Zabrałeś mnie ze sobą, żebym rozpoznała Dickona. Jeżeli to nie on, na pewno ci o tym powiem. - Zamyśliła się. - Mówiłeś, że nie chciał z tobą rozmawiać. Może mnie powie trochę więcej?

- Podejrzewam, że nic nie pamięta ze swojej przeszłości. Signor Santorini jest przekonany, że ten nieszczęśnik wiele lat spędził na galerach. Może kiedyś był zwykłym, domowym niewolnikiem i trafił na morze za jakieś przewinienie? Tak też często bywa. Młodzi niewolnicy są bardziej

przydatni. Dostarczają rozrywki. Starszych i silniejszych najlepiej się pozbyć, bo po pewnym czasie mogą być niebezpieczni. Nie wyjawię ci, ile cierpień spotyka tych ludzi. Lepiej tego nie wiedzieć. Jednak nie wolno się dziwić, że niektórzy wołają o tym całkiem zapomnieć.

Kathryn popatrzyła na wuja ze łzami w oczach. Domyślała się, o czym nie chciał jej powiedzieć. Delikatnie pogładziła go po policzku.

- Jak ludzie mogą być tak okrutni wobec siebie?

- Nie wiem, Kathryn - odparł lord Charles i westchnął z głębi piersi.

- Skąd u niektórych taka siła woli, żeby przetrwać wbrew potwornym warunkom? Wydaje się to niemożliwe. A jednak ten człowiek przeżył, zasłużył więc na naszą litość i szacunek. .. jeśli nie na coś więcej.

- Masz rację, kochanie - z namysłem odparł lord Charles.
- A teraz muszę cię zostawić. Idź do ciotki i nie myśl już o tym zbyt wiele. Wątpię, żeby ten biedny człowiek mógł być moim synem. Oczywiście wysłucham twojego zdania.

Kathryn pocałowała go w policzek i na tym się rozstali.

Wieczór spędziła w asyście lady Mary. Czekająco je sporo szycia, bo przed wyjazdem z Anglii kupiły bele materiału, lecz nie zdążyły z przygotowaniem wszystkich nowych sukni. Grubsze prace należały do służby, która towarzyszyła im w podróży, ale przecież zostały jeszcze koronki, hafty i falbany, którymi damy same się zajęły.

Kathryn powiedziała „dobranoc” i poszła do siebie, chociaż, prawdę mówiąc, wcale nie była zmęczona. Wprost rozpieszczała ją energia. Nie mogła zasnąć, usiadła więc w otwartym oknie i popatrzyła na dziedziniec. Noc była ciemna, ale miliony gwiazd i księżyc w nowiu dawały nieco światła. Kathryn zafascynowana spoglądała w górę. W Anglii nocą widziała co najwyżej chmury.

Nagle zauważyła, że ktoś jest na dole. Jakaś samotna postać przystanąła przy niewielkiej fontannie. Lorenzo. Stał nieruchomo niczym jedna z pięknych rzeźb, zdobiących jego dom i ogrody. Mimo to Kathryn od razu go rozpoznała.

O czym myślał? Też nie mógł zasnąć? Tak trudno było go zrozumieć. Czasami chciała go ze złości pobić, innym znów razem nawet go lubiła. Właśnie. Wbrew sobie, zaczęła go trochę lubić.

Westchnęła ciężko i odwróciła się od okna. Pora do łóżka, pomyślała, choć nadal nie była śpiąca. Ciotka Mary zapowiedziała, że z samego rana wybiorą się na spacer. Miały popłynąć gondolą wzdłuż kanałów, żeby zwiedzić miasto.

Lorenzo odpassał szpadę i rzucił ją na kanapę. Szczerze mówiąc, wolał kanapę od europejskiego łóżka. Przywykł do tego w domu swojego przyjaciela, Ali Khayra. Uśmiechnął się do swoich myśli. Ali od dawna usiłował nawrócić go na islam. Jak dotąd to mu się nie udało.

- Bardziej należysz do nas niż do świata chrześcijan - zauważył Ali Khayr podczas jednej z dyskusji o religii i kultu-

rze. - Na przykład z całego serca nienawidzisz inkwizycji. Dlaczego nie chcesz przyjąć prawdziwej wiary?

- Mam swoje powody - odparł Lorenzo i uśmiechnął się na widok zdumionej miny przyjaciela. - Nie wierzę w Boga. Ani w twój, ani w tego, o którym mówią chrześcijanie.

- A jednak kiedyś z woli Allaha przyszedłeś do mnie w samą porę, żeby mi uratować syna - zauważył Ali Khayr. - Dlaczego nie przyjmiesz nauki proroka? W ten sposób szybciej uleczyłbyś duszę i osiągnął prawdziwe szczęście.

- Żaden Bóg, ani twój, ani inkwizycji nie zdoła mnie uleczyć. Obaj są zbyt okrutni. Przez palce spoglądają na liczne tortury i morderstwa.

- Ciii, Lorenzo! - pospiesznie zawołał Ali. - Nie nazywaj morderstwem czynów, które ktoś popełnia w imię wiary. Niewolnicy, którzy przechodzą na islam, są traktowani o wiele łagodniej. Niektórzy z nich po pewnym czasie osiągną wysokie stanowiska i niemałe wpływy w państwie.

- Powiedzmy raczej, że ty tak z nimi postępujesz - z błyskiem w oku powiedział Lorenzo. - Inni są mniej szlachetni.

- Mówisz o zwykłych złoczyńcach i piratach. - Ali Khayr lekceważąco machnął dłonią. - W ich szeregach są ludzie wszystkich nacji i narodowości. Zarówno chrześcijanie, jak i muzułmanie. Powiadają nawet, że twój zawzięty wróg, Raszid, też kiedyś był chrześcijaninem. Nie wiem, czy to prawda.

- Prawda - zapewnił go Lorenzo. - Nosi wschodni ubiór

i mówi po arabsku, ale widziałem go z bliska. Na szczęście wtedy na mnie nie spojrział. Byłem dla niego zwykłym niewolnikiem, zwierzęciem, z którym nie warto się zadawać.

- Wiem, że masz pełne prawo, aby go nienawidzić. Wcale cię za to nie potępiam. Chcę tylko, żebyś znalazł odrobinę spokoju duszy, Lorenzo. Jeśli uwierzysz w Allaha, staniesz się prawdziwym wojownikiem. Umrzesz w walce, wiedząc, że twoja dusza na pewno trafi do raju.

- A czym jest raj? - Lorenzo się uśmiechnął. - Czy to miejsce pełne urodziwych kobiet i wina, którego tu, na ziemi, nigdy nie próbujesz? Handluję winem, a gdybym chciał, mógłbym mieć setkę hurys.

Ali roześmiał się na tak rzeczowe postawienie sprawy.

- Jesteś uparty, mój przyjacielu, ale kiedyś na pewno cię przekonam.

Teraz, samotny w swojej sypialni, Lorenzo zdjął skórzaną opaski, które nosił na rękach. W zamyśleniu potarł stare blizny. Ciągłe budziły w nim nieopisany gniew - były trwałym symbolem jego nieszczęścia. Trzy lata spędził przykuty do wiosła na flagowej galerze Raszida. Niewiele brakowało, a pożegnałby się z życiem. Gdyby, na przykład, zachorował, rzucono by go do morza. Raszid nie tolerował u siebie niewolników, którzy nie mogli ciężko harować. Po trzech latach Lorenzo wyszedł na brzeg w pobliżu Granady. Był w grupie galerników, która miała przynieść na pokład słodką wodę i świeże owoce. W pewnej chwili upadł, złożony ciężką niemocą. Strażnicy zostawili go, tak jak leżał, na plaży, przekonani, że długo nie wyżyje.

Łut szczęścia sprawił, że tego samego dnia zawinęła tam wenecka galera. Lorenzo został zabrany na pokład. Gale-
ra należała do Antonia Santoriniego, człowieka, który sam
w życiu zaznał wiele nieszczęść, bólu i cierpienia, ale z rąk
inkwizycji.

Lorenzo trafił do Wenecji. Wiele dni przeleżał na łożu
boleści. Miał straszliwie pokaleczone ciało, lecz nieugięte-
go ducha. Antonio zajął się nim najlepiej, jak potrafił. Był
nieskończenie cierpliwy. Najpierw traktował go niczym
gościa, później jak syna, aż wreszcie nadał mu swoje na-
zwisko. Lorenzo nie pamiętał nawet własnego imienia. Nie
zapamiętał niczego z czasów, poprzedzających lata, gdy był
galernikiem.

Właśnie w tym tkwiła jego największa tajemnica, którą
ukrywał przed całym światem. Nikt, oprócz przybranego
ojca, nie wiedział, że stracił pamięć. Może jeszcze Micha-
el czegoś się domyślał. On jeden słyszał, że jego pryncypał
służył kiedyś u Raszida. Lorenzo sam mu to powiedział.
Kiedy tylko odzyskał siły, zaczął się uczyć walki wręcz
i szermierki. Stał się najsprawniejszym fechtmistrzem, naj-
lepszym kapitanem i najznakomitszym znawcą win w całej
Wenecji. Nie gustował w zbytku. Na pokładzie galery spał
i jadł jak każdy zwykły żeglarz. Po stokroć spłacił dług wo-
bec Antonia Santoriniego. Przejął niewielki majątek Wene-
cjanina i pomnożył go do granic możliwości.

- Bóg był łaskaw, że mi cię zesłał - powiedział Antonio
tuż przed śmiercią. - Wiem, że pałasz zapiekłą nienawiścią
do Raszida, mój synu. W ten sam sposób myślę o inkwi-

zycji. Torturowano mnie za to, co oni nazywali bluźnierstwem, a w rzeczywistości było jedynie uczoną dyskusją na temat pewnych wersetów z Biblii. Chcieli mnie zmusić, żebym ślepo słuchał ich nauk. Mimo to Bóg stanął po mojej stronie. Modłę się, żebyś ty także kiedyś to zrozumiał i otworzył przed Nim swoje serce. Tylko w ten sposób, mój Lorenzo, zaznasz prawdziwego szczęścia.

Dziwne, myślał Lorenzo, kładąc się do łóżka, że dwaj najbliżsi przyjaciele pochodzą z tak różnych światów. Każdy z nich chciałby mnie przyciągnąć do siebie, chociaż obaj wierzą w różnych bogów... Lorenzo uśmiechnął się z przekąsem i z powrotem zapiął opaski na nadgarstkach. Nosił je, żeby pilnie strzec swojej tajemnicy. Wiedza była potężną bronią, zwłaszcza w bezlitosnych rękach.

Położył się i przez chwilę myślał o Kathryn. W gruncie rzeczy nie chciał tego robić - to było zbyt niebezpieczne. Przy niej wciąż zapominał o ciągłej czujności, o przysiędze, że wszystkie siły poświęci na walkę ze złem.

Gdyby związał się z kobietą, stałby się dużo słabszy. W pewnym momencie mógłby nawet porzucić swoją misję. A on przecież za wszelką cenę chciał zniszczyć Raszida. Nie był stworzony do miłości. Owszem, na swój sposób kochał przybranego ojca, Antonia, lecz mężczyzna zdolny jest do takich uczuć i wciąż potrafi pamiętać, że jest mężczyzną. Z kobietą zaś... Nie. Wykluczone. Nie chciał dopuścić Kathryn bliżej siebie, chociaż czasami wydawała mu się niezwykle ponętna. Gdyby była

dziewką z tawerny, to zapewne wzięłby ją na jedną noc i natychmiast o niej zapomniał. Kathryn jest damą, stworzoną do zamęścia.

Uśmiechnął się na wspomnienie jej sprawiedliwego gniewu. Na pozór skromna i łagodna, miała diabła za skórą. Jej ukochany - zapewne kuzyn - byłby teraz jej szczęśliwym mężem, gdyby piraci nie zniweczyli ich dawnych wspólnych planów.

Smutna historia, ale Lorenzo znał takich dostatecznie wiele. W ciągu minionych lat często bywał świadkiem ludzkich nieszczęść. Wrócił myślami do rozbitka, z którym chciała się spotkać Kathryn. Jeśli to ten, którego szuka... Wielka szkoda.

Lorenzo nie mógł zasnąć. Godzinami wpatrywał się w sufit i wbrew sobie ciągle myślał o Kathryn. Przykro, gdyby przez resztę życia opiekowała się człowiekiem, który nigdy nie będzie jej prawdziwym mężem.

Kathryn postanowiła spotkać się z byłym galernikiem na wewnętrznym dziedzińcu pałacu Santorinich. Nie chciała, żeby poczuł się za bardzo przytłoczony przepychem wewnątrz i wystawnych komnat. Tu, w ogrodzie, mogła spokojnie usiąść na ławeczce i poczekać, ciesząc się ciepłymi promieniami słońca.

- Mogę przysiąc się do ciebie, pani?

Uniosła głowę i zobaczyła przed sobą Lorenza. Zmarszczyła brwi.

- Myślałam, że pozwoli mi pan na osobności pomówić

z tym nieszczęśnikiem. Pańska obecność może go wystraszyć i niczego się nie dowiem.

- Do tej pory go nie skrzywdziłem i nadał nie zamierzam tego uczynić.

- Mimo to bywa pan... groźny. - Kathryn zawahała się na krótką chwilę. - Chodzi o pański wyraz twarzy, złowrogie spojrzenie. Gdybym była pańskim niewolnikiem, naprawdę bym się pana bała.

- A teraz, Kathryn?

- Nie. Przecież nie mam ku temu najmniejszych powodów - odparła z uśmiechem. - Chociaż czasami trudno mi za panem nadażyć. Wciąż się pan zmienia. Bywają chwile...

- Urwała, słysząc gwar kilku głosów. Po chwili trzech mężczyzn weszło na dziedziniec. Jeden z nich na pewno był galernikiem. Chudy jak szkielet, z długimi siwymi włosami. Źle wyglądał, chociaż ubrany był całkiem porządnie. Ktoś nawet przystrzygł mu włosy i brodę.

Kathryn przyglądała mu się ze ściśniętym sercem. Niewiele brakowało, żeby krzyknęła z przerażenia. Poczwała łzy pod powiekami. Wzięła się w garść, wstała z ławki i z uśmiechem postąpiła kilka kroków naprzód.

- Może pan ze mną tutaj siądzie? - zaproponowała. - Chciałabym z panem porozmawiać.

Rzeczywiście miał niebieskie oczy, choć nie tak ciemne jak oczy Lorenza lub Dickona. Kathryn poczuła się rozczarowana. Ludzie zmieniają się pod wpływem przeżyć, pomyślała, ale to chyba nie dotyczy oczu?

Były galernik zerknął na nią z wyraźną nieufnością,

potem jednak podszedł, powłócząc nogami i usadowił się na ławce. Wpatrywał się w Kathryn bez strachu, ale czujnie.

Usiadła obok niego. Lorenzo krótkim ruchem ręki odesłał swoich pomocników. Sam jednak został znacznie bliżej, niż tego oczekiwała Kathryn.

- Niech pan niczego się nie obawia - powiedziała do galernika. - Nikt pana tu nie skrzywdzi, obiecuję. Chcę jednak wysłuchać, co się z panem działo.

- Nie boję się - odparł. Mówił po angielsku, ale z pewnym zacięciem, jakby musiał sobie przypominać poszczególne słowa. Na pewno przez minione lata używał wyłącznie języka swoich panów.

- Jak się pan nazywa?

- Nie wiem - mruknął. - Mówią, że jestem psem. Mniej niż psem.

Kathryn miała wrażenie, że zaraz się rozpłaczę.

- Nie pamięta pan, co się działo przedtem, zanim...

- Jestem niewiernym psem - powtórzył. - Nie myślę, nie mogę więc być człowiekiem.

- To nieprawda! - zawołała Kathryn, wyciągając do niego rękę. Galernik drgnął. - Nic panu nie zrobię.

- Jestem twój? - spytał. - Kupiłaś mnie?

- Nikt pana nie kupił. - Błagalnym wzrokiem spojrzała na Lorenza. - Niech pan mu powie, że już nie jest niewolnikiem... Proszę.

Santorini zawahał się, lecz potem skinął głową.

- Kiedy odzyskasz siły, możesz pracować dla mnie, ale

nie będziesz niewolnikiem. Jeśli zechcesz, zostaniesz tutaj. Jeśli nie, nikt cię nie zatrzyma.

- A dokąd pójdę? - W oczach galernika czaiło się tak bezbrzeżne zdumienie, że Kathryn powiedziała, niewiele myśląc:

- Może pan pojechać na Cypr ze mną i moim wujem. Będzie pan pracował w ogrodzie albo robił coś innego. Rzecz jasna za dobrą zapłatą.

- Zabierzesz mnie ze sobą?

- Tak - bez namysłu obiecała Kathryn. - Na pewno zostaniemy dobrymi przyjaciółmi i będziemy sobie nawzajem pomagać.

Samotna łza popłynęła po jego policzku. Kathryn szybko uniosła rękę, żeby też otrzeć oczy. Dawny galernik padł przed nią na kolana i zaczął całować ją po czubkach butów, wystających spod falban sukni. Kathryn popatrzyła na niego z przerażeniem.

- Nie, nie! To nie tak! Nie jesteś już niewolnikiem!

- Wstań! - ostrym głosem rozkazał Lorenzo. - Jesteś człowiekiem, a nie psem. Znasz angielski, od dzisiaj więc nosisz imię William. Na razie wrócisz tam, skąd cię tu przyprowadzono. Zaczekasz, aż panna Rowlands będzie gotowa do wyjazdu na Cypr w towarzystwie ciotki i wuja.

Skinął na swoich ludzi, żeby pomogli się pozbierać nowemu „Williamowi”.

Kathryn spoglądała za nim, jak odchodził. Nadal powłóczył nogami. Potem z nieukrywanym gniewem zerknęła na Lorenza.

- Dlaczego był pan wobec niego taki ostry?
- Trochę musiałem nim potrząsnąć. Pani dobrze odebrała mu zdolność myślenia. Widzi pani... - Zawiesił głos.
- Ten człowiek musi najpierw przywyknąć do nowej sytuacji, w jakiej się znalazł. Na to potrzeba nieco czasu.

Kathryn się skrzywiła.

- Krzykiem niczego pan nie poprawi.
- Proszę mi wierzyć, miałem do czynienia z wieloma podobnymi rozbitkami. Jeżeli potraktuje go pani zbyt łagodnie, stanie się pokojowym pieskiem, żebrzącym na dwóch łapach o kęs pożywienia. Tak nie wolno. To przecież człowiek. O wiele lepiej, żeby poczuł gniew, bo gniew czyni nas silniejszymi.

Kathryn spojrzała na niego szeroko rozwartymi oczami.

- Właśnie w ten sposób stałeś się silniejszy? - zapytała.
- To nienawiść kieruje twoim życiem, Lorenzo?

Pierwszy raz zwróciła się do niego po imieniu. Nie wiedziała, dlaczego to zrobiła. Może chciała znaleźć się bliżej niego? Przebić mur, który go otaczał?

- Uczyłem się od prawdziwego mistrza - odparł. - Co zrobisz, jeśli twój wuj nie zechce zabrać go ze sobą?

Kathryn ze wstydem odwróciła wzrok. Tego nie wiedziała. Lord Mountfitchet szukał zaginionego syna. William na pewno nie jest Dickonem. Za to mogła ręczyć. Nie był nim, a jednak nie potrafiła go porzucić na pastwę losu.

- Na pewno mi nie odmówi - powiedziała. - Lord Mountfitched zawsze traktował mnie bardzo łaskawie, a zwłaszcza po stracie Dickona.

- Lord Mountfitchet? - powtórzył Lorenzo. - Nie jest twoim wujem?

- W ogóle nie jesteśmy spokrewnieni - przyznała. - Mój ojciec od lat przyjaźni się z lordem Charlesem. Na pewno wyszłabym za mąż za Richarda Mountfitcheta, gdyby nie...

- Ze smutkiem pokręciła głową. - Ten galernik nie jest tym, którego pokochałam. Rozpoznałabym go. Przede wszystkim miał jaśniejsze oczy. Dickon... - Nagle uniosła głowę i spojrzała Lorenzowi prosto w twarz. - Oczy Dickona były takie jak twoje. Dobrze wiem, że to niemożliwe, ale o wiele bardziej przypominasz Richarda Mountfitcheta niż tamten nieszczęśnik.

- Nie jestem człowiekiem, którego szukasz! - niemal z wściekłością krzyknął Lorenzo.

- Wiem. Wybacz - powiedziała przeproszającym tonem. - Jak mógłbyś być biednym galernikiem? Masz w sobie tyle dumy i męskiej arogancji.

Ku jej zdumieniu, Lorenzo zaniósł się donośnym śmiechem. Kathryn patrzyła na niego, bezwiednie wstrzymując oddech.

- Nie, madonno. Nie rób takiej miny. Jak mógłbym się na ciebie złościć, skoro mi prawisz komplementy?

- To wcale nie miał być komplement.

- Może nie, ale dla mnie... - Uśmiechnął się. - Zatem uważasz mnie za weneckiego księcia? Myślisz, że taki się urodziłem?

- A to nieprawda? - zapytała z mocno bijącym sercem. Przez krótki moment Lorenzo patrzył na Kathryn z takim

wyrazem twarzy, jakby chciał porwać ją w ramiona i pocałować. Z przejęcia nadal nie mogła złapać tchu.

- Może tak, a może nie - odparł Lorenzo. Znów był sobą. - Rozśmieszylaś mnie, ale nie myśl, że tak łatwo zdradzę ci moją tajemnicę.

- Skąd wiesz, że w ogóle pragnę ją poznać - burknęła. Okręciła się na pięcie i odeszła.

- Właśnie! - krzyknął za nią Lorenzo. Po chwili jednak dodał cichszym tonem, tak żeby nikt go nie mógł usłyszeć: - Nie kuś diabła, słodka dziewczyno. Tak będzie lepiej dla ciebie i dla mnie.

Kathryn nawet się nie obejrzała. Jej sercem targały przeziwne emocje. Kiedy Lorenzo spojrział jej prosto w oczy, rzeczywiście zapragnęła, żeby ją pocałował.

- Weźmiemy go ze sobą, sir? - spytała Kathryn, kiedy lord Charles wrócił z miasta. - Wiem, że powinnam wcześniej spytać cię o zgodę, ale on był taki zabiedzony, taki nieszcześliwy.

- Sam chciałem porozmawiać z panem Santorinim, ile miałby wynieść okup za tego biedaka - z uśmiechem odpowiedział lord Charles. - Owszem, żałuję, że to nie Dickon, choć gdybym miał zobaczyć swojego syna w takim stanie... - Głęboko zaczerpnął tchu i posmutniał. - W każdym razie szukamy dalej. A ten rozbitek może zostać z nami. W moim domu jest jeszcze dużo miejsca. Z czasem na pewno znajdziemy dla niego rozsądne zajęcie.

- Och, dziękuję najdroższy wuju! - Kathryn rzuciła mu się w objęcia. Nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać. Wreszcie uśmiech zwyciężył. - Lorezno nie był pewny, czy się zgodzisz.

- Możesz go wziąć dla siebie - dodał wuj. - Sir John dał mi dość pieniędzy na wszelkie twoje potrzeby. Jeśli ten człowiek potrafi pisać, to niech, na przykład, zostanie twoim skrybą. Zresztą, porozmawiamy o tym, jak w pełni wydobrzeje.

- Dość dobrze mówi po angielsku, chociaż zacina się przy każdym zdaniu - wyjaśniła Kathryn. - Przy nas na pewno przypomni sobie więcej.

- Też w to wierzę - przytaknął lord Charles. - Masz czułe serce, moja droga. To prawdziwy skarb w obecnych czasach. Wprawdzie wspomniałem, że nie przestanę szukać Dickona, ale nie chcę, byś przez to czuła się skępowana. Jeśli znajdziesz młodzieńca, który przypadnie ci do gustu, nie zważaj na dawne przyrzeczenia. Życzę ci szczęścia.

- Zawsze byłeś dla mnie bardzo dobry - odparła Kathryn z promiennym uśmiechem. - Jednak na razie nikogo takiego nie spotkałam.

Nieprawda. Serce biło jej żywiej na widok Lorenza, lecz ten sam Lorenzo budził w niej złość i głęboką niechęć. Na pewno nie nadawał się na męża. Zresztą on też nie myślał o żeniactwie.

- Reszta spraw zajmie mi najwyżej tydzień - oznajmił lord Charles. - Wykorzystaj ten czas jak należy, Kathryn, bo na Cyprze będzie zupełnie inaczej. Inni kupcy, inni lu-

dzie. Można kupić jedynie to, co dociera na wyspę na statkach i okrętach. Strawy i wina na pewno nam nie zbraknie, pomyśl więc, czego ci potrzeba z nieco bardziej luksusowych rzeczy. Kupimy je przed wyjazdem.

- Lady Mary już mi zapowiedziała, że odbędziemy kolejną wycieczkę po sklepach - odrzekła z uśmiechem Kathryn. - Chyba weźmiemy ze sobą paru służących. Nie chcę znów wyłącznie polegać na panu Santorinim.

- Oczywiście, moja droga. Wszystko załatwimy sami. Signor Santorini i tak zrobił już dla nas bardzo wiele. Nie musimy mu ciągle zawracać głowy.

Kathryn niespokojnie rzucała się na łożku. Sen zaczął się bardzo przyjemnie - znajdowała się w ogrodzie, radosna i szczęśliwa. Ktoś stał obok. Mężczyzna. Lorenzo Santorini, ale zupełnie inny niż ten, którego znała. Uśmiechał się i patrzył na nią zakochanym wzrokiem. Wziął ją w ramiona, pocałował, prawił czułe słowa. Zapewniał ją, że jest dla niego całym światem.

A potem - zanim zdołała mu coś odpowiedzieć - chlusnęła na nich olbrzymia fala. Woda porwała Kathryn i uniosła gdzieś bardzo daleko. Zerwała się z poduszki cała drżąca i spocona.

Skąd ten sen? - zadała sobie w duchu pytanie.

Energicznie pokręciła głową, żeby uwolnić się od kłopotliwych myśli. Była głupia. Okropnie głupia. Pomyliła Dickona z dumnym Wenecjaninem. To przecież Dickon zniknął z jej życia zupełnie bez wieści. Kathryn położyła

się i zamknęła oczy. Wolała myśleć o lady Mary i czekającej ich wyprawie po zakupy.

- Moja droga, nie zmarnowałyśmy czasu i pieniędzy - oznajmiła lady Mary, idąc do gondoli, która miała je zawieźć z powrotem do pałacu Santorinich. - Nasze zakupy trafią od razu na statek lorda Charlesa. Wkrótce wszystko będzie gotowe do dalszej drogi. Załadunek jednak trochę potrwa. To przecież zapasy na całe pół roku.

- Cieszę się, że kupiłyśmy tak dużo koronek i jedwabiu - odparła Kathryn. - Podejrzewam, że życie na Cyprze będzie nam upływało spokojniej niż w Wenecji, ciociu Mary. W domu mogłam korzystać z biblioteki ojca, lecz lord Charles nie mógł wziąć wszystkich książek.

- Porozmawiam z nim o tym po kolacji - obiecała lady Mary. - Podejrzewam, że uzupełnił tutaj swój księgozbiór. Mógłby pomyśleć trochę o nas.

Doszły do schodów, prowadzących nad wodę. Gondola czekała cierpliwie. Kathryn szła pierwsza, za nią lady Mary i dwóch służących, których lord Charles przydzielił im jako eskortę. Kathryn lekko zbiegła po schodach. Wioślarz szarmancko wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wsiąść do gondoli. Zgrabnie przeszła przez burtę i obejrzała się na ciotkę. Ze zdumieniem ujrzała, że obcy człowiek rzucił się na lady Mary i przytrzymał ją w połowie schodów. Służba toczyła zawziętą walkę z kilkoma napastnikami uzbrojonymi w pałki.

- To pułapka, Kathryn! - zawołała lady Mary. - Wracaj!

Kathryn krzyknęła i usiłowała wyskoczyć na brzeg, ale było za późno. Gondolier silnym ruchem odepchnął łódź od schodów. Ktoś złapał Kathryn z tyłu. Nie mogła się wyrwać. Tymczasem walka dobiegła końca. Napastnicy zniknęli. Lady Mary stała na schodach i bezradnym wzrokiem patrzyła na odpływającą gondolę. Dopiero wtedy Kathryn w pełni uświadomiła sobie, co się stało. Napastnikom chodziło tylko o nią.

- Nie szarp się, dziewczyno, a nic ci się nie stanie - burknął ten, który ją trzymał. Po chwili opuścił ręce. Kathryn zobaczyła mężczyznę w średnim wieku, mocnej budowy ciała, z małą bródką w hiszpańskim stylu. Był szpakowaty i lekko łysiał na skroniach.

- Proszę wybaczyć ten nagły napad - powiedział po angielsku, ale z akcentem, świadczącym o tym, że na co dzień nie używał tego języka. - Jak już wspomniałem, za nic w świecie nie pragnę pani krzywdy, panno Rowlands. Chodzi mi o coś zupełnie innego.

- Kim pan jest? - spytała Kathryn. Nie wierzyła jego zapewnieniom. - Dlaczego mnie pan uprowadził?

- Jestem don Pablo Dominicus - odparł. - Pani zaś będzie moim gościem. Bez obawy, panienko. Jeśli nie zrobi pani nic głupiego, czeka panią wygodny rejs moim statkiem.

- Pańskim statkiem? - Kathryn popatrzyła na niego z przerażeniem. - Dokąd mnie pan zabiera? - Senny koszmar się spełnił! Porwana, z dala od przyjaciół i opiekunów, bezradna...

- Do mojego domu na wzgórzach Granady - odparł -

ale na krótko. Musi pozostać pani w Hiszpanii aż do powrotu mojej córki Marii.

- Nic nie rozumiem. Co mam wspólnego z pańską córką? Nawet jej nie znam.

- Maria jest w rękach Raszida - odrzekł don Pablo z wyraźnym gniewem. - Jako okupu, żąda człowieka, którego zwie swoim najgorszym wrogiem. Może być żywy lub umarły, ale na pewno wolałby żywego. Mają do wyrównania pewne długi. O kim mowa? Ależ to oczywiste! O panu Santorinim. - Wykrzywił usta w okrutnym uśmiechu.

Och, widzę w pani oczach błysk zrozumienia. Tak. Signor Santorini odmówił mi swojej pomocy. Musiałem więc panią porwać. Zobaczmy, co teraz zrobi. A może jednak przyjmie moją propozycję?

Kathryn dumnie uniosła głowę.

- Niby dlaczego? Signor Santorini jest przede wszystkim człowiekiem interesu. Handluje z moim wujem, który wypłaci za mnie okup, ale wątpię, aby pan Santorini był choć trochę zainteresowany udziałem w tych negocjacjach. Jeśli pan myśli o szantażu, to jest pan w grubym błędzie.

- Może Raszid weźmie panią w zamian za moją córkę? - spytał don Pablo. - Zawsze jest jakaś nadzieja.

Kathryn wzdrygnęła się z przerażenia. Tylko nie to!

- Nie może pan... Przecież to najgorszy pirat...

- Zatem słyszała pani o nim, zapewne od Santoriniego. Nieprzyjemny uśmiech wciąż gościł na twarzy don Pabla. Nie, panno Rowlands. Myli się pani. Santorini na pewno będzie chciał panią odbić.

- A wtedy pan wciągnie go w pułapkę. Jego życie za moje. To chciał pan powiedzieć? - Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. To było gorsze niż senny koszmar. Ten człowiek za wszelką cenę chciał odzyskać córkę. Nie cofnie się przed niczym. Gdyby potrafił, pewnie już dawno zabiłby Lorenza, a ciało oddał Raszidowi.

Kathryn miała łzy w oczach, ale dumnie uniosła głowę.

- Jest pan głupcem. Lorenzo nie przyjdzie po mnie. Nic dla niego nie znaczę.

Chociaż on dla mnie stał się niemal całym światem, z żalem dodała w duchu.

- Jak mogła być tak głupia, żeby wybrać się do miasta bez porządnej eskorty? - kipiwał gniewem Lorenzo. Patrząc na niego, lady Mary była bliska omdlenia. - Bóg wie, dokąd ją zabrano i co się z nią teraz dzieje!

- Wzięłyśmy ze sobą dwóch służących...

- Ale się nie przydali! - warknął Lorenzo. - Nie pamiętała pani, co stało się na placu Świętego Marka?

- Ale to pan był wtedy celem napadu - przypomniała nieśmiało lady Mary, kiedy Lorenzo spojrzał na nią ze wściekłością. - Przepraszam. Mój brat był święcie przekonany, że dwóch służących zupełnie wystarczy.

- Nie - odparł Lorenzo. - Niech pani nie przeprasza. Przyznaję, że to moja wina. Wrogowie myślą, że Kathryn jest dla mnie kimś bardzo ważnym. Tylko dlatego ją porwali.

- Co takiego? - Lady Mary gwałtownie poruszyła wa-

chlarzem. Żle się czuła z powodu upału i silnego zdenerwowania. - Zatem, co z nią zrobią?

- Jeszcze nie wiem - przyznał Lorenzo. - Zależy, kto się za tym kryje. Może użyją jej jako zakładniczki? W takim razie wyznaczą okup, chociaż... Gdyby chodziło o Raszida, byłoby to niemal równoznaczne z wyrokiem śmierci na Kathryn.

Lady Mary wydała zdławiony okrzyk przerażenia.

- Święty Boże! Chyba nie myśli pan, że chcą ją zabić?

- Raszid na pewno się nie zawaha. To łotr bez czci i wiary - odparł Lorenzo. - A jednak czuję, że kryje się za tym coś więcej. - Zmarszczył brwi i niespokojnym krokiem zaczął przechadzać się po salonie. - Owszem, popytam tu i ówdzie. To wszystko, co na razie mogę zrobić. Proszę się uspokoić, lady Mary. Uczynię wszystko, żeby odzyskać Kathryn.

- W panu cała nasza nadzieja - powiedziała lady Mary.

Kochamy ją. Ojciec na pewno wpadnie w czarną rozpacz. Mój brat też będzie niepokieszony. Po porwaniu Richarda niemal zupełnie się załamał. Obawiam się, że nie przeżyje straty Kathryn. - Zaszlochała cicho. - To straszne, straszne.

- Ponoszę za to pełną odpowiedzialność - odparł stanowczym tonem Lorenzo. Lady Mary spojrzała na niego z przestachem. - Użyję wszystkich moich wpływów, żeby sprowadzić ją z powrotem. Jeżeli żyje, wróci do nas, bez względu na cenę.

Wyszedł, by wydać odpowiednie rozkazy i polecenia. Je-

go ludzie natychmiast ruszyli w głąb miasta w poszukiwaniu śladów porywaczy.

Lorenzo bił się z myślami. To był już trzeci napad od czasu ostatniej podróży do Rzymu. Czyżby chodziło o to samo? Od początku podejrzewał don Pabla o zdradzieckie zamiary. Poza tym Raszid nie miał aż takich wpływów w Wenecji, żeby podstawić skrytobójcę na plac Świętego Marka.

Wszystko więc wskazywało na Hiszpana. Ale dlaczego? Co Dominicus do niego miał? Pierwszy raz spotkali się dopiero w Rzymie. Opowiadał wtedy o swojej córce, mieszkającej na Cyprze. Domagał się eskorty... I co dalej?

Lorenzo przywykł do ciągłych niebezpieczeństw. Wiedział, że zawsze sobie poradzi. Ale Kathryn? Co ona zrobi w takiej sytuacji? - z bezsilną złością myślał signor Santorini. Obawiał się, że przyjdzie chwila, kiedy nie będzie mógł jej pomóc.

Rozdział czwarty

Kathryn nawet nie próbowała ucieczki, kiedy płynęli ku galeonowi. Owszem, myślała, żeby skoczyć w wodę, ale, niestety, nie umiała pływać. Na pewno by się utopiła w ciężkiej sukni. Mimo wszystko nie chciała umierać. Wierzyła w to, że Lorenzo nie da się wciągnąć w pułapkę, zastawioną przez don Pabla. Może wystarczy wysoki okup? Hiszpan zamierzał wymienić ją na swoją córkę. Istniała pewna szansa, że Raszid też wyznaczy swoją cenę.

Pocieszała się, jak tylko mogła, chociaż nie było jej do śmiechu. A co się stanie, jeśli Raszid nie przyjmie propozycji Hiszpana? - pomyślała. Może don Pablo wtedy mnie uwolni? Przecież nie będę mu już potrzebna.

Na pokładzie galeonu traktowano ją bardzo dobrze. Otrzymała własną kajutę, która bez wątpienia przedtem należała do don Pabla lub innego ważnego członka załogi. Stało w niej bogato rzeźbione drewniane łóżko z puchowym materacem, jedwabną kołdrą i kilkoma poduszkami. Poza tym stół, krzesło i dwa żeglarskie kufry. Latarnie

tkwiły na żelaznych uchwytych umieszczonych w ścianach. Kathryn uniosła wieko jednej ze skrzyń. Zobaczyła tam suknie, nieco srebrnych drobiazgów i grzebień z kości słoniowej. Wszystko, co mogłoby się jej przydać - z wyjątkiem potencjalnej broni. Zatem porwanie było zaplanowane dużo wcześniej, i to z niemałą starannością.

Drzwi do kajuty zostały zamknięte. Kathryn wyrzała przez małe prostokątne okno. Przekonała się, że kajuta znajduje się na rufie statku. Galeon właśnie opuszczał wody laguny. Wenecja została daleko z tyłu. Płynęli na pełne morze, a celem była na pewno Hiszpania; tak przecież mówił herszt porywaczy.

Skrzypnęły drzwi. Kathryn odwróciła się szybko, przekonana, że to don Pablo. Ale nie, to marynarz przyniósł jej posiłek i wino.

- Gdzie wasz kapitan? - zapytała. - Czy ktoś pchnął wiadomość do mojego wuja?

Marynarz pokręcił głową i powiedział kilka słów po hiszpańsku. Najwyraźniej jej nie zrozumiał. Kathryn powstrzymała się od dalszych pytań. Pewnie i tak zabroniono mu dłużej z nią rozmawiać.

Usiadła przy stole i nieufnie popatrzyła na stojące przed nią potrawy. Chleb, mięso, owoce. Może z dodatkiem środków nasennych albo jakiejś trucizny? Marynarz przypatrywał jej się przez chwilę, a potem wziął kubek z winem i pociągnął niewielki łyk. Chyba w ten sposób chciał ją przekonać, że nie powinna się obawiać. Palcami wytarł krawędź kubka i z powrotem postawił go na stole.

Kathryn przestała się wahać. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że jest bardzo głodna. Przecież od rana nic nie jadła, a było późne popołudnie. Nie zamierzała się głodzić i sięgnęła po soczyste ciemne winogrono. Sok pociekł jej po brodzie. Żeglarz z uznaniem pokiwał głową i wyszedł z kajuty.

Zjadła większość owoców i sporą pajdę chleba. Już mniej się bała. Don Pablo, zgodnie z obietnicą, traktował ją jak gościa. Nie sposób było uciec ze statku, pozostawało więc czekać.

Miała nadzieję, że Lorenzo pospieszy jej na pomoc. Jednak po namyśle doszła do wniosku, że nie powinna na to liczyć. Dlaczego miałby ją ratować? Właśnie dla niej ryzykować życie?

Lorenzo wziął list z rąk lokaja i złamał woskową pieczęć. Szybko przebiegł pismo wzrokiem. Potwierdziły się jego najgorsze obawy. Od samego początku podejrzewał, że właśnie o to chodzi.

- Piszą o Kathryn? - z niepokojem zapytał lord Charles.
- Chcą okupu?

- Tak, ale nie zdołasz go zapłacić, przyjacielu. - Lorenzo wręczył mu list. Lord Charles rzucił okiem na pergamin i pokręcił głową.

- Przepraszam, zapomniałem, że nie znasz hiszpańskiego, panie - powiedział Lorenzo. - To list od niejakiego Pabla Dominicusa. Kathryn została jego zakładniczką. Obiecuje, że zwróci ją nietkniętą w zamian za swoją córkę Marię.

- Co to znaczy? Ta... Maria jest tu gdzieś u ciebie, panie?

- Nie, u Raszida. - Lorenzo zmarszczył brwi. Lord Mountfitchet w dalszym ciągu niczego nie rozumiał. - Kilka tygodni temu don Pablo wystąpił do mnie z propozycją, której, niestety, nie mogłem przyjąć. Chciał, żebym eskortował jego starszą córkę, Immaculę, z Cypru do Hiszpanii. Prawdopodobnie była to pułapka.

Lord Charles przypatrywał mu się chwilę w milczeniu, wreszcie ze zrozumieniem skinął głową.

- Raszid miał czekać gdzieś po drodze.

- To chyba oczywiste. Raszid nigdy nie wie, gdzie będę, oraz z iloma galerami. Gdybym zgodził się na eskortę złożoną z trzech okrętów i sam we wskazanym czasie zjawił się na miejscu... - Lorenzo wzruszył ramionami. - Wtedy jeszcze nic nie wiedziałem. Domyślałem się tylko, że Dominicus coś ukrywa. Chodzi o to, że Raszid porwał jego młodszą córkę.

- Pańska głowa ma być nagrodą za jej uwolnienie?

- Uczciwy okup. - Twarz Lorenza była niczym wyciosana z granitu. - Jak pan postąpiłby na jego miejscu?

- Sądzi pan, że... - Lord Charles popatrzył na niego z przerażeniem. - Dobry Boże! Nie! Absolutnie nie mogę pana o to prosić. Może wystarczą negocjacje? Każdy człowiek ma swoją cenę...

- Ceną Raszida jest moje życie - sucho odparł Lorenzo. - Uczyni wszystko, żeby mnie pokonać. Kathryn wróci do nas tylko wtedy, kiedy don Pablo odzyska Marię.

- To niemożliwe - sprzeciwił się lord Charles. - Kto by uwierzył takim ludziom? Przecież nie wiemy, czy ta dziewczyna w ogóle jeszcze żyje. A co będzie, jak Raszid pana zamorduje, ale nie zechce uwolnić Marii?

- Właśnie - mruknął Lorenzo. - Dlatego wcale nie zamierzam wejść w zastawioną pułapkę. Z tego co wiem, don Pablo zabrał Kathryn do swojego majątku w pobliżu Granady, gdzie mieszka mój przyjaciel. Na pewno nam pomoże.

- Spróbuje pan uwolnić Kathryn? - Lord Charles patrzył na niego z niekłamany szacunkiem. - To ogromne ryzyko. Mogą pana schwytać.

- Już raz byłem w gościnie u Raszida - z zimnym uśmiechem odparł Lorenzo. - A teraz muszę myśleć o Kathryn. Gdybym przypadkiem zawiódł... - Ponownie wzruszył ramionami.

- Błagam Boga, żeby tak się nie stało! Choćby przez wzgląd na nią...

- Może pański Bóg będzie istotnie łaskawy - powiedział Lorenzo z zagadkową miną. - Ja nie wierzę w żadne modlitwy.

Wzdrygnął się w duchu na myśl o losie, jaki mógł spotkać Kathryn. Była bardzo piękna, na pewno osiągnęłaby wysoką cenę na rynku w Algierze.

- Co ja mam robić?

- Niech pan jedzie na Cypr, założy winnicę i zgodnie z planem zacznie nowe życie. Jeżeli wszystko pójdzie po mojej myśli, niedługo przywiozę panu Kathryn. - Loren-

zo uśmiechnął się smutno. - Jeżeli nie... Niech pan wyśle moje serdeczne przeprosiny jej rodzinie.

Lord Charles pokiwał głową. Czuł, że pod tą wystudowaną maską obojętności, którą przybrał młody Wenecjanin, kryją się głębokie emocje.

- Dobrze, postąpię zgodnie z pańską radą i... niech Bóg ma pana w opiece.

Lorenzo skłonił się zdawkowo. Oczy mu pociemniały od powstrzymanego gniewu.

- Niech pański Bóg będzie z tobą, panie. A teraz proszę mi wybaczyć. Muszę poczynić pewne przygotowania. Czas nagli.

Lord Charles przez chwilę spoglądał za Santorinim. Nie miał wyboru, musiał mu zaufać. Czuł, że między nimi zadzierzgnęła się wątła nić porozumienia. Tylko ktoś taki jak Lorenzo Santorini zdoła uratować Kathryn, pomyślał lord Charles. Człowiek, który doskonale zna morze, a także orientuje się w zwyczajach piratów.

Kathryn popatrzyła na dom, który miał stać się jej więzieniem. Duży budynek z szarego kamienia stał na niewielkim płaskowyżu, górującym nad sąsiadującym z nim miastem. Miał małe okna, w większości zakratowane. Prawdziwa twierdza, pomyślała z lękiem. Wzdrygnęła się, kiedy don Pablo podszedł bliżej, żeby pomóc jej zsiąść z konia.

- Witam w moich skromnych progach - powiedział z uśmiechem i poprowadził ją przez żelazną bramę do wnętrza posiadłości. Ciężkie drzwi zamknęły się za nimi ze

złowieszczym hukiem. - Niech pani czuje się tu jak u siebie. Może pani swobodnie korzystać z ogrodu i wszystkich dostępnych wygod.

- Doprawdy, jest pan wspaniałomyślny, don Pablo.

Była zła, ale starała się tego nie okazać. Nie chciała zbyt go drażnić, by nie pogorszyć swego położenia. Przecież była zakładniczką, więźniem, mimo że przyzwocie ją traktowano. Don Pablo nie odnosiłby się do niej z taką rewerencją, gdyby nie miał pewności, że mu nie ucieknie. Nie była w stanie pokonać wysokich murów, ciągnących się wokół ogrodu. Służba też będzie mnie pilnować, pomyślała Kathryn. No cóż, lepsza taka namiastka wolności niż ciągłe przebywanie w ciasnym, zamkniętym pokoju.

Hiszpan nie czynił jej żadnych wstęptów. Wiedział, co robi. Jego dom przypominał fortecę. Kathryn mogła liczyć tylko na to, że uspi czujność porywaczy i... No właśnie, co?

Za nic w świecie nie chciała wpaść w ręce Raszida. Przeszył ją dreszcz przerażenia. Wolałaby umrzeć, zabita podczas próby ucieczki. Tak, po stokroć lepiej umrzeć niż jako pozbawiona wszelkich praw niewolnica trafić do haremu.

Lorenzo stał na dziobie galery i spoglądał w morze. Wprawdzie hiszpański galeon miał nad nimi cały dzień przewagi, ale wioślarze pracowali niemal bez wytchnienia. Nikt nie wierzył, że dopędzą don Pabla na otwartym morzu, ale dystans między nimi zmniejszał się z każdą chwilą.

Przy odrobinie szczęścia mogli dotrzeć do Granady o wiele wcześniej, niż ich się spodziewano. Don Pablo będzie zaskoczony...

Lorenzo nie zwierzył się ze swoich planów lordowi Mountfitchetowi. Istniało pewne niebezpieczeństwo, że Kathryn zostanie ranna podczas ataku na posiadłość don Pabla. Niestety, nie było innego wyjścia. Lorenzo nie miał żadnej gwarancji, że gdy don Pablo się podda, Kathryn natychmiast odzyska wolność. Po cichu liczył na element zaskoczenia. A z drugiej strony, chyba lepiej, żeby nawet zginęła, niż miałyby dostać się do niewoli Raszida Groźnego.

Don Pablo pewnie był przekonany, że przez kilka najbliższych dni niczego nie musi się obawiać. Nie doceniał przeciwnika. Lorenzo od razu domyślił się prawdy, kiedy tylko usłyszał o porwaniu Kathryn. Zanim otrzymał list, już poczynił pewne przygotowania do podróży.

Ruchem ręki dał znać, żeby zmniejszyć tempo. Ludzie nie mogli długo wiosłować z takim wysiłkiem. Cała załoga - łącznie z Lorenzem Santorinim - co pewien czas zmieniała się przy wiosłach. Lorenzo nigdy nie wymagał od nich tego, czego sam nie mógł lub nie chciał zrobić.

Dlatego byli lojalni i w pełni mu wierni i oddani. Silni i dobrze wyszkoleni. Gotowi na to, żeby w walce umrzeć za swojego pana.

Kathryn zauważyła, że główna brama zawsze jest zamknięta. Otwierano ją tylko przy zmianie warty. Poza tym spostrzegła małą boczną furtkę, używaną przez służbę.

Każdego ranka jakiś starzec przyjeżdżał tam na ośle, przywożąc owoce i warzywa. Kiedy był w kuchni, furtka przez kilka minut pozostawała otwarta. Kathryn obserwowała go uważnie zza firanki, przez okno w swoim pokoju. Czas mijał, a nikt się nie zjawiał...

Mogłabym się tamtędy wymknąć, gdyby przyjeżdżał zawsze o tej samej porze, uznała.

Ale co potem? Tego nie wiedziała. Była w zupełnie obcym sobie kraju, sama, bez pensa przy duszy. Z deszczu pod rynną, pomyślała ze smutkiem. Don Pablo dotrzymał słowa i w dalszym ciągu traktował ją jak gościa. Gdyby uciekła i próbowała prosić o pomoc nieznanym, ryzykowała nie tylko życie.

Czy jednak miała inne wyjście? Czekać, aż don Pablo wymieni ją na porwaną córkę? Za żadne skarby nie chciała zostać niewolnicą Raszida. Wprawdzie Lorenzo oszczędził jej opisów życia wśród piratów, ale nie była aż tak naiwna, żeby nie wiedzieć, co ją spotka.

Nie dam się sprzedać, postanowiła zdecydowanie. Nie pójdę na targ niewolników!

Lorenzo zaklął z cicha. Minęły dwa dni, odkąd galeon dobił do brzegów Hiszpanii. Całe dwa dni, zanim skontaktował się z Ali Khayrem i kupił konie dla siebie i niewielkiego oddziału najlepszych żołnierzy. Chciał od razu przypuścić szturm na posiadłość don Pabla, lecz Ali mu to odradził.

- Znam człowieka, o którym mówisz - oznajmił. - Je-

śli dziewczyna jest w jego rękach, to na razie nic jej się nie stanie. A otwarty szturm nic nie da. Posiadłość jest pilnie strzeżona i zobaczą was już z daleka. Mogą po cichu wywieźć brankę. Jak ją wtedy znajdziesz? Nie, znacznie lepiej uciec się do podstępu.

- Jak zawsze masz rację - przyznał Lorenzo, chociaż z trudem panował nad zniecierpliwieniem. - Nie spocznę jednak, póki jej nie zobaczę.

- Proszę cię tylko o trochę cierpliwości, przyjacielu. Zrobię wszystko, żeby ci pomóc. Moi ludzie dotrą tam, gdzie ty na pewno się nie dostaniesz. Poczekaj.

Lorenzo zastosował się do rady przyjaciela, choć żył w duchu na tę przymusową bezczynność. Jego ludzie często bywali w mieście, żeby zasięgnąć języka. Dowiedzieli się, że, ogólnie rzecz biorąc, dom Hiszpana to istna forteca.

Jak się wkrótce okazało, Ali Khayr zebrał szczegółowe informacje.

- Przy głównej bramie stoją silne straże - wyjaśnił. - Zbrojni patrolują wewnętrzne ogrody, aczkolwiek nie zawsze robią to tak, jak powinni. Jest tam także boczna brama.

- Sugerujesz, że moglibyśmy dostać się przez boczne wejście?

- Jeden człowiek na pewno - odparł Ali. - Prowadzą tam dwie ścieżki. Jedna przebiega przed główną bramą i w związku z tym nikt tamtędy się nie przedostanie, niezauważony przez wartowników. Druga jest dużo trudniejsza,

więc praktycznie niechroniona. Gdyby dziewczyna o wyznaczonym czasie stanęła pod boczną furtką, to ktoś z nas mógłby ją sprowadzić na dół, do ciebie i twoich ludzi.

- Sam po nią pójde.

- Z twoimi oczami? Niebieskooki Arab to prawdziwa rzadkość - powiedział Ali i uśmiechnął się, aby nieco złagodzić swoją wypowiedź. - Nie, przyjacielu. To ci się nie uda. Nawet nie dojdiesz do furtki. Codziennie rano przyjeżdża tam dostawca owoców i warzyw. Jest Arabem. Służba zna go dość dobrze. Nawet na niego nie patrzą.

- W takim razie... - Lorenzo przebiegł w myślach po twarzach swoich ludzi. - Od nikogo nie mogę żądać, aby podjął takie ryzyko. A jeśli nisko się pochylę i przysłonię twarz, może jednak wezmą mnie za Maura?

- Oczu nie zmienisz - odparł Ali. - Czekaj u stóp urwiska i nie martw się o resztę. W razie czego powstrzymasz pogoń.

- Skąd wiesz, gdzie jej szukać wewnątrz budynku?

- Nie mógłbym spokojnie mieszkać w hiszpańskiej Granadzie, gdybym lepiej nie poznał Hiszpanów. Kiedy Bobadil z płaczem uchodził z Alambry, większość Maurów stąd wyjechała. Niektórzy zostali. Żyjemy cicho, staramy się nie rzucać w oczy, cały czas oglądamy się za siebie. Nawet gdy zastępy wojowników Allaha podeszły pod Galerę, mnie pozostawiono w spokoju. Nie sprawiam kłopotów Hiszpanom. Nie dostrzegają mnie, bo nie wchodzę im w drogę. Jestem nikim, nocnym cieniem. Niektórzy z nas pracują dla Hiszpanów. Uważają to za normalne. Za pie-

niądze da się wiele załatwić, przyjacielu. Ktoś zadba o to, by dziewczyna w odpowiedniej chwili znalazła się przy furtce. Jeśli Allah pozwoli, to jutro wieczorem będziecie razem.

- Będę twoim ogromnym dłużnikiem, Ali.

- Nieprawda. Spłacam jedynie własny dług, który kiedyś zaciągnąłem u ciebie - odpowiedział Ali Khayr. - Gdybyś w porę nie uratował mojego syna, pogryzionego przez wściekłego psa na miejskim rynku... Dobrze wiem, ile ryzykowałeś. A mój syn to całe moje życie. Dlatego możesz mną dysponować.

- To był przypadek - odparł Lorenzo. - Odpłaciłeś mi się już z nawiązką.

- Złotem nie da się wyrównać takich długów, ale postaram się zwrócić ci tę dziewczynę. Wtedy będziemy kwita. Pozostaniemy jednak przyjaciółmi.

- Tak jak teraz. Nigdy nie zapomnę o tym, że mi pomogłeś w trudnej sytuacji.

Ali uśmiechnął się i szeroko rozłożył ręce.

- Allah jest wielki, przyjacielu! Tylko od niego zależy, czy nasz plan się powiedzie.

Kathryn nie mogła zasnąć. Wstała o świcie, umyła się i włożyła suknię przyniesioną jej przez Hiszpana. Była cięższa i mniej wygodna niż angielskie stroje. Kathryn stanęła w oknie i spojrzała na ogród pełen soczystej zieleni i egzotycznych kwiatów. Wciąż czekała na starca. Postanowiła, że zbiegnie na dół i...

- Seniorita...

Kathryn obejrzała się i zobaczyła starą kobietę, którą już kilka razy widziała w ogrodzie. Chyba na stałe pomagała w kuchni. Skórę miała ciemną jak oliwa, zapewne po maurzańskich przodkach. Maurowie władali całą Granadą, dopóki nie pokonał ich król Hiszpanii. Wtedy wielu z nich porzuciło Półwysep Iberyjski, lecz niektórzy zostali.

- O co chodzi?

Staruszka położyła palec na ustach, nakazując jej milczenie. Potrząsnęła głową. Wzięła Kathryn za rękę i szepnęła kilka niezrozumiałych słów. Najwyraźniej chciała ją gdzieś zaprowadzić.

Kathryn zawahała się, ale stara kobieta szarpała ją coraz mocniej, wciąż mamrocząc pod nosem to samo zdanie. Jeżeli przysłał ją don Pablo, to powinnam z nią pójść, pomyślała Kathryn. Lepiej z nią niż pod zbrojną strażą. Skinęła głową i chciała coś powiedzieć, ale staruszka znów ją uciszyła.

Kathryn przyjrzała jej się podejrzliwie. Tu działo się coś dziwnego... Zaczęła podejrzewać, że kobieta przysłała, by pomóc się jej uwolnić, i że don Pablo nic o tym nie wie. Zeszły na dół, do drzwi wiodących do ogrodu. Stara wskazała prosto przed siebie, w stronę furtki. Lekko pchnęła Kathryn w plecy i machnęła rękami, jakby odpędzała gęsi, po czym uciekła do środka.

Kathryn powoli ruszyła we wskazanym kierunku. Nagle furtka się otworzyła i wszedł starzec, prowadząc osła. Kathryn przystanęła niepewnie. Sprzedawca warzyw energicznie skinął na nią dłonią. Niemal pędem przebyła ostatnie kilka kroków.

- Prędko! - powiedział i wyciągnął ją za mury. - Biegnij tamtą ścieżką. Zobaczysz, że skręca w prawo. Nie zatrzymuj się. Droga jest stroma i niebezpieczna, ale na końcu znajdziesz to, czego szukasz.

Słuchała go z bijącym sercem. Nieznajomy mówił do niej po angielsku, ale na pewno był Maurem. Podziękowała mu szeptem i odbiegła. Za sobą usłyszała skrzypnięcie zamykanej furty. Rzeczywiście ścieżka prowadziła ostro w dół. Kathryn w biegu spojrzała przez ramię. Zobaczyła, że od tej strony siedziba don Pabla została wyposażona tylko w dwa małe okna. Po chwili była już na tyle daleko, że mogła odetchnąć. Mimo to nie zwolniła kroku, chociaż ciężka suknia przeszkadzała jej w biegu. Sama nigdy by nie wybrała tej drogi ucieczki, ale słowa starego Maura podtrzymywały ją na duchu.

Skręciła za ogromnym głazem i zatrzymała się jak wryta. Ścieżka biegła nad przepaścią. Gdyby Kathryn potknęła się i upadła, mogłaby runąć w dół na pewną śmierć. Wzięła głęboki oddech i w tej samej chwili usłyszała szelest, a po nim stłumione przekleństwo. W dole ścieżki pojawił się jakiś człowiek, zmierzając szybko w jej kierunku.

- Chodź, Kathryn! - rzekł rozkazującym tonem. - Weź mnie za rękę. Pomogę ci zejść.

- Lorenzo... - wysapała.

Serce waliło jej jak młotem. Może to dziwne, lecz wcale nie była zdziwiona, że się zjawił. W gruncie rzeczy oczekiwała tego od momentu, kiedy stara kobieta zaprowadziła ją do ogrodu. Tylko on był zdolny do takich czynów...

Wenecjanin stanął tuż przy niej. Zmarszczył brwi.

- Co się stało?

- Zdejmij tę suknię - polecił. - W niej nie zajdziesz daleko.

Nie zastanawiała się ani chwili. Rozwiązała tasiemki i rzuciła suknię na ziemię. W samej halce poczuła się dużo swobodniej. Wyciągnęła dłoń do Lorenza. Chwytał ją mocno i uśmiechnął się z aprobatą.

- Dzielna dziewczyna - powiedział. - Czeka nas jeszcze sporo przeszkód, zanim znajdziemy się na dole, lecz się nie bój. Przy mnie nie spadniesz.

- Dziękuję. - Odważnie skinęła głową i popatrzyła na niego z pełnym zaufaniem.

Znów się uśmiechnął, ale nic nie powiedział. Ścieżka była niesłychanie wąska, a każdy niewłaściwy krok groził katastrofą. Wyglądało na to, że przed laty część zbocza obsunęła się w dolinę, tworząc mały występ. Don Pablo naprawdę nie musiał się obawiać, że wróg zajdzie go od tej strony. Żaden oddział nie przedarłby się na górę. Jedyne szersza droga wiodła do głównej bramy.

Sama nie zesłabym po tej stromiźnie! - pomyślała Kathryn. Serce podeszło jej do gardła, zanim zrobiła kilka pierwszych kroków po wąskim gzymsie. Lorenzo trzymał ją mocno i pewnie. Przesuwali się, szorując plecami po chropowatej ścianie. Kathryn starała się nie patrzeć w dół, a mimo to miała zawroty głowy. Wreszcie zamknęła Oczy. Wydawało jej się, że zaraz upadnie.

- Już niedaleko - usłyszała głos Lorenza. - Prawie jesteśmy na miejscu.

Nic nie powiedziała; była zbyt przerażona. Starła się oddychać spokojnie i powoli, ale ciągle nie otwierała oczu. Nagle poczuła pod stopami miększą ziemię. Po chwili Lorenzo chwycił ją w objęcia i przycisnął tak mocno, jakby chciał zmiażdżyć. Wyczerpana Kathryn nie miała siły płakać. Obecność Lorenza z wolna przywróciła jej odwagę.

- Jesteś bezpieczna, madonno - szepnął Wenecjanin. - Chodź, moja dzielna. Mam tutaj ludzi i konie. Trzeba się spieszyć. Jak tylko don Pablo zauważy, że cię nie ma, na pewno ruszy w pogoń.

Kathryn popatrzyła z wdzięcznością na Lorenza. Nie spodziewanie pochylił się nad nią i pocałował ją prosto w usta. Był to najdelikatniejszy z pocałunków, a jednak wystarczył, żeby zapamiętała go na całe życie. Serce zatrzepotało jej w piersi.

Lorenzo wyprostował się, chwycił ją za rękę i pociągnął w stronę łąki, gdzie czekał oddziałek jeźdźców. Za nimi rozciągał się widok na łagodne zbocze, szeroką dolinę i uśpione miasto, błyszczące w pierwszych promieniach porannego słońca.

- Na galerze będziemy całkiem bezpieczni - powiedział Lorenzo - i wtedy porozmawiamy.

W milczeniu skinęła głową. Lorenzo uniósł ją i posadził na siodło. Potem sam skoczył na konia. Kathryn dobrze wiedziała, że w każdej chwili grozi im potyczka z ludźmi

don Pabla. Mocniej ujęła wodze w dłonie. Oddział popędził w stronę plaży.

Kiedy znaleźli się na wybrzeżu, jeden z ludzi Lorenza wydał głośny okrzyk i wskazał za siebie. Na szczycie wzgórza pojawiły się sylwetki jeźdźców. Don Pablo musiał dość szybko zauważyć zniknięcie zakładniczki, bo jego zbrojni niemal następowali na pięty uciekinierom. Na całe szczęście zatoka była już niedaleko.

Zeskoczyli z koni. Ktoś od Lorenza zabrał je i pogalopował dalej, wzdłuż plaży. Pozostali, wraz z Kathryn i dowódcą, pobiegli po piasku do łodzi, która miała zabrać ich na galerę. Z tyłu rozległy się głośne krzyki. Lorenzo ujrzał, że ludzie don Pabla szykują się, aby oddać salwę z muszkietów. To była groźna, nowoczesna broń, wymyślona niedawno przez Hiszpanów.

Lorenzo wepchnął Kathryn do łodzi i sam wskoczył. Dwaj marynarze wypalili ze skałkówek. Oczywiście na tę odległość to nic nie dało.

Teraz już wszyscy siedzieli w łodzi i wiosłowali ze wszystkich sił. Ludzie don Pabla wpadli na plażę. Wycelowali do wiosłarzy. Huknęły strzały. Jeden z ludzi Lorenza krzyknął i upadł. Santorn natychmiast zajął jego miejsce, a Kathryn pochyliła się nad rannym, próbując zatamować krew, płynącą mu ramienia.

Oderwała rąbek halki i zrobiła z tego prowizoryczny opatrunek. Do jej uszu wciąż dobiegały strzały i wściekłe wołania. Zanim skończyła wiązać bandaż, łódź dobiła do

galery. Kilka silnych rąk wciągnęło rannego na pokład. Lorenzo wydawał głośne rozkazy. Huknęło działo. Kathryn spojrzała za siebie. Hiszpanie w popłochu uciekali z plaży i wdrapywali się na nadbrzeżne skały.

- Kathryn! - Lorenzo podszedł do niej. Stała drżąca. Nie bardzo wiedziała, co robić. Cała załoga siedziała już przy wiosłach, żeby jak najszybciej odpłynąć od brzegów niegościnniej Hiszpanii. - Chodź do mojej kajuty. Musisz trochę odpocząć. Dobrze wiem, ile przeszłaś. Wybacz mi, ale nie było innego sposobu...

- Nie przepraszaj - przerwała mu roztrzęsionym głosem.
- Ocaliłeś mi życie.

- Nie moja w tym zasługa. Pamiętasz przyjaciela, o którym ci opowiadałem? Ali Khayra? To właśnie on poszedł po ciebie do domu don Pabla. Mam nadzieję, że go nie schwytano. To byłaby dla niego prawdziwa klęska. Mieszka w Granadzie tylko dlatego, że Hiszpanie mu na to pozwalają. Mówił mi, że po prostu kupił sobie wolność, ale wiem, że ryzykował.

- Niech Bóg ma go w swojej nieustannej opiece! - żarliwie zawołała Kathryn. Uniosła głowę i zobaczyła, że Lorenzo zdołał już nieco ochłonać i znów przybrał nieprzeniknioną minę. - Pewnie jesteś na mnie okropnie zły za to, co się stało. Ostrzegałeś nas, byśmy same nie chodziły po mieście. Nie posłuchałam... Przebaczysz mi?

Uśmiechnął się zdawkowo.

- Nie pierwszy i nie ostatni raz, madonno.

- Co to znaczy? - spytała z przejęciem.

Lorenzo tylko pokręcił głową.

- Wybacz, ale teraz nie ma na to czasu. Muszę być na pokładzie na wypadek ataku. Wprawdzie don Pablo nie ma tak szybkich okrętów, by mogły dorównać mojej galerze, ale nigdy nic nie wiadomo. Michael zabierze cię pod pokład. - Skinął na stojącego w pobliżu mężczyznę.

- Szczerze rad jestem widzieć cię bezpieczną, panno Rowlands - powiedział z uśmiechem Michael. - Proszę za mną. Pokażę pani kajutę.

Kathryn podziękowała. Na odchodnym zerknęła przez ramię. Lorenzo pochylał się nad rannym marynarzem. Zrobiło jej się trochę przykro. Bardziej niż o nią troszczył się o swoich ludzi. Owszem, pospieszył jej na ratunek, ale tam, w górach, zachowywał się inaczej. Tulił ją w ramionach, nawet pocałował... Sprawiał wrażenie, że naprawdę się o nią martwił.

Tymczasem była dla niego tylko jeszcze jednym skrzywdzonym człowiekiem, którego wybawił z poważnej opresji. Z takich samych powodów ratował nieszczęsnych galerników. Ciekawe, ile wuj mu zapłacił za moje ocalenie? - pomyślała nagle.

Wolała, żeby zrobił to dla niej, a nie dla pieniędzy.

Michael otworzył przed nią drzwi. Kajuta okazała się dużo mniejsza i skromniej umeblowana niż ta, którą Kathryn zajmowała na wielkim galeonie, płynąc do Hiszpanii jako zakładniczka don Pabla. W kącie stała zwyczajna prycza ze słomianym materacem, zasłana kocem, a obok stół, zarzucony mapami, proste drewniane krzesło i żeglarska skrzynia. Nic

więcej. Najwyraźniej dowódca galery postanowił razem ze swymi ludźmi dzielić niewygody. W domu opływał we wszelkie luksusy. Na pokładzie żył niczym spartanin.

- Proszę wybaczyć, panno Rowlands - odezwał się Michael. - Nie mieliśmy czasu, żeby przygotować się na pani przybycie. Niemal natychmiast wypłynęliśmy z portu, bo nikt z nas nie był pewny zamiarów don Pabla. Istniała możliwość, że zechce sprzedać panią Raszidowi w zamian za swoją córkę. Czas naglił. Łatwiej było nam wyrwać panią z rąk Hiszpana, niż szturmować fortecę Raszida. To potężny zamek. Nikt żywy nie wychodzi stamtąd bez zgody Raszida Groźnego.

Kathryn zadrżała, uzmysławiając sobie grozę niedawnego położenia. Zatem niewiele brakowało, żeby trafiła do haremu...

- Przeprosiny zbyteczne - powiedziała ciepło. - Jestem wdzięczna wam wszystkim za tak szybki ratunek. Jeśli tu mieszka Lorenzo, w zupełności mi to wystarczy.

- Kapitan Santorini nigdy nie wywyższał się ponad żeglarzy - odparł Michael. - Pani jednak należą się większe wygody.

- Wystarczy, panie - odpowiedziała stanowczym tonem. - Odpowiada mi ta kajuta. Wątpię, żeby Raszid zapewnił mi choć te luksusy.

- Dziękować Bogu, że nie trafiła pani w jego ręce. - Michael westchnął i zamasyżuje się ukłonił. - Niech pani odpocznie. Jak tylko będziemy na otwartym morzu, przyniosą pani strawę i coś do picia.

Kathryn skinęła głową. Po wyjściu Michaela wyjrzała przez mały bulaj. Puste morze ciągnęło się aż po horyzont. Usiadła na koi. Teraz, gdy została sama, opadło ją przerażenie. Uświadomiła sobie, jak niewiele dzieliło ją od straszliwego losu. Zamknęła oczy, żeby odpędzić czarne myśli. Już było po wszystkim. Bezpiecznie dotarła na galerę Lorenza.

Łzy napłynęły jej do oczu, ale nie zapłakała. Lorenzo ryzykował dla niej własną głowę i życie swoich ludzi. Pewnie był bardzo zły, że sprawiła mu tyle kłopotów. Owszem, na razie powstrzymał się od wymówek, lecz nie wiadomo na jak długo.

Kathryn położyła się na koi. Była głodna i zmęczona, ale zasnęła tylko na krótko. Michael chyba zapomniał o niej, bo nie dostała nawet kęsa strawy. Zerwała się i odgarnęła z twarzy włosy. Czuła się brudna, a w podartej halce było jej trochę zimno.

Postanowiła wyjść na pokład i zobaczyć, co się tam dzieje. W tej samej chwili usłyszała donośny huk, który wstrząsnął galerą od dziobu do samej rufy. Czym prędzej wyjrzała na zewnątrz przez bulaj. Zobaczyła dwie inne galery, szykujące się do ataku. Z flagi na maszcie domyśliła się, że to piraci. Na białym tle widniał półksiężyc, a obok krwawoczerwone „R”. Ten widok zmroził jej krew w żyłach.

To na pewno ludzie Raszida! Kathryn z przerażeniem obserwowała bitwę. Pocisk z armaty Lorenza wyraźnie sięgnął celu. Jedna z obcych galer przechyliła się na burtę i straciła sterowność. Druga odpowiedziała ogniem. Na-

stąpił wstrząs. Boże, trafili nas! - pomyślała przestraszona Kathryn. Działa znajdujące się na okręcie Lorenza zahuczały następną salwą. Druga galera była nieco bliżej, została więc podziurawiona jak sito. Zatoneła tak szybko, że Kathryn nie wierzyła własnym oczom. Jeszcze przed chwilą ziała ogniem, a potem zniknęła. Na wodzie unosiły się tylko nędzne szczątki... Nie, byli też ludzie.

Pierwsza galera uciekła, porzucając swoich towarzyszy. Kathryn ze zgrozą patrzyła na tych nieszczęśników, którzy trzymali się pływających desek i coś krzyczeli do uciekinierów. Znowu zaryczały armaty Lorenza. Ocalała galera nie mogła zawrócić. Rozbitkowie mieli więc umrzeć?

Kathryn dopadła drzwi kajuty, rozwarła je na oścież i wybiegła na wąski pokład. Przez moment myślała, że ludzie Lorenza są równie okrutni jak ich przeciwnicy, bo nikt z nich nawet nie spojrział na rozbitków. Cieszyli się i wiwatowali. Potem jednak, kiedy gwar nieco przycichł, ujrzała, że rzucili liny.

- Powinna pani zejść pod pokład, panno Rowlands.
- Michael podszedł do niej. - To nie widok dla pani. No i poza tym...

Kathryn w popłochu spojrzała w dół. Wciąż była w poszarpanej halce.

- Mogłabym pomóc rannym - bąknęła nieśmiało.
- Tym zajmie się nasz chirurg okrętowy - odparł. - Proszę odejść.
- Ale ci ludzie w wodzie...
- To już nasza sprawa. Proszę odejść!

Kathryn uciekła jak niepyszna. Nad sobą usłyszała donośne rozkazy. Rozległ się zgrzyt wiosł. Galera ruszyła naprzód. Kathryn wyjrzała przez bulaj i zobaczyła kilka ciał, wciąż unoszących się na wodzie. Z tej odległości nie umiała orzec, czy to żywi, czy martwi. Miała łzy w oczach, ponieważ wiedziała, że jeśli tam ktoś przeżył, to na pewno umrze.

Jak Lorenzo może być tak okrutny? Sądziła, że miał w sobie nieco więcej współczucia. Na skalistym zboczu przez krótką chwilę wydawał jej się zupełnie innym człowiekiem. Okazało się, że to było tylko złudzenie. W rzeczywistości był bezwzględny. Ratował tylko tych, na których mógł zarobić.

Zimny dreszcz przebiegł po plecach Kathryn. A już myślała, że go kocha... Czy mogłaby pokochać okrutnika?

Rozdział piąty

- Błagam o wybaczenie - powiedział Michael, kiedy później przyniósł wino i coś do zjedzenia. - Jak pani widziała, stoczyliśmy bitwę z dwoma galerami Raszida. Nikt z nas nie myślał o posiłku.

- Ale ci ludzie w wodzie... - zaczęła Kathryn. Choć była bardzo głodna, zemdliło ją na widok potraw. - Dlaczego ich nie zabraliście?

- Kilku z nich wyłowiono. Głównie galerników - odparł Michael, stawiając tacę na stole. - O innych lepiej się nie martwić. Większość nie żyła, a poza tym... to nie są ludzie, którzy zasługują na pani litość.

- Wszyscy jesteśmy dziećmi Boga - odrzekła łamiącym się głosem. - W Jego obliczu nawet zwykły wróbel to żywa istota.

- Dziękuję, Michaelu - rozległ się ostry głos Lorenza. - Zostaw nas samych.

Kathryn spojrzała na niego oskarżycielskim wzrokiem. Lorenzo szedł na bok, żeby przepuścić podwładnego.

- Tyłu ich było - zdławionym głosem ciągnęła Kathryn.
- Przecież chyba nie wszyscy od razu zginęli...

Lorenzo przypatrywał jej się z beznamiętnym wyrazem twarzy.

- To byli ludzie Raszida - powiedział szorstko. - Bezliotni piraci. Nie biorą jeńców. Wiesz, co by się stało, gdyby zwyciężyli? Lepiej zachowaj łyzy dla ludzi, którzy na nie zasługują.

- Ale przegrali... - Słowa zamarły jej na ustach, bo najwyraźniej Lorenzo się rozgniewał. Nie chciał jej dłużej słuchać.

- A nie pomyślałaś, że w pobliżu mogą krążyć inne pirackie galery? Nie przyszło ci do głowy, że nas zaatakują, kiedy zajmujemy się rozbitkami? Zaręczam ci, że lord Mountfitchet na pewno by się nie ucieszył, gdyby usłyszał, że tylko po to uciekłaś z rąk don Pabla, żeby skończyć jako piracka niewolnica.

- Chcesz powiedzieć, że to ze względu na mnie pozostałeś tych ludzi na pastwę losu?

- Tak się nimi przejmujesz, czuła Kathryn? Nie zrzucaj winy na moje barki. Nie lituję się nad ludźmi, którzy i tak poszliby na stryczek. Co z tego za pożytek?

- Myślisz tylko o zyskach - ze złością odparowała Kathryn. - W takim razie powiedz, ile dostaniesz za mnie od lorda Mountfitcheta?!

Kathryn pożałowała swoich słów, ledwie je wypowiedziała, ale była zbyt dumna, żeby przeprosić Lorenza. Wyżej uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Może powinieneś pomówić z moim ojcem? Dla niego jestem więcej warta.

- Zapamiętam to sobie - z błyskiem w oku odpowiedział Lorenzo. - Skąd wiesz, że zwrócę cię wujowi? Znam takie miejsca, moja madonno, gdzie osiągnęłabyś najwyższą cenę.

Dał krok w jej stronę. Przez chwilę miała nieodparte wrażenie, że Lorenzo zamierza chwycić ją w ramiona. Patrzyli sobie w oczy. Potem Wenecjanin z niechęcią pokręcił głową i odsunął się od Kathryn.

- Sprawiasz same kłopoty - powiedział. - Mam teraz inne rzeczy do zrobienia. Lepiej uważaj, żebyśmy się na dobre nie pogniewali.

Odwrócił się i wyszedł z kajuty. Kathryn wpatrywała się w zamknięte drzwi. Chyba nie mówił tego poważnie? Czy naprawdę chciał wystawić ją na licytację?

Nie, to nieprawda, pomyślała. Zawiezie mnie do lorda Mountfitcheta i weźmie uzgodnioną cenę. W gruncie rzeczy nic o nim nie wiem. Dbą o to, by nikt nie poznał go bliżej, starannie ukrywa swoje uczucia.

Usiadła na brzegu koi i przycisnęła ręce do piersi. Myślałam, że mnie pocałuje, przemknęło jej przez głowę. Głupia! Lepiej pozbaądź się wszelkich nadziei związanych z tym człowiekiem. Pomyśl o lordzie Charlesie i cioci Mary. Oni naprawdę cię kochają.

Lorenzo patrzył w morze. Była ciemna noc i niewiele gwiazd świeciło nad jego głową. Wiedział jednak, że za parę godzin dotrą do Wielkiej Laguny. Postanowił najpierw zatrzymać się w Wenecji, a dopiero potem popłynąć na

Cypr. Galera została uszkodzona w ostatniej bitwie z piratami. Rozsądniej będzie wysłać Kathryn innym statkiem, pomyślał. Może frachtowcem pod osłoną bojowej eskadry? Nie chciał jej dłużej trzymać blisko siebie. Ostatnio za bardzo załazła mu za skórę i przedarła się przez wzniesiony przez niego mur obojętności.

Pierwszy raz od niepamiętnych czasów Lorenzo poczuł nagły przypływ innych emocji niż nienawiść. Do tej pory to nią się kierował. Nie pamiętał dnia, w którym trafił do piratów. Nie pamiętał nawet, jak to się stało. Siedział przy wiosle, kuląc plecy pod uderzeniami bata - to było jego jedyne wyraźne wspomnienie. Łańcuch, który ocierał mu nadgarstki... Lorenzo w zamyśleniu potarł skórzaną opaskę. Nie mógł jej zdjąć na pokładzie. Może dopiero później, w kajucie, którą teraz zajmowała...

- Kathryn - powiedział na głos, nie zdając sobie z tego sprawy. - Kathy... Mała słodka Kathy...

Jakiś ryk wdarł mu się w uszy i przyprawił go o zawrót głowy. Gwiazdy zniknęły. Pociemniało mu w oczach. Nic nie widział, czuł tylko przenikliwy ból, słyszał czyjeś jęki, a potem ujrzał twarz małej dziewczynki. Twarz, krew...

- Coś mówiłeś, panie?

Lorenzo drgnął jak wyrwany z transu i spod oka popatrzył na Michaela. Nie wiedział, co się z nim działo w ciągu ostatnich kilku minut. Miał wrażenie, jakby ktoś na chwilę rozsunał grubą kurtynę, zaciemniającą jego umysł. Chyba niewiele brakowało, a przypomniałby sobie zapomnianą przeszłość.

- Nie. Tylko chrząknąłem - odparł. Nie chciał myśleć o tamtych sprawach ani o kobietach, ani o dziewczynkach.

- Dzisiaj dopisało nam szczęście - zwrócił się do Michaela.

- Wydaje mi się, że Raszid wiedział o naszej samotnej wyprawie. To był mój błąd. Jeśli walczysz ze stadem wilków, sam też musisz działać w stadzie.

- Nie mieliśmy zbyt wiele czasu, żeby skrzyknąć pozostałych kapitanów - odparł Michael. - Myślę zupełnie o czym innym, Lorenzo. Wygląda na to, że panna Rowlands zupełnie nie zna praw, które obowiązują ludzi morza. Jest na nas zła o tych rozbitków. Nie mogliśmy ich uratować.

- Kobiety nie powinny mieszać się do wojny - orzekł Lorenzo. Częściowo odzyskał dawny rezon. Uśmiechnął się, chociaż jego niebieskie oczy nadal pozostawały zimne. - Nie rób sobie wyrzutów, przyjacielu. Ci, którzy dziś zginęli, z własnej woli służyli okrutnemu panu. Dobrze wiedzieli, co ich czeka. Zabiliby nas bez wahania, a ja...

- Niektórzy służą mu pod przymusem.

Lorenzo ujrzał w oczach przyjaciela cień zwątpienia.

- Trzech wyciągnęliśmy z wody - zauważył. - Inni nie mieli najmniejszych szans na ratunek. Byli przykuci do wiosł i poszli na dno razem z galerą. Wśród nas nie ma niewolników, Michael. Ratując piratów, skazemy na śmierć setki niewinnych ludzi. My też możemy zginąć za nasze przekonania. Nie możemy sobie pozwolić na niepotrzebne sentymenty.

- Oczywiście. - Michael nie chciał okazać się mięcza-

kiem z powodu kobiety. - Ona jest bardzo piękna, a ja okazałem się zwykłym głupcem. Przepraszam.

- Kobiety chętnie robią z nas głupców, kiedy im na to pozwalamy.

Kathryn spojrzała w błękitne wody laguny i westchnęła z nieukrywana ulgą. Wkrótce czekało ją spotkanie z ciotką Mary i wujem Charlesem. Z powodu niespodziewanych dramatycznych wydarzeń musieli przedłużyć pobyt w Wenecji, ale na pewno chcieli jak najszybciej wybrać się w podróż na Cypr. Ona też chciała tam wyjechać i raz na zawsze uwolnić się od Lorenza Santoriniego.

Miała świadomość, że jest mu winna ogromną wdzięczność i szczerze przeprosiny. Nic jednak nie mogła na to poradzić, że ją drażnił. Był arogancki i zadufany w sobie. Tylu ludzi poszło na dno wraz z galerą, a on uratował zaledwie kilku. A gdyby tak jego ktoś przykuł do wiosła? Co by czuł? Co by wtedy zrobił? Nic nie wiedział o dojmującym bólu i cierpieniu.

Kathryn pamiętała, jak się zachowywał w stosunku do człowieka, którego nazwał Williamem. Ani litości, ani współczucia. Nic, tylko ostre słowa. A przecież później zdawał się ciepły, dobry, kochany.

Stop. Kathryn zaczerwieniła się po same uszy. Przypomniała sobie tę burzę uczuć, kiedy Lorenzo trzymał ją w ramionach. Nie, nie! To była tylko gra wyobraźni. Przecież nie mogła go pokochać! To niemożliwe. Po prostu odczuwa wdzięczność za to, że ją ocalił.

Usłyszała za sobą skrzyp otwieranych drzwi. Odwróciła się i napotkała spojrzenie niebieskich oczu Lorenza.

- Moja gondola zabierze cię do domu - oznajmił. - Możesz tam czuć się jak u siebie, ale nie wychodź nigdzie bez eskorty.

- Wystarczy mi towarzystwo ciotki, panie.

- Lady Mary i lord Mountfitchet są już w drodze na Cypr - odparł. - Po bitwie z piratami galera wymaga naprawy. Tylko dlatego zawinałem do Wenecji.

- Ale... - Kathryn popatrzyła na niego ze zgrozą. - Jak to? Nie mogę zostać w pańskim domu pod nieobecność cioci Mary.

Popatrzył na nią drwiącym wzrokiem.

- Niedawno byłeś więźniem don Pabla, Kathryn. Na pewno ucierpiała na tym twoja reputacja. Przy mnie nie musisz drzeć o swoją cnotę. Nie gustuję w rozwydrzonych dzieciach.

Kathryn oblała się ciemnym rumieńcem.

- Nie chciałam... Moja reputacja... - Urwała, uświadamiając sobie, że powiedział prawdę. Była więźniem Hiszpana, przez pewien czas przebywała na pokładzie galeonu, a później w domu don Pabla. Praktycznie wszystko mogło się wydarzyć w tym czasie. Niektórzy pewnie nawet wierzą, że tak się stało. - Trochę za późno, bym mogła martwić się o to, co pomyślą inni...

Lorenzo się roześmiał.

- A niech myślą, co chcą. Ten, który cię poślubi, będzie wiedział, że zachowałeś dziewictwo do dnia wesela. Inni się nie liczą.

- Racja - przyznała i wyżej uniosła głowę, choć w głębi duszy czuła ogromne przygnębienie. Młoda dziewczyna, zwłaszcza niezamężna, nie miała praktycznie nic, poza reputacją.

- Wyciągnęliśmy z morza trzech galerników - poinformował ją Lorenzo. - Żaden z nich nie ma niebieskich oczu, ale jak dojdą trochę do siebie, można ich spytać o Richarda Mountfitcheta.

- Zawsze był dla mnie Dickonem - odpowiedziała. Jej twarz przybrała nieco rozmarzony wyraz. - On zaś mówił do mnie „Kathy, słodka Kathy”... Byliśmy dziećmi, ale naprawdę go kochałam.

Lorenzo poczuł, jak mu pulsują skronie.

- Jeśli przypomnisz sobie coś jeszcze, daj mi znać. Naprawa okrętu potrwa nie dłużej niż tydzień. Potem odwiozę cię do wuja. Tak jak prosiłaś, chyba wzięł ze sobą Williama.

- Dziękuję. - Wbrew sobie popatrzyła mu prosto w oczy i znów ogarnęła ją fala dziwnych uczuć. Jakaś ty głupia! - skarciła się w myślach. Lepiej zapomnij o panu Santorinim. Kochasz Dickona, nigdy nie będziesz miała innego męża.

- Chciałabym jak najszybciej wrócić do wujostwa.

- Oczywiście - odparł. - Teraz zaś gondola czeka.

Kathryn niespokojnym krokiem przechadzała się po swojej komnacie. Od dwóch dni byli w Wenecji, a Lorenzo wcale się nie pokazywał. Służba czekała na każde jej skinienie, posiłki były wręcz przepyszne, lecz jadała je zupełnie sama. Było jej smutno. Czasem myślała, że po ucieczce z Hiszpanii z jednego więzienia trafiła do drugiego.

Miała już serdecznie dość tego domu. Zeszła na dół, by wybrać się na spacer po ogrodzie. Kiedy jednak tylko weszła do wielkiej sali, usłyszała czyjś głos i po chwili w drzwiach pojawił się Lorenzo w towarzystwie Michaela dei Ignacia. Jednocześnie na nią spojrzeli. Michael uśmiechnął się, ale Lorenzo pozostał chłodny jak zwykle.

- Zamierzałam iść do ogrodu - nerwowo wyjaśniła Kathryn. - Ciepło dzisiaj, a w domu czułam się samotna.

- Musi to panią męczyć - zauważył Michael. - Obawiam się, że byliśmy ostatnio zbyt zajęci, żeby dotrzymać pani towarzystwa. Dzisiejszego wieczoru odbędzie się bal maskowy pod gołym niebem. Co pani na to? Sam się tam wybieram i jestem przekonany, że Lorenzo też da się namówić. Oczywiście weźmiemy porządną eskortę, chociaż nie wierzę, aby don Pablo planował nowy zamach.

- Och, to cudowny pomysł! - Kathryn spojrzała na Lorenza. - Mogę?

Wydawało jej się, że mocniej zacisnął usta.

- Nie jesteś moim więźniem, Kathryn. Pod opieką Michaela na pewno będziesz bezpieczna. Przykro mi, ale ten wieczór mam już zaplanowany. Czekają na mnie ważne sprawy. Musisz się przebrać. Zaraz wydam polecenie służbie, żeby przygotowała ci odpowiednią suknię. I oczywiście kilka masek do wyboru.

- Dziękuję. - Podświadomie wyczuwała jego niechęć. Za co tym razem się pogniewał? Że przyjęła propozycję Michaela? - Już się cieszę na dzisiejszy wieczór, signor Ignacio.

- Przyjdę po panią punktualnie o siódmej - z ukłonem

obiegał Michael. - Państwo wybaczą, ale przed balem muszę jeszcze coś załatwić.

Kathryn także chciała odejść, jednak Lorenzo wyszedł za nią do ogrodu. Zatrzymała się, czekając na to, co jej chciał powiedzieć.

- Obiecuje, że nie zrobię nic głupiego - bąknęła wreszcie, żeby przerwać milczenie.

- Michael na pewno o to dobrze zadba. A poza tym don Pablo jest już raczej niegroźny. Dostał ode mnie pewną wiadomość. Nie będzie cię już niepokoił, Kathryn.

- Cóż to za wiadomość?

- Nie musisz koniecznie wiedzieć - odparł ostrym tonem.

- Za dwa dni będziemy mogli wyruszyć w drogę na Cypr.

- Och... - Kathryn nie była całkiem pewna, czy to dla niej dobra, czy zła wiadomość. - Dziękuję, panie. Nie mogę się doczekać spotkania z wujostwem.

- Tam w pełni odzyskasz wolność, której tu nie miałaś.

- Tak. Lorenzo...

Przesunęła się lekko w jego stronę. Chciała, żeby wziął ją w ramiona i przytulił tak jak tam, w Hiszpanii, na stromym górskim zboczu. Wydawało jej się, że i on tęskni za tym samym. Popatrzył na nią rozplómiętym wzrokiem, a potem nagle odsunął się o kilka kroków.

- Wybacz, czekają na mnie interesy - powiedział oschle. Kathryn natychmiast powróciła z krainy pięknych marzeń.

- Odpocznij trochę. Weneckie bale wymagają wiele energii i siły.

Skinął jej głową, odwrócił się i odszedł. Kathryn stała

nieruchomo, cała w pałaszach. Czyżby za bardzo się zdradziła? Co znaczyło to spojrzenie? Och, ty głupia dziewczyno, znowu skarciła się w duchu. Kiedy wreszcie przestaniesz o nim myśleć?

Na bal wybrała białą jedwabną suknię, ozdobioną czarnymi koronkami. Do tego maskę białą-czarno-srebrną, zakrywającą jej pół twarzy i mocowaną wstążeczkami. Wzięła też płaszcz uszyty z miękkiego aksamitu, bo chociaż weneckie dni były upalne, to wieczorami robiło się dość chłodno.

Czekała na dole, w saloniku. Michael zjawił się zgodnie z obietnicą. Miał na sobie biało-czarny kostium arlekina. Pasowali do siebie wyśmienicie. Michael był bardzo przystojnym mężczyzną, o ciemnych włosach i pięknych oczach, które złamały serce już niejednej mieszcze. Kathryn zastanawiała się, dlaczego nie budził w niej tyle emocji, co Lorenzo. Był przecież miłszy i grzeczniejszy od swojego pryncypała.

- Stanowimy uroczą parę - powiedziała i dygnęła.

- Jest pani piękna, panno Rowlands - przyznał - a ze mnie jedynie prosty żeglarz. Gdzie mi tam do pani...

Kathryn nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Była trochę zaskoczona słowami, które sugerowały coś głębszego niż zwykła sympatia. Uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego rękę. Michael musnął ustami koniuszki jej palców i wyprowadził ją przed pałac, do czekającej gondoli.

- Pomyślałem, że zechce pani popatrzeć na miasto, zanim przyłączymy się do tłumu na placu Świętego Marka - powiedział. - Dziś mamy prawdziwe święto.

Kathryn wsiadła do gondoli. Popłynęli przez piękne wąskie zaułki, rozświetlone licznymi pochodniami i małymi latarniami. Wszędzie było pełno serpentyn, kwiatów i chorągiewek.

Na placu roiło się od rozbawionych ludzi. Głośno grała muzyka. Przebierańcy tańczyli, nie zdejmując masek. Niektóre z nich były bardzo egzotyczne: przypominały głowy zwierząt lub fantastycznych stworów. Inne znów napawały smutkiem albo śmiechem - ale najczęściej było całkiem prostych, takich jak maska Kathryn.

Trzy razy tańczyła z Michaelem, a potem, nieco zmęczona, stanęła z boku, żeby popatrzeć na innych tancerzy. Z wolna sączyła słodki napój zmieszany z owocami. Ledwo zdążyła odstawić szklanke, kiedy ktoś chwycił ją za rękę i pociągnął do tanecznego kręgu. Serce zamarło w niej ze zgrozy, ale gdy spojrzała na zamaskowanego mężczyznę, od razu go rozpoznała.

- Dobrze się bawisz, madonno?

- Bardzo dobrze - odpowiedziała. - Mówiłeś, że masz inne plany.

- Skończyłem wcześniej, niż się spodziewałem - z uśmiechem odparł Lorenzo. Jego maska też nie była wyszukana. Ubrał się całkiem na czarno, z wyjątkiem srebrnej szarfy, którą był przepasany w talii. - Chciałem zobaczyć, co się stanie w tę noc tajemnic i zabawy.

- Jakich tajemnic?

- Nie znasz legendy o Siódmym Księżycu?

Kathryn pokręciła głową.

- Co to jest Siódmy Księżyc?
- Jeśli dziewczica przez kolejne siedem nocy wpatruje się w odbicie księżycy w wodzie, to ostatniej nocy zobaczy twarz kochanka, a rano już nie będzie chciała być dziewczicą
- powiedział ze sztucznym namaszczeniem w głosie. Kathryn miała szczerą ochotę się roześmiać. - Czy widziałaś twarz swojego kochanka, madonno? Ciekaw jestem czyją?
- Och! - Zapiekły ją policzki. Szybko odwróciła głowę.
- A skąd się wzięło dzisiejsze święto? - zapytała, żeby ukryć nagłe zmieszanie.
- Tego nie mogę ci powiedzieć - ze śmiechem odparł Lorenzo. - Może to jakaś rocznica tej legendy?
- Myślę, że sam to wymyśliłeś! - zawołała. Serce żywiej jej zabiło, gdy usłyszała jego głęboki śmiech.
- Naprawdę, Kathryn? - spytał. - Niby dlaczego?
- Pokręciła głową. Przez krótką chwilę miała wrażenie, że zemdleje, przygnieciona natłokiem przedziwnych emocji. Lorenzo znów był całkiem inny niż zazwyczaj. Ponownie przypominał jej Dickona, który na poczekaniu wymyślał fantastyczne opowieści, żeby ją zabawić.
- Muzyka umilkła i tancerze skierowali się w stronę kramów i suto zastawionych stołów. Kathryn nieśmiało spjrzała na swego partnera. Tak bardzo chciała teraz być małą dziewczynką...
- Kim jesteś? - spytała, patrząc mu prosto w oczy.
- Nie wiem, Kathryn - odparł zupełnie poważnie. Zająknęła się, a on lekko pocałował ją w usta. - Odkąd pojawiłaś się w moim życiu, nie wiem już o niczym.

- Lorenzo. - Odruchowo dotknęła ust i przypatrywała mu się z mocno bijącym sercem. - Co to znaczy?

- A co znaczą jakiegokolwiek słowa? - zapytał z tajemniczym uśmiechem. - Nie mówiłem ci, że to noc tajemnic? Michael cię szuka. Odprowadzę cię do niego, Kathryn.

Chyba wołałaby, żeby został, ale czar prysnął. Lorenzo wziął ją pod ramię i podprowadził do Michaela. Potem odwrócił się i w jednej chwili zniknął wśród tłumów zgromadzonych na placu.

- Nigdy go nie widziałem na maskaradzie - rzekł Michael. - Nawet nie przypuszczałem, że potrafi tańczyć.

- Nigdy z nikim? - Kathryn drgnęła. To bardzo dziwne!
- Powiedział mi, że wcześniej skończył pracę.

- Mimo to... - Michael otrząsnął się z zamyślenia. - Zje pani coś, panno Rowlands?

- Chyba nie jestem głodna. Nie pogniewa się pan, jeśli wrócimy już do domu?

- Oczywiście, że nie. Jestem do pani usług.

- Dziękuję, że mnie pan tu przyprowadził. Bawiłam się wprost wyśmienicie.

- Prawdę mówiąc, to był pomysł Lorenza. Zauważył, że wciąż przesiaduje pani w domu. Zapytałem, dlaczego sam tego nie zrobi? Odpowiedział, że przy mnie będzie pani dużo bezpieczniejsza. Zupełnie go nie rozumiem. - Michael zmarszczył brwi. - Lorenzo Santorini... Chętnie oddam za niego życie, ale... - Urwał, jednak po chwili podjął znowu: - Obawiam się, że nie byłaby pani z nim szczęśliwa. Cięży nad nim przeszłość. Coś, o czym nie potrafi zapomnieć.

- Co to znaczy? - Kathryn wpatrywała się w Michaela szeroko otwartymi oczami. Wydawało jej się, że zimna ręka ściska ją za szyję. - O czym pan mówi?

- Proszę wybaczyć, i tak powiedziałem stanowczo za dużo. Nie mam do tego prawa. Nie chcę się wtrącać, ale szanuję panią, Kathryn. Och... Przepraszam, że bez pozwolenia zwróciłem się do pani po imieniu. - Potrząsnął głową. - Jest pani dobra, dzielna i piękna. Co prawda, nie znam zamiarów Lorenza, ale też nie chcę pani krzywdy.

- Dziękuję panu za dobre słowo i serdeczną troskę. Jednak nie sądzę, żeby Lorenzo miał wobec mnie jakiegokolwiek plany. Odwiezie mnie do lorda Mountfitcheta i weźmie obiecany okup.

- Jaki okup? - Michael wybałuszył oczy. - Chyba nie myśli pani, że popłynął do Hiszpanii wyłącznie z chęci zysku? Och nie. Myli się pani, panno Kathryn. Owszem, czasem się zdarza, że Lorenzo bierze pieniądze od rodziny jakiegoś rozbitka. Najczęściej są to dary od uszczęśliwionych krewnych. Lorenzo korzysta z nich w szlachetny sposób. Na każdego człowieka, który wraca na łono rodziny, jest stu innych, którzy nie mają co ze sobą począć. Niektórzy nawet nie mogą pracować. Głodowali by, gdyby nie hojne datki.

Kathryn słuchała tego oszołomiona. Coś ją ścisnęło w gardle.

- Mówi pan, że te pieniądze... - Zająknęła się niemal ze szlochem, bowiem zrozumiała, że była niesprawiedliwa wobec Lorenza. - Pomaga ludziom, którzy sami nie mogą się utrzymać?

- A co, może mieli wylądować na bruku? Lepsza szybka śmierć niż powolne konanie z głodu, panno Kathryn. Lorenzo jest bardzo bogaty, ale w ogóle nie myśli o sobie. Przede wszystkim ściga piratów. Chce ich zniszczyć. Dlatego ostrzegałem panią przed miłością. Jest w nim tak wiele goryczy i bólu... - Kathryn spojrzała na Michaela pytającym wzrokiem, ale on przecząco pokręcił głową.

- Nie mogę pani powiedzieć nic więcej. Zaklinam panią, aby Lorenzo nigdy nie dowiedział się o naszej dzisiejszej rozmowie. Byłby zły. Nie życzy sobie ani podziękowań, ani współczucia. Od nikogo.

- Będę milczeć jak grób - obiecała Kathryn. - Dziękuję, że pan mi to powiedział. O niczym nie wiedziałam.

Tak, rzeczywiście nie wiedziała, ile uczuć kryje się pod maską, którą przybierał Lorenzo. W dalszym ciągu nie mogła zapomnieć o ciałach leżących w wodzie, wśród szczątków zatopionej galery, ale przynajmniej zrozumiała intencje Lorenza.

Lorenzo zdjął skórzane opaski i potarł ciemnoczerwone blizny na przegubach. Znak niewolnika. Odwieczne przypomnienie bólu, poniżenia i nienawiści. Przy łożu śmierci Antonia Santoriniego złożył przysięgę, że nie spocznie, dopóki Raszid nie zostanie na zawsze pokonany. Niewolnicy piratów powinni odzyskać wolność. Nic nie mogło odwieść go od tych zamiarów. Nic - nawet słodycz ust pięknej kobiety, która budziła w nim nieznane dotąd uczucia.

Wspaniale tańczyła. Ciągłe myślał o niej, chciał ją całować, kochać się z nią...

Nie! To szaleństwo! Nie mógł jej posiadać jak zwyczajnej dziewczki. Powinna mieć dobrego męża, dom i nazwisko... A on nawet nie wiedział, jak się naprawdę nazywa!

Pamiętał dreszcz, kiedy Kathryn spojrzała mu w oczy i spytała: „Kim jesteś?” Ze zdumieniem słuchał własnej odpowiedzi. To przecież ja! - pomyślał. Lorenzo Santorini - człowiek, który poprzysiągł zniszczyć swoich wrogów. Nie potrzebował innej przeszłości. Nie chciał zapomnianych wspomnień.

Potał lewy nadgarstek. Ten zawsze sprawiał mu najwięcej bólu. Blizny były nabrzmięte, bo ostatnio rzadziej używał kojącej maści. Wstał z łóżka i sięgnął po słoiczek z miksturą, którą dostał od Alego Khayra. Wtarł ją w bolące ciało. Zmarszczył brwi, kiedy odkrył cienką linię, prześwitującą przez poszarpaną skórę. Była ciemniejsza niż inne blizny i odmienna. Do tej pory jej nie zauważył. Bezwiednie przesunął palcem po nikłych liniach. Układały się w kształt litery.

Kathryn! Za często o niej myślał. Wyobrażnia podsuwała mu niestworzone rzeczy. A może były to prześliski odległych wydarzeń, które już dawno zatarły się w jego pamięci? Tego nie wiedział. Z minionych lat zapamiętał jedynie twarz znenawidzonego wroga.

Raszid nie był Arabem ani Turkiem. Miał szare oczy i ciemną skórę, spaloną na brąz afrykańskim słońcem, ale na pewno pochodził z Europy. Właśnie za to Lorenzo gardził nim jeszcze bardziej. Jak taki człowiek, wychowany w chrześcijańskiej wierze, mógł obrócić się przeciw swo-

im pobratymcom? Jak mógł być tak okrutny? Wydawał się wcielonym złem, dzieckiem szatana... Po stokroć zasłużył na taką śmierć, jaką zgotował swoim ofiarom.

Lorenzo wziął na siebie rolę kata. Nie zamierzał zejść z dawno obranej drogi. Nie zadawał pytań o swoją prawdziwą przeszłość. Nazywał się Lorenzo Santorini. Mściciel, bezlitosny dla wszystkich wrogów.

Chciał jak najszybciej odwieźć Kathryn do wujostwa. Najlepiej byłoby wysłać z nią Michaela, pomyślał, i raz na zawsze uwolnić się od rozterki.

Kathryn rozejrzała się po kajucie. Miała tu więcej wygód niż na wojennej galerze Lorenza. To największy i najwspanialszy z jego handlowych statków. Ładownie wypełniały przeróżne towary, które Santorini zamierzał sprzedać na Cyprze. W zamian chciał kupić wino i cytrusy. Południowe owoce cieszyły się estymą zwłaszcza wśród żeglarzy, którzy uważali je za znakomity środek na szkorbut i inne dolegliwości, wynikające z niedożywienia.

Ktoś stanął w progu. Kathryn spojrzała w stronę drzwi i zobaczyła Lorenza. Przypatrywał jej się z namysłem. Och, tak bardzo chciała rzucić mu się w ramiona i ponownie wysłuchać legendy o Siódmym Księżycu.

- Mam nadzieję, że będzie ci tutaj wygodnie, Kathryn. Moja kajuta jest dużo skromniejsza. Tu przynieśliśmy wszystkie niezbędne rzeczy.

- Nie chcę luksusów - odpowiedziała. - Czy zostaniesz na pokładzie statku? - Z bijącym sercem czekała na odpowiedź.

- Nie, wolę płynąć na własnej galerze - oznajmił. - Będziesz bezpieczna do samego Cypru. Także się tam wybieram, bo muszę dokończyć pewne sprawy z lordem Mountfitchetem.

- Oczywiście - przytaknęła Kathryn, chociaż podświadomie czuła, że nie powiedział jej całej prawdy. - Z całego serca ci dziękuję za wszelką okazaną pomoc.

- Nie zapominaj o okupie - mruknął z kpiącym uśmiechem.

- Błagam o przebaczenie. - Zaczerwieniła się jak burak.
- Zdaję sobie sprawę ze swego błędu.

- Tak? - Zmrużył oczy i wbił w nią przenikliwe spojrzenie. - Nadal nie wstydzę się swoich czynów.

- A dlaczego miałbyś się wstydzić? - Zaczerwieniła się jeszcze bardziej, ale musiała być ostrożna, żeby przypadkiem nie zdradzić zaufania, którym ją obdarzył Michael dei Ignacio. - Przecież dokładnie znasz wartość swoich usług.

Lorenzo lekko skinął głową.

- Przepytałem rozbitków z galery Raszida. Nikt z nich nic nie wie o młodzieńcu z Kornwalii, porwanym przed tyłu laty. Prawdę mówiąc, oczekiwałem takiej odpowiedzi. Obawiam się, że nigdy go nie odszukasz, Kathryn. A jeśli nawet, to już nie będzie ten sam człowiek.

- Wiem. - Westchnęła ciężko. - Czasami myślę, że byłoby o wiele lepiej, aby Dickon jednak się nie znalazł. Gdyby umarł wiele lat temu, uniknąłby najgorszych cierpień. Dużo słyszałam o galernikach, ale dopiero teraz poznałam prawdę o ich losie. Nie mam pojęcia, jak ludzie w ogóle to wytrzymują.

- Dickon nie żyje - wtrącił Lorenzo. Oczy mu pociemniały. - Twój ukochany już nie istnieje. Jeśli ocalał, nie jest Dickonem.

- To prawda - odparła, tłumiąc szloch. - Lord Charles na pewno będzie go dalej szukał, ale ja wolę myśleć o nim jako o dawno zmarłym przyjacielu.

- Zmarnujesz życie, jeśli zechcesz czekać na kogoś, kto na pewno nigdy już nie wróci. Powinnaś wyjść za mąż. Wiem, że nie w głowie ci Michael dei Ignacio, lecz to naprawdę oddany człowiek, szczerzy i z dobrej rodziny. Drugi taki ci się nie trafi. Gotów nawet porzucić morze, jeśli go tylko o to poprosisz.

- Zapewne byłabym z nim szczęśliwa, ale to niemożliwe - z wahaniem odpowiedziała Kathryn. Z trudem powstrzymywała łzy, cisnące jej się do oczu. Dlaczego Lorenzo chciał, żeby poślubiła Michaela? Wolał odsunąć ją od siebie? Zebrała całą swoją dumę i obdarzyła go chłodnym spojrzeniem. - Być może kiedyś wyjdę za mąż po powrocie do Anglii. Jednak jeżeli pamięć o Dickonie okaże się silniejsza, to do końca życia zostanę starą panną.

Lorenzo skinął głową i zastanawiał się przez chwilę.

- Kiedy zamierzasz wrócić?

- Nie wiem - przyznała Kathryn. - Przez kilka miesięcy zostanę z lady Mary i lordem Mountfitchetem. Potem...

Nie była w stanie mówić dalej. Nie mogła mu wyjawić, że najchętniej pozostałaby tutaj na zawsze, byle tylko być blisko niego. Oczy Lorenza zalaśniły, lecz nie powiedział nic, co by mogło skłonić ją do szczerych wyznań. Nie. Był nie

dla niej. Nie powinna kochać takiego człowieka jak signor Santorini.

- Obawiam się, że jesteśmy w przededniu wielkiej wojny. - Lorenzo nagle zmienił temat. - Ojciec Święty zwołuje sprzymierzeńców. Chce powstrzymać turecką nawałę. Po klęsce Turków osłabną także napady piratów. Obiecałem papieżowi pomoc. Jeśli zaczekasz do przyszłej wiosny, osobiście odwiozę cię do domu.

- Dziękuję, panie - odpowiedziała Kathryn. Popatrzyła na niego przez łzy. - Przypuszczam, że przyjedzie po mnie brat lub ojciec. Gdyby jednak stało się inaczej, nie zawaham się prosić cię o pomoc.

- Wedle życzenia. - Uśmiechnął się. - Zobaczymy się w porcie, już na Cyprze. A teraz wracam do swoich zajęć.

Wyszedł. Kathryn nie mogła dłużej powstrzymać się od płaczu. Był taki oschły, nieprzystępny... Dlaczego w nim się zakochała?

Zaraz, zaraz... Kto mówi o miłości? Najwyżej była mu dozgonnie wdzięczna, że uratował ją od strasznego losu. Tak, to wszystko. Wdzięczność i przyjaźń - na tym koniec. Lorenzo jest okrutnym, zimnym i wyrachowanym wojownikiem.

Tacy nie są stworzeni do miłości.

Rozdział szósty

Statek kołysał się na wodzie. Przestał płynąć. Dlaczego? Kathryn natychmiast podbiegła do okienka, bojąc się, że znów grozi im jakaś bitwa. Z ulgą spostrzegła nadpływającą szalupę. Zatem Lorenzo zamierzał wejść na pokład... Przypatrywała mu się z zachwytem. Zręcznie wspiął się po zwisających linach i przeskoczył przez reling. Był silny, pewny siebie, owiany aurą władzy... Rozległy się głośne okrzyki załogi. Ci ludzie na pewno go uwielbiali.

Kathryn usiadła i przycisnęła rękę do falującej piersi. Minęło kilka długich minut, zanim ktoś zapukał. Lorenzo wszedł z grobową miną. Wstała i spojrzała na niego z nagłym przerażeniem. Kolana się pod nią ugięły. Już wiedziała, że stało się coś strasznego.

- Kathryn... - Nigdy w życiu nie patrzył na nią z takim przejęciem. Nawet w górach Hiszpanii. - Obawiam się, że mam złe wieści. Turcy napadli na Cypr. Ponoć Nikozja już padła.

- Jak to „napadli”? - Kathryn wstrząsnęła się ze zgro-

zy. - A lady Mary?... Lord Mountfitchet?... Co się z nimi stało?

Przerażona, usiadła na krawędzi koi.

- Miejmy nadzieję, że uciekli - odparł Lorenzo. - Może trzeba będzie coś zapłacić za ich szczęśliwy powrót. Turcy tak robią, jeśli ktoś wydaje im się dość bogaty, a nie nadaje się na niewolnika.

- Bo już nie jest młody i piękny? Albo dość silny, żeby pracować na galerach? - Słowa z trudem przechodziły Kathryn przez ściśnięte gardło. Myśl, że jej najdrożsi przyjaciele znaleźli się w rękach Turków, była porażająca. - To potworne. Jak do tego doszło? Wydawało mi się, że Cypr należy do Wenecji.

- Tak, to prawda - ze złością potwierdził Lorenzo. - Papież musi czym prędzej zebrać Świętą Ligę. Wracam do Rzymu. Popłyniesz ze mną. Zaczekasz tam, aż sytuacja wyjaśni się na dobre.

Kathryn nie odpowiedziała. Gdyby wyjechała z lady Mary i lordem Mountfitchetem, już dawno byłaby na Cyprze... Co by ją tam czekało? Śmierć, niewola, a może wieczne poniżenie w tureckim haremie? Nie była w stanie otrząsnąć się z przerażenia.

- Będę dla ciebie ciężarem - wyszeptła ze łzami w oczach. - Jednak muszę przyjąć twoją propozycję. Zupełnie nie wiem, co ze sobą począć.

- Niczym się nie przejmuj - odparł niemal szorstko. - Widać, że los nas złączył wbrew wszelkim przeciwnostwom. Musisz przejść na moją galerę. Ten statek wraca do

Wenecji. Zwołałem radę kapitanów. Frachtowiec będzie nam zawadzał w tym, co musimy przedsięwziąć.

- Nie lepiej, żebym także została w Wenecji?

- Nie. Po pierwsze, statek popłynie bez eskorty, po drugie, moja nieobecność może potrwać nawet kilka miesięcy. Zamieszkaż u mojej przyjaciółki w Rzymie. Tam będziesz bezpieczna do czasu, aż wspólnie pomyślimy, co dalej.

Kathryn była zbyt przygnębiona, żeby mu odpowiedzieć. Ciagle myślała o wujostwie. Ciocia Mary, wuj Charles... Nie chciała ich stracić. Bez pomocy Lorenza nie mogłaby powrócić do Anglii. Miała za mało pieniędzy. Prawdę mówiąc, brakowało jej nawet na porządną suknię. Znalazła się w wyjątkowo kłopotliwej sytuacji.

- Chodź, Kathryn - powiedział Lorenzo, próbując ją pocieszyć. - Nie rozpaczaj. Lord Mountfitchet wiedział o groźbie inwazji. Może w ostatniej chwili zmienił plany?

Kathryn rozejrzała się po komnacie, która od tej pory miała stać się jej tymczasowym domem. Contessa Rosa dei Corleone ciepło przywitała Lorenza. Najwyraźniej był jej starym i dobrym znajomym. Kathryn miała świadomość, że jej obecność nie wzbudziła entuzjazmu contessy, choć tego nie okazała.

- Oczywiście, że panna Rowlands może zostać u mnie, Lorenzo - powiedziała, wpatrując się w niego pełnym zachwytu wzrokiem. - Przecież wiesz, że nigdy niczego ci nie odmówię...

Flirtuje z nim, z niesmakiem pomyślała Kathryn. To okropne, hrabina jest dużo starsza od Lorenza!

- Jest pani cudowna, contesso - odparł Lorenzo z błyskiem w oku. - Chciałbym, by na niczym jej nie zbywało. Gdybym przypadkiem zginął, zostawię dość pieniędzy, aby Kathryn mogła bezpiecznie dotrzeć do rodzinnej Anglii.

- Jak sobie życzysz, drogi przyjacielu.

Contessa obrzuciła Kathryn uważnym wzrokiem.

- Służąca zaprowadzi panią do pokoju. Jestem pewna, że musi być pani ogromnie zmęczona po tak długiej morskiej podróży.

Kathryn błagalnie zerknęła na Lorenza. Nagle poczuła się samotna i opuszczona. Chciała go prosić, żeby został przy niej, jednak nie mogła tego zrobić, nie wyjawiając przy tym uczuć, jakie do niego żywiła.

- Zobaczmy się, zanim wyjadę. - Lorenzo uśmiechnął się do niej z otuchą. - Czekam na Ciebie dużo pracy. Trzeba się przygotować. Reszta mojej floty przybędzie tu nie wcześniej niż za dwa, trzy dni. Potem upłyną jeszcze dwa, zanim będziemy zupełnie gotowi do drogi.

Kathryn pokiwała głową. Z trudem walczyła ze łzami. Miała wrażenie, że jeszcze chwila, a się rozplacze. Postanowiła jednak wziąć się w garść.

- Nie myśl o mnie. Masz swoje obowiązki. Gdybyś jednak usłyszał coś o cioci... albo o wujku...

- Nie opuszczę Cię - przyrzekł z uśmiechem, obejmując jej postać ciepłym spojrzeniem. - A teraz idź z panną służącą. Rozgość się. Naprawdę musisz odpocząć.

Kathryn posłusznie ruszyła długim korytarzem. Tyle jeszcze chciała powiedzieć... i nie potrafiła. Gdy została sama w pokoju, pomyślała, że contessa z pewnością jej nie polubiła. Może widziała w niej rywalkę? No cóż... Nie powinno mnie to dziwić, uznała Kathryn. Przecież kocham Lorenza Santoriniego. Jak to się stało? Sama nie wiem... ale z pewnością go kocham. Gdyby zginął... Nie, lepiej o tym nie myśleć. To zbyt bolesne.

- Contessa prosi, aby potem zeszła panienka do salonu.

Kathryn uniosła głowę i napotkała wrogie spojrzenie służącej. Nie była mile widziana w tym domu. Ale co miała zrobić? Przecież Lorenzo ją tutaj przyprowadził. Westchnęła ciężko.

Służąca zaprowadziła ją do salonu. Kathryn ze ściśniętym sercem popatrzyła na panią domu. Twarz contessy była surowa. Nie pozostał na niej nawet cień uśmiechu, którym tak szczerze obdarzała Lorenza.

- Cóż... - oschle zaczęła Włoszka. - Przyjęłam cię do siebie na prośbę signora Santoriniego. Liczę na to, że pod moim dachem będziesz zachowywać się skromnie i poprawnie. Nie znoszę, kiedy ktoś swoim postępowaniem przynosi ujmę mojej opinii.

- W jaki sposób mogłabym to uczynić? - Kathryn uniosła głowę, zdziwiona, a zarazem oburzona. Contessa rozgniewała ją swoimi słowami. O co jej mogło chodzić?

- Podróżowałaś sama z signorem Santorinim. Podczas pobytu w Wenecji mieszkałaś w jego pałacu. Jak sądzisz, co ludzie sobie o tym pomyślą?

- Nie uczyniłam niczego, czego mogłabym się wstydzić. Przez cały czas miałam przy sobie służącą. - Nie wspomniała o rejsie z Hiszpanii do Wenecji, bo wiedziała, że tym tylko pogorszy sprawę. - Nie można mnie winić o to, co się stało.

- Służąca to nie przyzwoitka. Nadwerężyłaś swoją reputację, moja panno, i to poważnie - ostro odpowiedziała contessa. Popatrzyła na nią z pogardą. - Nie obchodzą mnie twoje prywatne sprawy, ale zabraniam ci o tym opowiadać.

Kathryn spłonęła rumieńcem. Zła jak osa, na moment zapomniała o smutku i nieszczęściach. Gdyby mogła, od razu wyszłaby z tego domu. Niestety, nie miała dokąd. Musiała zostać i tolerować wyraźną niechęć włoskiej hrabiny.

- Zachowam się, jak przystało na angielską szlachciankę - powiedziała z godnością - chociaż wiem, że na pewno nie zmieni pani zdania. Pozostaje zatem nam obu mieć nadzieję, że Lorenzo zabierze mnie stąd jak najszybciej.

- Bardzo dobrze. Ta sytuacja mnie po prostu męczy, panno Rowlands. Wieczorem wybieram się na kolację do przyjaciół. Jutro wydaję wielkie przyjęcie. Powinnaś być obecna. Masz jakąś stosowną suknię? - spytała z powątpiewaniem. Kathryn poczuła się dotknięta do żywego.

- Moje bagaże znajdują się na statku. Jak tylko je dostanę, na pewno wybiorę coś odpowiedniego.

- Zobaczymy. - Contessa odprawiła ją ruchem dłoni. - Jeśli chcesz, możesz wychodzić do ogrodu. Pokoje z tyłu domu są do twojej dyspozycji.

Kathryn wyszła dumnym krokiem, prosta jak świeca. Jak Lorenzo mógł ją sprowadzić do domu tej niesympatycznej, wrogo nastawionej kobiety?

Kathryn wybrała na wieczór ciemnozieloną jedwabną suknię z usztywnianym kołnierzem. Włosy zaczesowała wysoko do góry i przykryła je aksamitnym czepek, obszywanym srebrem i brylancikami. To był chyba najbardziej „dostojny” z jej strojów. W sam raz dla szlachcianki.

Contessa obrzuciła ją przeciągłym spojrzeniem.

- Może być - mruknęła z wyraźną niechęcią, bo nawet w tak skromnej sukni Kathryn wyglądała świeżo, pięknie i ponętnie. - Nie zapomnij tylko, co ci powiedziałam.

- Na pewno nie zapomnę.

Prawdę mówiąc, Kathryn wcale nie miała ochoty uczestniczyć w przyjęciu wydanym przez contessę, ale nie pozostawiono jej wyboru. Musiała być posłuszna.

Przyjęcie odbywało się w przestronnej willi, na wzgórzu za miastem. Kathryn rozdawała uśmiechy, lecz rzadko się odzywała. Contessa przedstawiała ją jako wychowankę starego przyjaciela. Wśród ludzi zachowywała się całkiem inaczej. Z uśmiechem nazywała „słodkim maleństwem” Kathryn, która najchętniej wymknęłaby się z przyjęcia.

Niestety, nie mogła... Grzecznie towarzyszyła contessie, czekając, kiedy ten wieczór wreszcie dobiegnie końca. Nikt z gości tak naprawdę nie przypadł jej do gustu. Przypomniała sobie londyńskie grono przyjaciół cioci Mary... Tak

bardzo za nią tęskniła! Czy jeszcze ją zobaczę? - zadała sobie w duchu pytanie. Kiedy wrócę do domu?

Tymczasem pochłonięta rozmową contessa zdawała się zupełnie o niej zapominać. Kathryn skorzystała z okazji i odeszła na bok, w stronę marmurowego łuku, za którym rozciągał się wspaniały ogród. Nagle zapragnęła samotności. Westchnęła głęboko, kiedy jej policzki owionął chłód nocy. Popatrzyła w gwiazdy. Za wszelką cenę próbowała odnaleźć w sobie tyle siły, żeby przetrwać te wszystkie nieszcześcia.

- Dlaczego się nie bawisz? - Głos Lorenza wyrwał ją z zamyślenia. Drgnęła, zaskoczona. - Contessa martwi się o ciebie.

Kathryn odwróciła się gwałtownie. Czyżby też się na nią gniewał? Samotna łza spłynęła jej po policzku. Nie chciała, żeby to zobaczył, odsunęła się więc o parę kroków.

Lorenzo natychmiast poszedł za nią, chwycił za ramię i odwrócił twarzą do siebie.

- Co się stało? Dlaczego płaczesz?

- Wcale nie płacę - chlipnęła Kathryn i otarła łzy wierzchem dłoni.

- Jesteś smutna. Dlaczego? - Pokręciła głową. - Chodzi o wuja? Ciotkę? - Znów zaprzeczyła ruchem głowy. - Więc o contesse...

- Ona mnie nienawidzi!

- Co ty opowiadasz! Jaki by miała powód, żeby cię nienawidzić?

- Powiedziała, że naraziłam na szwank swoją reputa-

cję. Podobno ludzie myślą... że jestem twoją... - Urwała i znów odwróciła się tyłem.

- Och... - Lorenzo patrzył na nią przez chwilę. - Rozumiem. To się czasami zdarza, Kathryn. Takie jest życie.

- Wiem. Nic na to nie poradzę.

- Chyba że... zostaniesz moją żoną. - Uśmiechnął się, kiedy spojrzała na niego przestraszona. - Wybacz. Dobrze wiem, że masz inne plany, lecz pomyślałem sobie...

- Przecież mnie nie kochasz!

- To bez znaczenia. - Lorenzo wzruszył ramionami. - Nie chcę żony, ale nie wzbraniam się przed małżeństwem. Zwłaszcza jeżeli będzie to tak zwane małżeństwo z rozsądku. Powiedziałaś mi kiedyś, że twoje serce należy do człowieka, który prawdopodobnie zmarł już dawno temu. W takim razie wszystko ci jedno, za kogo wyjdiesz za męża. Mogę być ja, może być ktoś inny... A jeśli poza mną już nikt ci się nie trafi?

-I z tej przyczyny mam wyjść za męża?! - Kathryn nie wiedziała, czy złościć się, czy śmiać. - Po co ci taka żona? Co będziesz z tego miał?

- Przecież mówiłaś, że twój ojciec wyznaczył cię na swoją spadkobierczynię. Wojna pociąga pewne koszty. W tej sytuacji warto mieć bogatą żonę.

Kpił z niej? Wprawdzie się nie uśmiechał, ale w jego oczach migotały wesołe ogniki.

- To niewielki majątek... - Popatrzyła na niego podejrzliwie. Coś jej podpowiadało, że powinna odrzucić tę propozycję choćby ze względu na obcesowy sposób, w jaki ją

złożył... A jednak czuła, że przy nim będzie zupełnie bezpieczna. - Naprawdę chcesz...

Nie zdawała sobie sprawy, że w tym momencie wygląda bezradnie i niewinnie. Coś drgnęło w piersi Lorenza. Ogarnęły go emocje, o których już dawno zapomniał.

- Już ci powiedziałem, że mam swoje powody - odparł z czułym uśmiechem. Nadał się z nią drażnić! - Przecież wiesz, że nigdy nie robię niczego bezinteresownie. Jesteś piękna, Kathryn. Inni mężczyźni mogą tylko marzyć o takiej żonie. - Tak szybko chwycił ją w ramiona, że nie zdążyła mu umknąć. Popatrzyła mu prosto w oczy i zatoneła cała w ich niezmiętej głębi.

- Jeśli... to prawda... to się zgadzam - wyjąkała. - Skoro tak sobie życzysz.

- O nic się nie martw - odparł Lorenzo z zagadkową miną. - Weźmiemy ślub, a zaraz potem cię opuszczę. Tylko ten, którego ludzie nazywają Bogiem, bez różnicy, czy jest to bóg chrześcijan, czy też muzułmanów, zna moje przeznaczenie. Jeśli nie wrócę, będziesz bogatą wdową, Kathryn. Tylko proszę cię, następnego męża wybieraj ostrożnie. - Znów się z nią droczył. Sama już nie wiedziała, co ma o nim myśleć.

- Lorenzo... - Kathryn wpatrywała się w niego. Jak miała mu powiedzieć, że nie dba o majątek? Chciała jedynie, żeby do niej wrócił cały i zdrowy.

- Nie martw się - powtórzył Lorenzo. Podszedł bliżej, ujął ją pod brodę i pocałował. Kathryn chciała rzucić mu się w objęcia, ale następne jego słowa przywołały ją do rze-

czywistości. - To nie był nasz wybór, Kathryn, ale przeznaczenie. Zobaczymy, co się jeszcze zdarzy.

Kathryn włożyła tę samą suknię, którą miała na sobie podczas maskarady. Nawet nie wiedziała, jakim cudem znalazła się w jej bagażach. Dlaczego właśnie ją wybrała? Tego też nie była pewna. Może dlatego, aby wrócił do niej ten sam Lorenzo, który odszukał ją na placu Świętego Marka? Był wtedy zupełnie inny - wesoły, śmiały, dowcipny, pełen pomysłów... Przeszłość nie wróci, pomyślała, spoglądając na siebie w lusterku. Rozpuściła włosy. Nakryła je srebrną siatką w tyle głowy.

Nadal mieszkała u contessy, bo Lorenzo ubłagał ją o jeszcze kilka dni cierpliwości. Chciał poczynić przygotowania do wesela i wspólnej przeprowadzki do willi, którą wynajął na czas pobytu w Rzymie.

Kathryn zesłała na dół. Hrabina jak zwykle przywitała ją niechętnym spojrzeniem.

- Tylko nie wyobrażaj sobie, że on cię naprawdę kocha - powiedziała zimno. - Żadna kobieta nie jest dla niego dość dobra. Wziął cię z litości... i rzucił po roku.

Kathryn w porę ugryzła się w język. Co bowiem miała na to odpowiedzieć? W gruncie rzeczy, contessa mogła mówić prawdę. Lorenzo tak nagle podjął decyzję. Jeżeli mnie nie kocha, pomyślała, to może pożąda? Wiele razy powtarzał jej, że jest bardzo piękna.

Contessa nie posiadała się ze złości. Chyba chciała zatrzymać Lorenza dla siebie. Zagięła na niego parol już przed laty, ale owdowiała dopiero niedawno. Wprost nie

mogła patrzeć na młodszą rywalkę. Jej mąż zmarł pół roku temu. Zapewne myślała, że Lorenzo przybył do Rzymu tylko dla niej, a on nagle sprowadził urodziwą dziewczynę...

Lorenzo Santorini czekał w małym kościele. Michael miał poprowadzić Kathryn do ołtarza. Jakiś nieznaną osobę został świadkiem Lorenza. W kościele nie było innych kobiet poza contessą, która nie chciała zostać na weselu. Wyszła natychmiast po uroczystości, a Kathryn odetchnęła z ulgą.

Michael i drugi świadek, który przedstawił się pannie młodej jako Paolo Casciano, pojechali z nimi do willi na wzgórzach za miastem. Dom nie był tak przestronny jak pałacyk contessy, lecz doskonale urządzone i z pięknym ogrodem.

- Tu będziesz mieszkała, zanim nie udamy się do Wenecji - oznajmił Lorenzo. - Już zatrudniłem służbę i znalazłem dla ciebie kogoś do towarzystwa. - Skinał na starszą damę o bardzo miłej twarzy. - To signora Veronique de Bologna. Pochodzi z Francji, ale po ślubie zamieszkała w Italii. Teraz jest wdową.

- Witam panią w jej nowym domu, milady - z uśmiechem powiedziała pani Veronique. - Cieszę się, że signor Santorini polecił mnie pani.

- A ja jestem bardzo rada z pani obecności, signora.

- Proszę mi mówić Veronique - padła odpowiedź. - Mam nadzieję, że się zaprzyjaźnimy.

- Oczywiście.

- Chodźmy - wtrącił Lorenzo. - Goście czekają, żeby zobaczyć pannę młodą.

- Goście? - Kathryn spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Cóż to, myślałaś, że nie mam przyjaciół? - Lorenzo się roześmiał. Poprowadził ją do ogrodu, gdzie na murawie rozstawiono kilka grubo ciosanych stołów, nakrytych białym obrusem i zastawionych wszelkimi przysmakami.

Goście obojga płci zgotowali im owacyjne przyjęcie.

- Przyjaciele! - zawołał Lorenzo. - Przedstawiam wam damę, która była aż tak odważna lub na tyle naiwna, żeby wziąć mnie za męża.

Odpowiedzią był chóralny wybuch śmiechu. Goście zgromadzili się wokół nowożeńców i wprost zasypali ich podarkami - pieniędzmi, srebrem, biżuterią i dziełami sztuki. Kathryn przyglądała się im jak oniemiała. Nigdy nie spodziewała się takiej życzliwości.

Nieśmiało obrzuciła wzrokiem zgromadzonych gości.

- Doprawdy nie wiem, co powiedzieć... - wykrztusiła przez ściśnięte gardło. - Jesteście kochani...

- Podejrzewam, że przywiodła ich tu wyłącznie ciekawość - wpadł jej w słowo Lorenzo. - Chcieli zobaczyć ciebie. Żonę potwora.

- Nie wierzę - odpowiedziała. - Nie jesteś aż tak groźny.

Znow rozległy się śmiechy. Kathryn nagle znalazła się w grupie kobiet, które zarzuciły ją różnymi pytaniami stawianymi na przemian po włosku i po angielsku.

- Jak poznałaś Lorenza?

- Gdzie przedtem mieszkałaś?

- Skąd wzięłaś się w Rzymie?
- Pochodzę z Kornwalii. Przybyłam do Wenecji pod opieką przyjaciół.
- Kornwalia? Nigdy nie słyszałam! - zawołała jakaś ślicznotka.
- Uspokój się, Elizabeto. To przecież w Anglii!

Pytań wciąż przybywało. Kathryn omal nie dostała zawrotu głowy. Na szczęście Lorenzo w porę przybył jej z pomocą. Wzniesiono tradycyjny toast za młodą parę, a potem zabrzmiała muzyka i zaczęły się tańce.

Wszyscy uznali, że pierwszy taniec należy się oblubieńcom.

Kathryn z drzeniem serca, nieśmiało wyciągnęła rękę do Lorenza. W odpowiedzi z uśmiechem porwał ją jak piórko i poprowadził tanecznym krokiem przez całe patio. Kathryn doszła do wniosku, że musi ją trochę lubić, bo w przeciwnym razie nie zachowywałyby się w ten sposób, okazując wyraźną radość.

Zabawa trwała aż do wieczora. O zmierzchu przyjaciele zaczęli się żegnać. Damy wyczuły Kathryn i obiecały, że niedługo znów zjawią się z wizytą. Mężczyźni klepali Lorenza po plecach i zapewniali go, że jest szczęściarzem.

Wreszcie zostali we trójkę: Lorenzo, Kathryn i Veronique. Weszli do domu. Służba zajęła się sprzątaniem po przyjęciu.

- Jeśli nie jestem pani potrzebna, milady, to teraz się od-
dalę. - Veronique uśmiechnęła się do panny młodej i z szacunkiem dygnęła przed Lorenzem. - Dobranoc, signor.

- Dobranoc, signora.

Kathryn wzdrgnęła się mimo woli. Zostali zupełnie sami. Na dodatek niemal zupełnie nie znała człowieka, z którym właśnie dzisiaj niespodziewanie stanęła przed ołtarzem. Pokochała go, to prawda. Nie wiedziała jednak, czego może się po nim spodziewać. Serce podpowiadało jej, że nie ma żadnych powodów do obaw, lecz...

- Napijmy się trochę wina - zaproponował Lorenzo. Napełnił kieliszki. Pociągnął łyk i odstawił kieliszek na stolik.
- Polubiłaś moich przyjaciół, Kathryn?

- Ależ tak! Byli bardzo mili.

- Poczułaś się trochę zaskoczona, prawda?

- Szczerze mówiąc, nie byłam pewna, co mnie dzisiaj czeka.

- Wcale się temu nie dziwię. W gruncie rzeczy, wiemy o sobie tak niewiele... - powiedział w zamyśleniu. - To się zmieni, jak wrócę. Co prawda, nigdy nie myślałem o małżeństwie, ale to teraz zupełnie nieważne. Jesteś moją żoną. Chcę, żebyś poczuła się szczęśliwa. Gdybym jednak nie spełnił twoich oczekiwań, odwożę cię do ojca.

Kathryn nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

- Będę dla ciebie bardzo dobra, Lorenzo.

- Podejrzewam, że jednak źle mnie zrozumiałaś - odparł. - Nie potrafię się całkowicie zmienić. Wciąż będę poza domem. Mimo to spróbuję dać ci szczęście.

- Dziękuję. I tak zrobiłaś dla mnie już bardzo wiele. - Ocalił jej reputację i sprawił, że mogła śmiało patrzeć ludziom w oczy. O więcej nie mogła prosić.

- Póki co, spróbuj się nie martwić o ciotkę i wuja - powiedział. - Przede wszystkim napisz do ojca. Paolo dopilnuje, żeby list jak najszybciej dotarł do Kornwalii. Zostawię mu pieniądze. Przecież musisz coś mieć na utrzymanie domu i własne zakupy. Możesz bez ograniczeń korzystać z mojej szkatuły. Paolo zajmie się rachunkami. O pozostałych sprawach porozmawiamy po moim powrocie.

Kathryn spoglądała na niego, zmieszana i zakłopotana. Nie chciała, żeby odszedł, ale on wyraził się dostatecznie jasno. Ożenił się, aby zapewnić jej pełne bezpieczeństwo, dostatek i przyjaciół. Nic poza tym. Prawdziwa żona była mu całkiem niepotrzebna.

Głęboko zaczerpnęła tchu, żeby zapanować nad drżeniem głosu.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Nasze okręty z samego rana wychodzą z portu - odparł. - Dziś w nocy mam jeszcze dużo pracy. Niczego od ciebie nie wymagam, Kathryn. Najpierw musisz na dobre przywyknąć do myśli, że masz męża. Potem... Cóż, potem zobaczymy.

Kathryn skuliła się, jakby ją uderzył. Owszem, mógł jej nie kochać, ale przecież miał pełne prawo do pierwszej nocy! Każdy mężczyzna by to wykorzystał. Nie podobała mu się? Czuł do niej odrazę? Zrobiło jej się bardzo przykro, gdyż zupełnie nie rozumiała jego zachowania.

- Jak chcesz. Będę się modlić o twój szczęśliwy powrót, Lorenzo.

Zawahał się. Zrobił dwa kroki w jej stronę, zatrzymał

się i popatrzył na nią dziwnym wzrokiem. Kathryn chciała, żeby ją wreszcie objął i obsypał pocałunkami. Serce biło jej jak oszalałe. Jednak Lorezno nagle się odsunął.

- Gdyby coś mi się stało... - zaczął. - Możesz być spokojna. Nic się nie bój. Przepraszam, pora na mnie.

Kathryn potulnie skinęła głową i odprowadziła go smętnym wzrokiem. Nie chciał jej. Była jego oblubienicą, lecz nie żoną. Na próżno tęskniła do pieścizot i pocałunków...

Łzy znów nabiegły jej do oczu, lecz postanowiła, że nie będzie płakać.

Lorenzo ze zniecierpliwieniem przysłuchiwał się długim naradom i dyskusjom, które przeciągały się ponad miarę. Wczesną jesienią tak zwana eskadra sycylijska zebrała się w Oranto. Część okrętów wciąż nie dysponowała odpowiednim wyposażeniem ani wyszkolonymi załogami. Nawet Wenecja, która przechwalała się, że ma najlepszą flotę na całym Morzu Śródziemnym, nie potrafiła sprostać wszystkim oczekiwaniom. Wiele galer za długo stało w portach. Wymagały remontu. Flota papieska była zdecydowanie niewystarczająca. Chcąc nie chcąc, najsilniejsi okazali się Hiszpanie.

Dowództwo nad połączoną flotą objął niejaki Marcantonio Colonna. Chociaż był zręcznym dyplomata i człowiekiem niemałej odwagi, nie potrafił utrzymać w ryzach wszystkich sojuszników. Żądał natychmiastowego ataku na Turków. Inny z dowódców, Gianandrea Doria, uważał, że należy jeszcze trochę poczekać. Dbał o swoje galery.

- Jesteśmy za słabi - perorował na niekończących się spotkaniach. - Musimy być cierpliwi.

- Będą kłócić się bez końca - mruknął Lorenzo do Michaela. Obrzydła mu już ta sytuacja. Niemal przed chwilą postanowiono, że flota już we wrześniu uda się na zimowe leże. - A co z naszymi ludźmi na Cyprze? Mamy ich tak zostawić?

Doria zdecydował się zimować na Sycylii. Lorenzo wołał zabrać swoje okręty do Rzymu.

- Nie będą gnuśnieć w portach - powiedział - a w Rzymie łatwiej dokonamy wszelkich napraw.

- Wracamy do Rzymu.

- Tak, i to zaraz - z roztargnieniem odparł Lorenzo, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w przestrzeń.

Michael natychmiast udał się do portu, żeby wydać odpowiednie rozkazy. Lorenzo przybył nieco później i przez chwilę stał na nadbrzeżu, wpatrzony w toń morza. Ciekawe... Gdyby nie Kathryn, może też zostałby na zimę na Sycylii?

Okręty wyszły z portu. Lorenzo coraz częściej myślał o żonie. Pociągała go swoim charakterem i urodą, ale nie chciał jej do niczego zmuszać. Wyszła za niego, bo praktycznie nie miała innego wyjścia.

Drgnął, słysząc okrzyk z bocianiego gniazda.

- Sześć galer po bezwietrznej, panie!

Lorenzo natychmiast spojrzął we wskazaną stronę. Wprawdzie obce okręty były daleko, ale od razu rozpoznał, że należą do wroga. Nie mógł walczyć z Turkami, lecz nie-

spodziewanie znalazł okazję do zemsty. To były bez wątpienia galery Raszida. Widział jego flagowy okręt na czele flotylli. Pierwszy raz mieli okazję stanąć oko w oko, szykując się do bitwy. Na pozór siły były wyrównane. Lorezno wiódł ze sobą pięć galer. Raszid nie wiedział, że w pobliżu na morzu znajdowało się jeszcze sześć statków Lorenza.

Lorenzo od dawna czekał na takie spotkanie. Kiedy wreszcie do niego doszło, przewaga była wyraźnie po jego stronie.

Bitwa trwała co najmniej dwie godziny. Gdy nadpłynęła reszta floty, piraci podali tyły. Dwie galery Lorenza zostały uszkodzone, ale nadal trzymały się na wodzie i mogły o własnych siłach dopłynąć do portu. Raszid stracił dwa okręty, trzy inne doznały wyraźnych uszczerbków. On sam uciekł w samym środku bitwy, pozostawiając swoją flotyllę na łasce zwycięskich Wenecjan.

- Bierzemy jeńców? - zapytał Michael, kiedy piraci opuścili flagi i rzucili broń na pokład.

- Zostawcie im jedną galerę - odparł Lorenzo. - Tę, która została najbardziej uszkodzona. Niech na nią przejdą wszyscy, którzy chcą pozostać w służbie Raszida. Może się uratują. Dwie zarekwirujemy. Tam zbierzecie wszystkich pozostałych. Kto będzie stawiał opór, musi zginąć.

- Tak jest. - Michael już chciał odejść, żeby przekazać rozkazy innym kapitanom, kiedy nagle na jednym ze zdobytych okrętów wybuchł zgiełk.

- Zobacz, co się tam dzieje - polecił mu Lorenzo.

Michael skrzyknął swoich ludzi, którzy przedarli się na galerę piratów. Za chwilę wrócił z wiadomością.

- Wygląda na to, że wśród jeńców jest najstarszy syn Raszida, Hassan. Co z nim zrobimy?

- Przeprowadźcie go do mnie.

Lorenzo z trudem stłumił rosnące zniecierpliwienie. Nareszcie miał okazję do rewanżu. Mógł po tysiącokrotnie odpłacić się Raszidowi za wszystkie doznane krzywdy. Miał w rękach jego najstarszego syna, zniszczył lub zdobył łącznie pięć pirackich galer. To dotkliwy cios dla Groźnego.

Stał tyłem, kiedy jego ludzie przyprowadzili cennego jeńca. Odwrócił się powoli, z pełnym namaszczeniem. Przez chwilę patrzył na gładką twarz młodzieńca. Jednak zamiast nienawiści, poczuł jedynie smutek. Chłopak miał może szesnaście lat i był wyraźnie przestraszony.

- Na kolana, psie! - warknął jeden z ludzi Lorenza.

- Nie! - odezwał się Santorini. - Niech stoi. Nie jest psem, tylko człowiekiem... bez względu na grzechy ojca.

- Zabij mnie! - odezwał się Hassan. Chciał być dzielny, chociaż trząsał się ze strachu. - Zabij mnie jak najszybciej. Tylko o to proszę...

- A co mi przyjdzie z twojej śmierci? - zimno zapytał Lorenzo. Zmrużył oczy. - Twój ojciec jest moim wrogiem. Nie walczę z dziećmi. Wystarczy mi okup. - Zwrócił się do Michaela i wydał mu kilka poleceń.

Michael wyglądał na zaskoczonego, ale posłusznie skinął głową.

- Tak jest, panie.

Lorenzo znowu przeniósł wzrok na chłopaka. Hassan niczego nie zrozumiał, bo Lorenzo i Michael mówili po włosku.

- Zostaniesz wymieniony na Marię, córkę don Pabla Dominicusa - wyjaśnił mu Santorini. - Mój kapitan, Michael dei Ignacio, spotka się z twoim ojcem u brzegów Sycylii. Tam dokonacie wymiany. Czeka cię śmierć, jeśli Raszid weźmie więcej niż jedną galerę. - Skinął na Michaela. - Możecie go zabrać.

- A dziewczyna?

- Przywieź ją do Rzymu. Jej ojciec jest mi jeszcze coś winien za porwanie Kathryn. Zapłaci słony okup.

Michael uśmiechnął się, pełen podziwu dla sprytu dowódcy.

- Znakomicie - mruknął. - Życie za życie, a nagroda i tak nasza.

- Potrzebne nam nowe okręty - powiedział Lorenzo. - Wojna z Turcją będzie kosztowna.

Żeglarze zabrali Hassana. Wielu z nich wolałoby go zabić, ale żaden nie śmiał się sprzeciwić rozkazom Lorenza. Kiedy zaś dowiedzieli się o okupie, głośno wychwalali jego mądrość. Martwy pirat nie przyniósłby żadnego zysku.

Mimo wszystko to był dobry dzień, ponuro pomyślał Lorenzo. Jedną ze zdobytych galer zamierzał przemalować na swoje barwy i dołączyć do floty. Drugą planował sprzedać i podzielić pieniądze wśród żeglarzy. Niewolnikom jak zwykle pozostawi swobodę wyboru. Kto będzie chciał, może zostać u niego na służbie. Inni niech wracają do rodziny.

Kto pogwałci umowę, ten natychmiast zginie. Od swoich ludzi Lorenzo wymagał wierności.

Rzecz jasna, ani przez chwilę nie zapomniał o obietnicy, którą złożył żonie. Nadal szukał zaginionego Richarda Mountfitcheta. Chciał też dowiedzieć się czegoś bliższego o losach obrońców Cypru. Bardzo możliwe, że lord Mountfitchet zginął. Kathryn jednak wciąż żyła, więc wszystkie umowy, zawarte z jej wujem, zachowały ważność.

Nie chciał zbyt wiele myśleć o przeszłości. Wystarczyło mu to, co wiedział o sobie. Nazywał się Lorenzo Santorini i był mścicielem. Znał swój cel w życiu.

Zmarszczył brwi. Znam swój cel w życiu? - powtórzył w myślach. Wcale nie był już tego taki pewien.

Wbrew przewidywaniom załogi, oszczędził syna najgorszego wroga. To jednak w najmniejszym stopniu nie zmieniło jego stosunku do Raszida. Nadal go nienawidził. Tę nienawiść mogła zmyć tylko krew.

Jak taki człowiek jak on mógł pokochać delikatną Kathryn? Tęsknił za nią, to prawda, lecz ani przez moment nie zamierzał zrezygnować z wytyczonej drogi.

Rozdział siódmy

Kathryn śmiała się z żartów przyjaciółek. Podczas pobytu w Rzymie znacznie poprawiła swoją znajomość włoskiego. Prawie cztery miesiące minęły od wesela. Przez ten czas nie dostała żadnego listu od Lorenza. Wieści były na ogół skąpe i nie wiedziała, co się z nim dzieje.

- Elizabeta! - krzyknęła Adriana Botticelli. - Jesteś okropna! Ciesz się, że nie wyszłaś za mnie. Dostałabyś po głowie!

- Niestety, Marco jest po prostu nudny. Dziwisz się, że Elizabeta flirtuje z Caiusem Antoniem? - Isabella Rinaldi zachichotała. Była najmłodsza ze wszystkich dziewcząt i jeszcze niezamężna. - Gdyby ojciec wydał mnie za grubego kupca, czym prędzej znalazłabym sobie kochanka. - Zamachała wachlarzem i zrobiła chytrą minkę. - Szczerze mówiąc, wołałabym kogoś takiego jak mąż Kathryn. Ona ma szczęście...

- Ale jej mąż wyjechał parę godzin po ślubie - zauważyła Elizabeta. - Wciąż nie masz od niego żadnej wiadomości? - zwróciła się do Kathryn.

- Nie. Lorenzo jest bardzo zajęty. Wróci, jak będzie mógł.
- Kathryn spojrzała na drugą stronę pokoju. - Jak twoja głowa, Veronique?

- Mniej boli... Dziękuję. - Starsza dama siedziała koło okna, zajęta robótką. Nagle spostrzegła kogoś na zewnątrz.
- Chyba mamy kolejnych gości... Ależ nie, to signor Santorini! Twój mąż jest tutaj!

- Lorenzo? - Kathryn przycisnęła rękę do serca. - Na pewno, Veronique?

- Tak, tak!

Kathryn miała ochotę zerwać się na równe nogi i wybiec mu na spotkanie. Z trudem zmusiła się do zachowania spokoju. Przecież Lorenzo wziął ją za żonę jedynie z litości. Nie oczekiwał demonstracji uczuć.

- Powinnyśmy już iść - powiedziała Elizabeta. - Lorenzo na pewno chciałby być tylko z żoną.

Kathryn pokręciła głową, ale jej przyjaciółki bez wahania posłuchały wezwania Elizabety. Gęsiego opuściły salon. Veronique poszła za ich przykładem. Kathryn została sama. Usłyszała śmiechy w przedpokoju, zmieszane z głębszym męskim głosem.

Po chwili zjawił się Lorenzo Kathryn spojrzała na niego z niepokojem. Nie wiedziała, jak się zachować, żeby przypadkiem go nie urazić.

- Wszystko w porządku?

- Tak. Cieszę się, że cię widzę. Wierzyłam w twój szczęśliwy powrót. Niewiele mamy wieści o wojnie...

- Bo nie ma nic do powiedzenia. Turcy zajęli Famagustę

i Nikozję. Liga mówiła o blokadzie Rodos, lecz po upadku Cypru ten plan spełził na niczym. Doria na zimę pozostał na Sycylii. Ja postanowiłem popłynąć do Rzymu. Wezmę prowiant i dokonam niezbędnych napraw na galerach.

- Dobrze, że wróciłeś.
- Naprawdę, Kathryn? - spytał z powagą w głosie.
- Przecież wiesz.
- Chciałem trochę odpocząć. Wiosną czeka nas długa morska kampania.

Kathryn wstała i podeszła do stołu, na którym stała karafka z winem i taca z owocami. Wzięła głęboki oddech, żeby uspokoić skołatane nerwy.

- Napijesz się?
- Chętnie. - Patrzył na nią, gdy nalewała mu kieliszek wina. - Co robiłaś, gdy mnie nie było?
- Zaprzyjaźniłam się z damami, które widziałeś w korytarzu. Spotykamy się, razem chodzimy na zakupy...
- Jesteś zadowolona?

Tęskniła za nim. Godzinami przesiadywała sama w pustym ogrodzie lub pokoju. Nocami płakała w poduszkę, ale przecież nie mogła mu o tym powiedzieć. Nie potrzebował takiej żony.

- Trochę.
- Bardzo się cieszę. Mam dla ciebie nowiny, Kathryn.
- Może o lady Mary i lordzie Mountfitchecie?
- Niestety, nie, chociaż słyszałem, że niektórzy mieszkańcy Cypru zdołali umknąć przed Turkami i schronili się na sąsiednich wyspach. Na listy przyjdzie dłużej poczekać.

Tym razem chodzi o Richarda. Jeden z jeńców wspominał mi o niebieskookim niewolniku, pracującym jako ogrodnik u bogatego kupca w Algierze. Był młody, kiedy go schwytano. Wyrósł na silnego i zdrowego mężczyznę, ale myśli i mówi zupełnie jak dziecko.

- Jakie to smutne... - Kathryn westchnęła. Nie czuła już nic, oprócz przygnębienia. W jej sercu zagościła miłość do Lorenza, która wyparła dawne uczucie do Dickona. - Jak możemy dowiedzieć się o nim czegoś więcej?

- Już się tym zająłem. Dobrze wiedziałem, że nie zechcesz przerwać poszukiwań.

- Robię to przede wszystkim dla wujka Charlesa. Choć ja też byłabym szczęśliwa, gdyby Richard uniknął dalszej niewoli. Jeśli wuj zginął, to Richard został jedynym spadkobiercą majątku Mountfitchet w Anglii.

- Musiałby przedstawić niezbity dowód swojej tożsamości.

- To prawda. Na pewno znajdą się dalsi krewni, chętni, aby pozbawić go dziedzictwa. Jeśli uznają go za półgłówka. .. Mimo to chciałabym mu jakoś pomóc. Mój ojciec na pewno także.

- Nie martw się - odparł Lorenzo. - Coś wymyślimy. Masz na to moje słowo.

- Dziękuję. - Kathryn spojrzała na niego nieśmiało. - Zjemy razem kolację, mój mężu?

- Oczywiście. Liczyłem na to, że po powrocie trochę czasu spędzimy razem. Powinniśmy się lepiej poznać.

- Z przyjemnością.

Kathryn zmuszała się, żeby mówić spokojnie, chociaż serce biło jej jak oszalałe. Czekwała, kiedy mąż weźmie ją w ramiona.

- Z przyjemnością - powtórzył z gorzkim uśmiechem.
- Tak, to na pewno będzie przyjemne.

- Pójdę więc, żeby dopilnować wszystkich przygotowań.
Nie musiała się o to martwić. Służba doskonale znała swoje obowiązki. Kathryn chciała jednak na krótką chwilę uwolnić się od Lorenza. Dobrze wiedziała, że jeszcze moment i sama padnie mu w ramiona. Zacznie go błagać o pocałunek.

Na kolację Kathryn przysłała w zielonej sukni, podkreślającej kolor jej oczu. Na szyi miała jedynie cienką perłową kolbę, którą dostała od ojca na urodziny, tuż przed wyjazdem z Anglii. Nosila ją z dumą, nawet nie zdając sobie sprawy z tego, że jej uroda nie potrzebuje sztucznych dodatków.

- Cudnie wyglądasz, Kathryn - powiedział Lorenzo na jej widok. Stali pod arkadami wiodącym na wewnętrzny dziedziniec willi. Zauważył smutek na twarzy żony. - O czym myślisz, madonno?

- Mamy dziś taki piękny wieczór. Myślałam o domu. O moim ojcu...

- Napisałaś do niego?

- Skreśliłam list, jak jeszcze byliśmy w Wenecji. Teraz... Chyba zaczekam, aż dowiemy się czegoś pewniejszego o losach lorda Mountfitcheta i jego siostry. Nie chcę go niepotrzebnie martwić.

- Może powinnaś go zawiadomić o tym, że wyszłaś za męża?

- No właśnie... - Kathryn postąpiła krok w jego stronę.
- Lorenzo...

W tej samej chwili podszedł do nich służący, zawiadamiając, że kolacja czeka.

- Na pewno jesteś bardzo głodny.

- Tak - przyznał. - Najpierw coś zjedzmy. Mamy jeszcze cały wieczór na rozmowy.

Do tej pory wmawiała sobie, że Lorenzo nic do niej nie czuje. Może jednak się pomyliła? Może faktycznie był zajęty tej ich pierwszej nocy, ale teraz... Teraz mieli przed sobą dużo czasu...

- Co robiłaś pod moją nieobecność? - spytał Lorenzo, kiedy zasiedli do posiłku.

- No cóż... Spacerowałam po ogrodzie. Chodziłam na zakupy i odwiedzałam nowe przyjaciółki. Czasami one wpadały do mnie. Jest jednak coś, czego naprawdę mi brakuje, Lorenzo.

- Tak? Cóż to takiego, madonno?

- Książki - odpowiedziała. - Mój ojciec ma całkiem pokazną bibliotekę. Zawsze pozwalał mi z niej korzystać.

- W takim razie dlaczego nic sobie nie kupiłaś? Przecież zostawiłem ci dość pieniędzy.

- Nie chcę za dużo wydawać - odparła. - A poza tym zupełnie nie wiedziałam, czy pochwalisz ten właśnie zakup.

Lorenzo się uśmiechnął.

- Gdy wrócimy do domu, pokażę ci moją bibliotekę.

- Kiedy pojedziemy do Wenecji?

- Jeszcze nieprędko - odparł. - Zimę spędzimy w Rzymie. Ja mam tu pewne ważne obowiązki, a ty przyjaciółki. W Wenecji musiałabyś wszystko zaczynać od nowa. Lepiej poczekać, aż wrócimy razem.

- Oczywiście masz rację - przytaknęła. - Na pewno nie będę się nudzić. Pytałeś jednak...

- Kupimy książki - oznajmił stanowczym tonem. - Teraz opowiedz mi coś więcej o swoim domu w Anglii. Co tam robiłaś, Kathryn?

Opowiedziała mu o starym dworze, stojącym nad brzegiem morza, i o długich spacerach po plaży. Nie wiedzieć kiedy dotarła w swojej opowieści do dnia, w którym Dickon został porwany przez piratów.

- To ty chciałaś pójść nad zatokę? - spytał, patrząc na nią z zamyśleniem. - Od tamtej pory czujesz się winna?

- To był mój pomysł. Dickon zaginał przeze mnie.

- Skąd wiesz? Przecież byłaś mała, a chłopcy są bardziej ciekawscy od dziewczynek.

- Dickon zrobiłby dla mnie wszystko. Był bardzo dobry, wesoły, serdeczny... - Oczy jej pociemniały ze smutku.

- Właśnie dlatego wciąż go kochasz?

- Nie wiem - przyznała, nie patrząc na Lorenza. - Byliśmy dziećmi. Nie mam pojęcia, czy nasza miłość przetrwałaby próbę czasu. Poza tym... - Głos jej się załamał. - Poza tym mam teraz męża. Chcę być twoja...

- Co to znaczy?

Co powinna odpowiedzieć na takie pytanie? Czy na-

leżało wyznać całą prawdę? Gdyby dał tylko jakiś znak, że jej pożąda.

Weszła służąca. Kathryn westchnęła z ulgą.

- Signor - powiedziała służąca. - Przyszedł kapitan dei Ignacio. Przyprowadził ze sobą... jakąś dziewczynę.

- Michael? - Lorenzo zerwał się na równe nogi. - Przepraszam, moja droga, muszę z nim porozmawiać.

Kathryn przez chwilę wpatrywała się w puste miejsce przy stole. No cóż... Niewiele brakowało, żeby wyznała swoją miłość. Ale o co chodziło Michaelowi? I co to za dziewczyna?

Lorenzo spojrział na brankę stojącą obok Michaela. Była otulona ciemną peleryną, spod której wystawały bufiaste spodnie i pantofelki z lekko zawiniętym noskiem. Zapewne Michael oddał jej swoje okrycie, żeby zasłonić ubiór z haremu.

- Donno Mario... - łagodnie odezwał się Lorenzo. Zdawał sobie sprawę, że dziewczyna musi być mocno przestraszona wszystkim, co się z nią działo od dnia, a którym została porwana ze statku ojca. - Witaj w moich progach. Mam nadzieję, że Michael już z tobą rozmawiał. Wkrótce wrócisz do ojca za niewielką opłatą.

- Błagam. - Maria popatrzyła na niego ze łzami w oczach. - Nie mówcie ojcu, gdzie byłam - zaszlochała. - Wypędzi mnie... Odda do klasztoru...

Lorenzo zerknął na swojego kapitana.

- Może ty opowiesz mi coś więcej?

- Poczekaj chwilę, donno Mario - powiedział Michael i odciągnął Lorenza na bok. - Trafiła do haremu Raszida. Nie wiem, czy z nią sypiał, ale na pewno przebywała wśród jego kobiet.

-I teraz boi się reakcji ojca?

- Tak. - Michael zmarszczył brwi. - Przywiozłem ją tu, jak kazałeś. A teraz chcę cię prosić o kilka dni urlopu. Muszę pojechać do Wenecji. Mój ojciec jest bardzo chory. Czekaj na mnie.

- Oczywiście, jedź jak najszybciej - natychmiast odpowiedział Lorenzo. - Załatw swoje sprawy i wracaj. Jesteś mi potrzebny.

- Zawsze możesz na mnie liczyć - odparł Michael - ale są w życiu pewne sprawy, których każdy musi sam dopilnować.

- Jedź - powtórzył Lorenzo. - Aha, co z tą dziewczyną? Jak ci się wydaje?

- Naprawdę nie wiem - odrzekł Micheal. - Bez wątplenia była w haremie, ale chyba nie zaznała tam krzywdy.

Lorenzo pokiwał głową.

- Przez pewien czas zatrzymam ją u siebie. Potem zdecyduję, co dalej.

- Za twoim pozwoleniem, chciałbym już ruszyć w drogę.

- Tak, tak... Niech twój Bóg będzie z tobą, przyjacielu.

- I z tobą także. Przekaż Kathryn moje pozdrowienia.

Lorenzo skłonił się na pożegnanie. Popatrzył na Hiszpankę. Była bardzo piękna, o gęstych czarnych włosach i ciemnych oczach. Miała miękkie i zmysłowe usta.

Zauważył w niej jednak coś, co nie do końca mu się spodobowało.

- Na pewno wiele pani przeszła, donno Mario - powiedział. - Moja żona się panią zajmie. Powinna pani jednak jak najszybciej wrócić do rodziny.

- Dziękuję - Maria podbiegła do niego i chwyciła go za rękę - ale nie chcę wracać do domu.

- Lorenzo? - Kathryn weszła do sieni w tym samym momencie, kiedy Maria brała jej męża za rękę. Na jej twarzy malował się wyraz zdziwienia. - Michael już poszedł?

- Przywiózł do nas donnę Marię Dominicus - wyjaśnił Lorenzo. - Odkupiliśmy ją od Raszida. Na jakiś czas zostanie z nami. Zaopiekujesz się nią, moja droga?

- Ależ tak. - Kathryn była zła na siebie, że uległa nagłej zazdrości. Ta dziewczyna zasługiwała raczej na litość. - Jak ci się to udało?

- Później o wszystkim ci opowiem - odparł. - Donna Maria potrzebuje jakichś ubrań. Zechcesz poszukać w swojej szafie?

- Jesteśmy nawet podobnego wzrostu - zauważyła Kathryn. - Chodźmy, donno Mario. Zaprowadzą panią do gościnnego pokoju. Zapewne chce pani wykapać się i odświeżyć.

- Dziękuję. Jesteście państwo dla mnie tacy dobrzy. Byłam nieszczęśliwa... - Maria się rozpłakała.

- Tu będzie pani całkiem bezpieczna - zapewniła ją Kathryn, szczerze poruszona płaczem dziewczyny. - Pójdziemy na górę. Porozmawiamy trochę i przygotuję pani jakieś suknie.

Maria obejrzała się na Lorenza, ale ten wciąż spoglądał na nią nieodgadzionym wzrokiem. Kathryn ujęła ją za rękę i pociągnęła za sobą. Maria odeszła ze spuszczoną głową.

Lorenzo popatrzył za nimi. Coś mu podpowiadało, że Hiszpanka wcale nie była taka smutna, na jaką usiłowała wyglądać. To bardzo dziwne... A jednak czuł się zobowiązany o nią zadbać.

- Kazali mi to nosić - powiedziała Maria, kiedy zostały same. Zdjęła płaszcz Michaela. Pod spodem miała tylko przewiewne spodnie i tunikę. - Wstyd mi...

- To przecież nie pani wina - odparła Kathryn. - Z tego co wiem, wpadła pani w ręce najgorszych bandytów na całym obszarze Morza Śródziemnego. Wiele słyszałam o tym Raszidzie. Podziękujmy Bogu, że udało się panią uwolnić, zanim doszło do najgorszego.

- Powiedzieli mi, że mnie sprzedadzą na dwór sułtana - powiedziała Maria, skromnie spuszczać oczy. Przesunęła dłonią po twarzy. - Miałam trochę szczęścia, że Raszid nie chciał mnie dla siebie.

- To prawda. - Kathryn się uśmiechnęła. - Wiele pani przeżyła...

- Chyba wolałabym umrzeć, niż zostać niewolnicą! - wybuchnęła Maria. - Ojciec mnie wypędzi lub odda do klasztoru.

- Niemożliwe. Na pewno ucieszy się z pani powrotu.

- Raczej nie. Zhańbiłam go. - Hiszpanka proszącym

wzrokiem spojrzęła na Kathryn. - Nie mogłabym zostać z panią? Przyrzekam, że nie sprawię żadnego kłopotu.

- W tych sprawach decyzja należy do mojego męża - powiedziała Kathryn, chociaż było jej ogromnie żal nieszczęśliwej branki. - Niepotrzebnie się pani martwi. Ojciec na pewno przyjmie panią z otwartymi ramionami. - Opowiedziała jej, na co gotów był don Pablo, byle tylko odzyskać córkę. - To chyba najlepszy dowód jego miłości.

- Być może. - Maria pociągnęła nosem. - Ale wtedy nie wiedział, że byłam w haremie. - Pokręciła głową. - Wie pani, co mi zrobili, chcąc sprawdzić, czy na pewno jestem...

- Niech pani przestanie, Mario - przerwała jej Kathryn. - Obiecuję, że poproszę męża, aby pozwolił pani z nami zostać. To jednak głównie zależy od pani ojca.

- Och, jaka pani łaskawa! - Maria pocałowała ją w rękę. - Wszystko dla pani zrobię!

- Na początek mów mi po prostu Kathryn, tak jak moje przyjaciółki. Służba za chwilę przygotuje kąpiel i kolację. Jeśli chcesz, odpoczywaj przez resztę wieczoru. Porozmawiamy jutro. Aha - przypomniała sobie - to ubranie pójdzie do pieca.

- A nie mogłabym go zatrzymać? - nieoczekiwanie zapytała Maria. - Jako pamiątkę, że powinnam zawsze dziękować Bogu za tak cudowne ocalenie.

- Jesteś pewna?

- Błagam!

- No dobrze. Skoro tak chcesz... Tylko już dłużej nie myśl, że choćby w części ponosisz winę za to, co się stało.

Kathryn zostawiła dziewczynę pod opieką służby i zeszła na dół, do Lorenza. Popatrzył na nią pytającym wzrokiem.

- Wykapie się, zje i odpocznie. Dałam jej spokój do samego rana.

- Przepraszam, że ją tu sprowadziłem. To miało odbyć się inaczej. Zamierzałem od razu odesłać ją do ojca.

- Jest przerażona. Pobyt u nas na pewno dobrze jej zrobi. To musiało być straszliwe przeżycie dla tak młodej istoty.

- Coś w niej mi się nie podoba.

- Lorenzo! Wszystkich podejrzewasz! - zawołała Kathryn. - Wiesz chociaż, co się z nią działo?

- Myślę, że wiem, a jednak... - Zmarszczył brwi. Kusiło go, żeby jak najszybciej pozbyć się Hiszpanki.

- Bądź dla niej dobry choćby przez wzgląd na mnie.

- Przez wzgląd na ciebie? - Zmrużył oczy. Podeszedł bliżej i spojrzał jej prosto w twarz. - Dla ciebie jestem zdolny do wszystkiego - zadeklarował niespodziewanie.

Kathryn popatrzyła ze zdumieniem na męża. Niech mnie nareszcie pocałuje, pomyślała.

- Jak... - zająknęła się. - Jak to?

- Jesteś moją żoną. Dbam o ciebie. Nie wyczuwasz tego, madonno?

- Myślałam, że wybrałaś się w tak długą podróż, bo nie żywisz do mnie żadnych głębszych uczuć. Nie spodobałam ci się nawet na tyle, abys spędził ze mną noc poślubną... - Urwała. - Czy nie tak?

Lorezno roześmiał się szczerze. Wziął żonę w ramiona, mocno przyciągnął do siebie i popatrzył jej prosto w oczy.

- Jak możesz być tak naiwna, moja ukochana? - spytał.
- Nie domyśliłaś się całej prawdy?

- Jakiej prawdy?

- Wyszłaś za mnie, bo praktycznie nie miałaś innego wyjścia. Nie chciałem cię do niczego zmuszać. Liczyłem na to, że po pewnym czasie przyzwyczaisz się do myśli, iż jesteś mężatką. Potrzebuję czułej i kochającej żony, nie zaś takiej, która będzie ze mną wyłącznie z obowiązku.

- Obowiązki czasem bywają całkiem przyjemne - wybąkała i zaczerwieniła się po same uszy.

- Przyjemne? - powtórzył Lorenzo. Popatrzył na nią z chytrą miną. Wyglądał teraz zupełnie inaczej niż zwykle. - Powiedz raczej: czułe, ekscytujące, pełne pasji... „Przyjemne” nie oddaje całej głębi moich uczuć wobec ciebie, madonno.

- W takim razie... Może mnie pocałujesz?

- Słodka Kathy - szepnął Lorenzo i zawładnął jej ustami w namiętym pocałunku. Kathryn aż dech zaparło. Przez pewien czas jak oniemiała patrzyła na męża i po raz pierwszy zrozumiała, czym jest miłość.

- Mogę dziś przyjść do ciebie? - spytał.

W milczeniu skinęła głową. Uśmiechnął się do niej i pogładził ją po głowie.

- Moja ty ruda czarodziejko... Nigdy nie myślałem, że kiedyś będę zdolny do takiej miłości. Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.

- Och, Lorenzo - wyszeptała bez tchu. - Jak dobrze, że wróciłeś.

Kathryn odwróciła się w stronę męża i nadstawiła usta do pocałunku. Nawet nie przypuszczała, że miłość może być tak piękna. Przeciągnęła się niczym senna kotka.

- Jesteś szczęśliwa, madonno?

- Przecież wiesz, że jestem. - Zacerwieniła się, kiedy przypomniła sobie, co robiła w nocy. Nie wspominając o tym, że w uniesieniu na cały głos wykrzykiwała imię męża.

Powiodła palcem po jego rękę i trafiła na blizny na nadgarstku. W nocy nie zwróciła na nie większej uwagi, ale teraz...

- Nie podobają ci się, prawda, Kathryn?

- Chodzi zupełnie o coś innego - wyszeptała. - Są świadectwem cierpienia. - Oparła się na łokciu. - Kto to zrobił, Lorenzo? Raszid? Dlatego tak go nienawidzisz?

- Trzy lata spędziłem na jego galerze.

- Och, ukochany! - zawołała Kathryn. - Dlaczego nigdy nic nie powiedziałaś? Nikt mi nie mówił...

- Bo nikt o tym nie wie poza Michaelem i moim zmarłym ojcem - odparł nabrzmiałym z emocji głosem. - Niechętnie mówi się o takich rzeczach, Kathryn.

- Będę milczała - zapewniła go solennie. - Ale... jak stamtąd uciekłeś?

- Zostawili mnie na pewną śmierć na południowych brzegach Hiszpanii. Chory galernik jest bezużyteczny. Leżałem nieprzytomny w płytkiej wodzie. Pewno bym umarł, gdyby nie wenecki kupiec, Antonio Santorini, który akurat zakotwiczył w tej samej zatoce, żeby uzupełnić zapas słodkiej wody. Znalazł mnie, zabrał na pokład i przywiózł do Wenecji.

- Zatem nie jesteś jego rodzonym synem?

- Nie miał dzieci. Jego ukochana żona zmarła kilka miesięcy wcześniej. Adoptował mnie, dał mi nazwisko i uczynił swoim spadkobiercą. Kochałem go, bo był naprawdę dobrym człowiekiem. Sam wiele wycierpiał z rąk inkwizycji. Od tamtej pory wspomagał ludzi, jak tylko potrafił. Pomogłem mu zdobyć majątek, ale on ciągle rozdawał pieniądze tym, którzy byli w najgorszej potrzebie. Brakuje mi go.

- Miałeś wiele szczęścia, Lorenzo. - Kathryn pocałowała go w ramię. - Przykro mi, że w przeszłości spotkało cię tak wiele złego.

- Nie przejmuj się - odparł. - Przez całe lata żyłem wyłącznie nienawiścią. To mi dawało niespożytą siłę. Szukałem zemsty.

- Lorenzo... - Przysunęła się bliżej niego i złożyła lekki pocałunek na jego ustach. - Kocham cię.

- Moja słodka Kathy.

Ich uczucia dały o sobie znać z nową siłą. Kathryn całkowicie poddała się namiętności.

- Nikt inny nie dał mi tyle rozkoszy co ty, Kathryn - z przejęciem wyszeptał Lorenzo. - Gdybyś mnie opuściła...

- Ciii, moja miłości - odpowiedziała. Policzki miała mokre od łez. - Nigdy od ciebie nie odejdę. Jesteś dla mnie całym światem.

- Oddam ci wszystko, co posiadam...

Kathryn przytuliła się do męża. Coraz lepiej poznawała człowieka, który zrzędzeniem losu stał się jej mężem. Teraz wiedziała, ile wycierpiał. Widziała jego blizny, dotyka-

ła ich. Domyślała się, jak ciężkie brzemie ciągle dźwigał na swoich barkach. Szramy na rękach, ramionach, plecach... Człowiek o takich doświadczeniach rzeczywiście niechętnie mówi o miłości.

Jakiś czas później, kiedy Lorenzo zasnął, Kathryn uświadomiła sobie nagle, że wciąż nie zna jego tożsamości. Skoro nie jest rodzonym synem Antonia Santoriniego, to w takim razie, kim jest?

Czy to możliwe, że intuicja nie zawiodła jej już w pierwszej chwili, kiedy go ujrzała? Lecz w takim razie... Dlaczego zaprzeczał, gdy mu powiedziała, że przypomina Richarda Mountfitcheta dużo bardziej niż nieszczęsny William?

Nie. Gdyby był Dickonem, już dawno przerwałby poszukiwania, sennie pomyślała Kathryn. Jak mógłby szukać samego siebie? Przytuliła się do męża i po chwili zasnęła. W jego silnych i ciepłych ramionach czuła się całkiem bezpiecznie.

Lorenzo i tak bardzo dużo jej wyznał. Później na pewno powie więcej...

Lorenzo czekał cierpliwie. Kiedy był już zupełnie pewny, że Kathryn zasnęła, po cichu wstał i zabrał ubranie do sąsiedniego pokoju. Tam włożył je na siebie i zszedł na dół. Tylko udawał, że śpi, aby nie przeszkadzać żonie.

Bezwiednie potarł poranione nadgarstki. Stare blizny wciąż budziły w nim niechęć i wściekłość. Wciąż nie miał odwagi ujawnić przed światem swojej nieszczęsnej przeszłości. Nienawidził tych wspomnień.

Ile czasu upłynie, zanim Kathryn zapyta mnie, kim naprawdę jestem? - pomyślał nagle. Najgorsze, że nie potrafił dać jej rozsądnej odpowiedzi. Sam tego nie wiedział. Pewne rzeczy wciąż były dla niego zamkniętą kartą. Choć ostatnio widział we śnie jakby nieco więcej...

A może to była jedynie gra wyobraźni? Czasami wydawało mu się, że pamięta tamten dzień, w którym został uprowadzony przez piratów. Miał wtedy dwanaście lat... Niemożliwe. W takim przypadku teraz miałyby dwadzieścia siedem, a przecież wyglądał na starszego.

Nie, to szaleństwo, pomyślał. Wszystko dlatego, że poznałem Kathryn. To tylko przez nią wypuściłem na wolność Hassana, syna Raszida. To z jej powodu sprowadziłem do domu Marię, choć wynikną z tego wyłącznie kłopoty.

Zmarszczył brwi na myśl o pięknej Hiszpance. Była młoda i zasługiwała na współczucie, lecz coś w jej sposobie bycia sprawiało, że Lorenzo jej nie ufał.

Nie wyglądała na dziewczę. Podejrzewał, że została kochanką Raszida i że była z tego zadowolona. Może nawet uczynił z niej swoją faworytę? Czyżby dlatego tak bardzo nie chciała wracać do ojca?

Muszę ją mieć na oku, postanowił Lorenzo. Nie powinien mieszkać z Kathryn pod jednym dachem. Wyszedł z domu. Chciał znaleźć lokum dla Marii, zanim znów będzie musiał wyruszyć na morze.

Rozdział ósmy

- Nie podoba mi się ta dziewczyna - kilka dni później bez ogródek oznajmiła Elizabeta. - Jest w niej *coś* dziwnego, kiedy patrzy na ciebie i na Lorenza. Zwłaszcza na Lorenza. Bądź ostrożna i nie ufaj jej smutnym opowieściom.

- Jesteś dla niej niesprawiedliwa - odparła Kathryn i uśmiechnęła się, żeby nieco złagodzić tę oschłą odpowiedź. Ze wszystkich swoich nowych przyjaciółek najbardziej lubiła właśnie Elizabetę. Mimo to nie mogła dokładnie jej opowiedzieć, co spotkało Marię. Nie chciała, żeby ludzie unikali Hiszpanki tylko dlatego, że wbrew swojej woli trafiła do haremu. - Maria... była chora. Musiałam się nią zająć, ale już niedługo wraca do rodziny.

- Im szybciej, tym lepiej. - Stały przed witryną sklepu bławatnego. Elizabeta złapała przyjaciółkę za rękę. - Och, popatrz tylko na ten zielony materiał! Świetnie wyglądałabyś w takiej sukni.

- Rzeczywiście piękny - przyznała Kathryn. Odwróci-

ła się i skinęła na Marię, która szła nieco z tyłu, w towarzystwie Isabelli Rinaldi. - Chodź i popatrz na te jedwabie, Mario. Musimy ci coś kupić. Nie możesz ciągle chodzić w moich starych sukniach.

- Och nie... - Maria skromnie spuściła powieki. - Jesteś dla mnie za dobra. Twoje suknie zupełnie mi wystarczą.

- Powinnaś mieć nową - zdecydowała Kathryn. - Pojedź tutaj i powiedz, co ci się podoba.

- Nie wiem, co wybrać. - Hiszpanka westchnęła, wodząc dłońmi po belach materiału, które kupiec rozłożył na stole przed sklepem. - Tyle ich tutaj... Niebieski jest piękny, ale ten zielony...

- Kathryn chciała kupić zielony dla siebie - wtrąciła Elizabeta. Zmierzyła Marię nieprzyjaznym wzrokiem. - Niebieski byłby dla ciebie dużo lepszy. Albo ten szary.

- Nie lubię szarości - odpowiedziała Maria i z nienawiścią spojrzała na Elizabetę. Włoszce aż dech zaparło. - Skoro Kathryn bierze zielony, to ja zostanę przy niebieskim.

- Nie potrzebuję nowej kreacji - oznajmiła Kathryn. - Kupimy dla Marii zielony i niebieski. Będzie miała dwie suknie na zmianę.

- Chyba trochę przesadzasz - zdenerwowała się Elizabeta. - W zielonym tobie będzie najbardziej do twarzy.

- Przecież to nie ma żadnego znaczenia. Kupię sobie inny materiał - odrzekła Kathryn. Odwróciła się, żeby porozmawiać z kupcem. Kazała mu wysłać zakupy do willi. - Napijemy się czegoś w gospodzie czy wracamy do domu?

- Stąd mamy najbliżej do mnie - powiedziała Elizabeta. -

Zaraz skończę zakupy i powiem służbie, żeby przygotowała napoje. Za gorąco dzisiaj na dłuższe chodzenie po sklepach.

- Uśmiechnęła się i wzięła Kathryn pod rękę.

Rzeczywiście było bardzo gorąco. Poszły więc wszystkie do domu Elizabety w pobliżu Campo di Fiori, ulicy pełnej cudownych renesansowych budynków, datujących się jeszcze z czasów papieża Mikołaja.

Dom był duży jak pałac, gdyż mąż Elizabety miał ogromny majątek, chociaż sam wydawał się nieco za stary dla wciąż młodej żony. Elizabeta poprowadziła gości przez chłodne korytarze do wewnętrznego ogrodu. Tam kazała im usiąść, a sama zniknęła w budynku, żeby wydać odpowiednie polecenia służbie.

Kathryn i Isabella usadowiły się wygodnie w cieniu, na kamiennych ławeczkach, wyłożonych miękkimi poduszkami. Maria, która jeszcze tu nigdy nie była, z ciekawością przechadzała się po ogrodzie.

- Dziwna dziewczyna, prawda? - Isabella zmarszczyła czoło. - Chwaliła mi się, że ma kochanka i że na pewno za niego wyjdzie. Wspominałaś, że była chora?

- Tak - odpowiedziała Kathryn. - Pewnie chodziło jej o narzeczonego - dodała z lekkim zmieszaniem. Maria nie powinna mówić o sprawach, które podważały jej reputację.

- Spytała mnie, czy już z kimś spałam - ciągnęła Isabella. - Zabrzmiało to raczej dziwnie... No wiesz...

Kathryn z przejściem pokręciła głową. W tej samej chwili wróciła Elizabeta. Służba przyniosła więcej krzeseł,

żeby wszyscy mogli swobodnie usiąść. Maria przyłączyła się do grupy gości.

Przez chwilę rozmawiały o różnych błahostkach. Isabella wspomniała, że wiosną ojciec zabierze ją do Wenecji.

- Ponoć wybiera się do krewnych - powiedziała - ale podejrzewam, że chce mi znaleźć męża. Mam nadzieję, że kandydat będzie choć trochę podobny do Lorenza.
- Uśmiechnęła się do Kathryn.

- To niemożliwe - wtrąciła milcząca dotąd Maria. - Nielu jest takich ludzi jak Lorenzo Santorini. Twój mąż będzie bogaty, lecz brzydki. Nasi ojcowie myślą wyłącznie o pieniądzach.

- Mąż Kathryn rzeczywiście jest bardzo przystojny - z tajemniczym uśmiechem zgodziła się Isabella. - Ale bardziej podoba mi się Michael dei Ignacio.

Maria zrobiła nadasaną minę i sięgnęła po napój. Przypadkowo potrafiła Elizabetę. Ta podskoczyła, nieco przestraszona i wylała napój na swoją suknię.

- Och, przepraszam! - zawołała Maria. - Jestem taka niezręczna!

- Owszem - oschle odpowiedziała Elizabeta. - Powinnaś trochę bardziej uważać. Zupełnie zniszczyłaś cenny jedwab.

- Mąż kupi ci nową suknię. - Maria lekko wzruszyła ramionami. - Naprawdę musi być bogaty, skoro mieszkacie w takim domu. Jedna sukienka to nic takiego.

Kathryn zauważyła, że Elizabeta była naprawdę zła. Szybko nalała jej następną porcję napoju z dzbanka.

- Chodź, spróbujemy to wysuszyć - powiedziała. Wstała i skinąwszy na Elizabetę, skierowała się w stronę domu.

- Nie, nie... To niepotrzebne. - Elizabeta pokręciła głową. - Przepraszam. To był przypadek. Nie martw się, Mario. Rzeczywiście mam wiele innych strojów. Chociaż tę suknię bardzo lubiałam.

Hiszpanka nisko pochyliła głowę.

- Nie zrobiłam tego specjalnie - zapewniła, ale żadna z obecnych kobiet nie dała temu wiary. Wszystkie damy podejrzewały ją, że chciała zemścić się na Elizabecie za wcześniejszą rozmowę o kupnie materiałów. Maria instynktownie nie budziła w nich ani sympatii, ani zaufania. Znacznie lepiej czuły się bez jej towarzystwa.

Kathryn mocno przeżyła wydarzenie w domu Elizabety. Nie chodziło jej może tyle o zniszczoną suknię, co o zachowanie Marii. Kto wie, czy ta dziewczyna przypadkiem nie jest zdolna do jeszcze gorszych złościwości?

Na pozór nic się nie zmieniło. Kathryn w dalszym ciągu zachowywała się przyjaźnie wobec młodej Hiszpanki i okazywała jej współczucie, ale z upływem dni odkrywała w niej różne cechy charakteru, które zupełnie nie przypadły jej do gustu.

Maria niemal bez żenady wodziła oczami za Lorenzem. Z zapartym tchem słuchała jego każdego słowa. Włoczyła się za nim po domu i w ogrodzie. Młodym małżonkom trudno było uwolnić się od jej obecności. Mogli być sami tylko we własnej sypialni.

Czas, który spędzali razem, należał do najprzyjemniejszych. Kathryn była naprawdę szczęśliwa ze swoim ukochanym. Marzyła o tym, żeby jego uczucie okazało się równie gorące i szczere jak jej miłość, chociaż czasami wyczuwała w nim dawną rezerwę. Raz lub dwa obudziła się zupełnie sama, w zimnym łóżku. Lorenzo wyszedł, gdy zasnęła. Trochę ją to martwiło, chociaż na co dzień obsypywał ją drogiymi prezentami i zachęcał do dalszych zakupów.

- Chcę, żeby ci było ze mną dobrze, Kathryn - powtarzał jej dziesiątki razy. - Jeżeli czegoś ci potrzeba, powiedz mi o tym bez skrępowania.

- Mam wszystko - odpowiadała. Brakowało jej tylko jednego: autentycznej miłości z jego strony, mocnej i szczerej.

Póki co, cieszyła się wspólnym życiem. Często chodzili do przyjaciół, przyjmowali gości; ogólnie rzecz biorąc, wspaniale się bawili.

Za dnia Lorenzo zwykle bywał w porcie, żeby dopilnować naprawy okrętów. Jego galery musiały być w pełni gotowe do wiosennej kampanii. Parę razy wspomniał o nowym dowódcy połączonej floty. Don Juan de Austria miał poprowadzić Świętą Ligę do walki z Turkami. Ponoć cieszył się zaufaniem wszystkich sprzymierzonych frakcji.

- Ostatnim razem trochę za dużo się kłócili - wyjąwił Lorenzo, tuląc do siebie żonę. Pogładził ją po jedwabistej skórze na plecach. - Jeśli mamy pokonać Selima, to musimy na razie zapomnieć o wewnętrznych niesnaskach. Zapewniam cię, że nie pałam miłością do Hiszpanów, ale tu chodzi o dużo ważniejszą sprawę. Turcja stała się zbyt za-

chłanna. Musimy szybko powstrzymać dalszą inwazję, zanim będzie za późno.

Gdy się kochali, Kathryn miała wrażenie, że są jednym ciałem. Ich serca były jednakowym rytmem, ich umysły owładnięte były tym samym pragnieniem... A jednak wciąż dręczyły ją pewne wątpliwości. Czy Lorenzo ją rzeczywiście kocha?

Następnego ranka Kathryn zobaczyła męża na przechadzce w ogrodzie. Oczywiście była z nim Maria. Wprawdzie zdarzało się to już przedtem, ale tym razem wyglądała odrobinę inaczej. Lorenzo głośno roześmiał się z czegoś, co przed chwilą usłyszał z ust pięknej Hiszpanki. Maria wlepiła w niego ciemne oczy.

Miała na sobie suknię uszytą z zielonego jedwabiu. Prezent od Kathryn. Wyglądała prześlicznie. Kathryn nagle poczuła ukłucie zazdrości. Jeśli Lorenzo jej nie kocha, to przecież mógł po cichu zadawać się z innymi. Na pewno go pożądały. Czyżby Maria stała się jej rywalką? Bez wątpienia usiłowała rozkochać w sobie Lorenza.

Kathryn przypomniała sobie ostrzeżenia Elizabety i późniejszą rozmowę z Isabella. Jak to było? Maria mówiła coś o kochanku, który zamierzał się z nią ożenić?

To nieprawda. Dziewczyna zwyczajnie kłamała. Pytanie tylko po co? Dlaczego wciąż chodziła za Lorenzem?

Kathryn potrząsnęła głową. Nie, pomyślała, nie pozwolę na to, żeby zazdrość zatrąła moje uczucia do męża!

Przyglądziła suknię i spokojnym krokiem weszła do

ogrodu. Maria natychmiast puściła rękę Lorenza, skromnie stanęła z boku i udawała, że przygląda się kwiatom.

- Kochanie! - zawołał Lorenzo na widok żony. - Maria mówiła mi właśnie, że twoja przyjaźń i opieka sprawia jej niesłychaną radość. Za kilka dni wydamy wystawną kolację na cześć zbliżającej się kolejnej rocznicy narodzin Chrystusa. Zaprosimy naszych przyjaciół. Przy okazji będzie to przyjęcie pożegnalne dla Marii. Napisałem do don Pabla. Prosił, żeby ją odesłać do Granady.

- Mam jechać do domu? - Maria odwróciła się gwałtownie w jego stronę. Rzuciła mu wrogie spojrzenie. - Obiecałeś... Kathryn mi obiecała, że zostanę z wami!

- Tylko dopóty, dopóki zupełnie nie odzyskasz sił po ostatnich przejściach - spokojnie odpowiedział Lorenzo. - Ojciec na ciebie czeka, Mario. Nie masz się czego obawiać. Nie odeśle cię do klasztoru.

- Kathryn! - Maria patrzyła na nią z dziwnym wyrazem twarzy. To był strach czy raczej nienawiść? - Nie pozwól mu na to. Błagam cię!

- Mój mąż robi to wyłącznie dla twojego dobra - powiedziała Kathryn. Nie czuła już dla niej litości. Elizabeta miała rację. Ta dziewczyna jest zła i podstępna. Powinna jak najszybciej wrócić do rodziny, pomyślała Kathryn. Tak będzie lepiej dla nas wszystkich. - Przykro mi z tobą się rozstawać, ale nic więcej nie mogę uczynić. Ojciec na pewno znajdzie ci dobrego męża.

- Nie! Nigdy do niego nie wrócę! - krzyknęła Maria. - Jeszcze tego pożałujecie... Oboje!

Jak szalona wybiegła z ogrodu. Kathryn i Lorenzo zostali sami.

- Tylko nie pomyśl o mnie źle - powiedział Lorenzo. - Maria nigdy nie była i nie będzie twoją prawdziwą przyjaciółką. Nie wiem, co sądzą o niej inni mężczyźni. Może w ich oczach jest piękna i ponętna... Ja wyczuwałem w niej coś fałszywego. Jej umizgi na mnie nie działały.

- Wiele przeszła - szepnęła Kathryn, szczerze zawstydzona, że choć przez chwilę mogła być zazdrosna o męża. - Takie przeżycia zmieniają ludzi. W gruncie rzeczy, nie wiemy, ile wycierpiała.

- Bądź ostrożna - odparł Lorenzo. - Ostrzegam cię tym bardziej, że na dwa dni muszę wyjechać. Kiedy wrócę, wydamy wspomnianą kolację. Nie ufaj Marii. Gdybym mógł, zostałbym z tobą. Dobrze, że masz jeszcze Veronique i przyjaciółki.

- Będę za tobą tęsknić, ale nie martw się o mnie. Maria jest zdolna tylko do drobnych złościwości. Na pewno mnie nie skrzywdzi. Niby dlaczego? Zawsze byłam dla niej bardzo dobra.

- Dla niektórych ludzi dobroć nic nie znaczy - zauważył. Są tacy, którzy uważają to po prostu za słabość. Szkoda, że nie odesłałem jej od razu do ojca. Na szczęście wszystko już załatwione. Pożegnamy ją wkrótce.

- Jak sobie życzysz - odparła Kathryn. - Przez ten czas nie będę jej robić żadnych wstrętów. Postaram się być dla niej miła.

Lorenzo skinał głową, przygarnął żonę do siebie i spojrzął jej prosto w oczy.

- Nie spodziewałem się po tobie innej odpowiedzi. Mimo wszystko zaklinam cię, bądź ostrożna. Nie chcę, żeby coś ci się stało pod moją nieobecność.

Uśmiechnęła się i pocałowała go.

- Nic się nie bój. Obiecuję, że będę uważać na siebie. A poza tym, co może się zmienić w tak krótkim czasie?

- Co się stało? - zapytała Kathryn na widok starszej damy. Odłożyła czytana książkę. - Wyglądasz na mocno zdenerwowaną.

-Właśnie dostałam list - odpowiedziała Veronique.

- Moja siostra zachorowała. Chce się ze mną widzieć. To dzień jazdy od Rzymu, więc moja nieobecność potrwałaby trzy dni.

- Boisz się o nią, prawda?

- Oczywiście, ale z drugiej strony, nie chcę cię tu zostawić samej. Signor Santorini wróci dopiero pojutrze. - Veronique załamała ręce. Wyraźnie nie wiedziała, jak powinna postąpić.

- Musisz jechać - stanowczo oznajmiła Kathryn. - Przecież nie będę zupełnie sama. Jest Maria, a wieczorem przyjdzie Elizabeta.

- Aby na pewno?

- Musisz jechać - z uśmiechem powtórzyła Kathryn. - Masz pieniądze na podróż?

- Tak. Signor Santorini jest dla mnie bardzo hojny. Wró-

cę tak szybko, jak tylko będę mogła - zapewniła Veronique, nadal niepewna, czy dobrze robi, zostawiając Kathryn.

- Zostań u niej co najmniej parę dni - powiedziała Kathryn i pocałowała ją w policzek. - Nie miej wyrzutów sumienia.

Starsza dama dygnęła przed nią i wyszła. Kathryn szczerze polubiła tę Francuzkę, ale nie czuła się osamotniona. Tak jak wspomniała, były jeszcze Maria i Elizabeta. A poza tym zawsze miała swoje ukochane książki.

Kathryn siedziała sama w salonie, którego okna wychodziły na ogród. W pewnej chwili zjawiła się Maria. Stała w progu, zaciskając dłonie. Na jej pięknej twarzy malowała się skrucha.

- Mam nadzieję, że mi wybacysz - powiedziała. - Wcale nie chciałam tak powiedzieć. Byłam zła, ale naprawdę łaknie myślę.

- Wiem, że nie. - Kathryn też bywała mocno zakłopotana w różnych sytuacjach. Mogła ją zrozumieć. - Czasami w złości nie panujemy nad słowami i mówimy coś zupełnie niepotrzebnie. Przykro mi, że musisz wracać do Hiszpanii, ale jestem całkowicie przekonana o tym, że pod rodzinnym dachem poczujesz się znacznie lepiej. Twój ojciec na pewno cię zrozumie. Za co miałby się na ciebie gniewać?

Maria wbiła wzrok w podłogę.

- Zawsze był dla mnie bardzo surowy. W domu nigdy nie byłam tak szczęśliwa jak z wami. Nie odsyłaj mnie, proszę. Porozmawiaj o tym ze swoim mężem. Na pewno cię posłucha.

- Niestety, tym razem muszę stanąć po stronie Lorenza. - Kathryn wiedziała, że powinna być stanowcza. Przecież Maria nie mogła zostać z nimi na zawsze. - Wrócisz do domu, znajdziesz sobie męża...

- Nie chcę wyjść za mąż! - Maria szybko uniosła głowę i błysnęła oczami. - Ale skoro każesz mi odejść... - Rozpłakała się. - Chciałabym jeszcze spędzić z wami święta Bożego Narodzenia. Proszę...

- Spytam Lorenza, czy pozwoli zostać ci odrobinę dłużej. Chociaż nie obiecuję, że się zgodzi. A teraz siadaj tu koło mnie. Każę nam podać coś do picia. Dzień jest piękny, więc na traćmy go na próżne kłótnie.

- Sama pójdę - zaproponowała Maria. - Poczekaj chwilę. Może jak będę jeszcze grzeczniejsza, to Lorenzo jednak zmieni zdanie?

Wybiegła. Kathryn wzięła książkę do ręki, ale nie mogła skupić się na lekturze. A może popełniła błąd, zgadzając się z decyzją Lorenza? Jeżeli ojciec Marii naprawdę jest taki surowy, to rzeczywiście może odesłać dziewczynę do klasztoru. Coś tu jednak się nie zgadzało...

Przez chwilę pomyślała o lady Mary i lordzie Mountfitchecie. W dalszym ciągu nie miała o nich żadnych wieści. Może zginęli z rąk Turków na Cyprze? Gdyby żyli, na pewno znaleźliby jakiś sposób, żeby skontaktować się z Lorenzem. Chociaż to właśnie Lorenzo wspominał, że w tych niebezpiecznych czasach listy dochodzą znacznie później.

Wróciła Maria, niosąc tacę z winem i migdałowymi

ciasteczkami, które Kathryn ogromnie lubiła. Kucharką zawsze miała kilka w pogotowiu, żeby zadowolić swoją panią.

Maria postawiła tacę na stole i napełniła kieliszki.

- Lubię te ciastka - powiedziała. Nałożyła sobie od razu dwa. - W haremie też jadłam podobne. Pycha.

Kathryn z ochotą wzięła swoje ciastko. Ugryzła je. Było bardzo słodkie, a migdał wydawał jej się okropnie gorzki. Odłożyła je z niesmakiem i sięgnęła po następne.

- Niedobre? - spytała Maria.

- Migdał jest jakiś gorzki - odpowiedziała Kathryn.

- Och tak. To się czasami zdarza. - Maria pokiwała głową. - Zjedz inne. Może to...

Kathryn poszła za jej radą. Ciastko rzeczywiście było dużo lepsze, ale na końcu znów poczuła gorycz w ustach. Wypiła duży łyk wina, żeby przepłukać ten niemiły smak. Odsunęła tacę od siebie. Chyba tym razem kucharka trafiła na złą partię migdałów.

Tymczasem Maria nie przestawała jeść. Spałaszowała jeszcze trzy ciasteczka i wypila kieliszek wina.

- Nie pogniewasz się, jeśli wieczorem pójde do Isabelli? zapytała. - Prosiła mnie o to wczoraj, ale nie wiedziałam, czy się zgodzisz.

- Ależ oczywiście - odpowiedziała Kathryn. - Idź i niczym się nie przejmuj. Elizabeta obiecała, że dzisiaj do mnie wpadnie. Tylko weź ze sobą któregoś ze służących. Nie chodź po mieście sama.

- Tak, tak - zaszczebiotała Maria. - Nie martw się o mnie.

Wszystko będzie dobrze. - Była bardzo blada, lecz poza tym zachowywała się całkiem normalnie.

- Uwierz mi, że twoje sprawy z ojcem też wkrótce się ułożą. Cała rodzina się ucieszy, jak wreszcie wrócisz do domu.

- Pewnie masz rację - odpowiedziała Maria, po czym wstała. - Jeśli pozwolisz, to pójde się przebrać przed wizytą u Isabelli.

- Oczywiście. - Kathryn się uśmiechnęła.

Maria powoli wyszła z pokoju. Kathryn odprowadziła ją wzrokiem. A może jednak Lorenzo nie miał racji?

Elizabeta przyszła późnym popołudniem. Właśnie siedziały razem w ogrodzie, kiedy Kathryn poczuła dotkliwe bóle brzucha. Za drugim razem aż się zwinęła z jękiem.

- Co się stało? - spytała Elizabeta. - Jesteś chora?

- Boli... - wyjąkała Kathryn. - Potwornie się czuję...

Zerwała się na równe nogi i pobiegła w krzaki, żeby wymiotować. Kręciło jej się w głowie. Zachwiała się i byłaby upadła, gdyby Elizabeta w samą porę nie pospieszyła jej na pomoc. Wymiotowała jeszcze dwa razy.

-Przepraszam...

- Nie masz za co. - Elizabeta z niepokojem przyglądała się przyjaciółce. - Kiedy to się zaczęło?

- Całkiem niedawno... Najpierw myślałam, że mam zga-gę... Ale potem...

- Co jadłaś? - spytała Elizabeta, widząc, że Kathryn znów zwija się z bólu. - Powinnyśmy natychmiast posłać po lekarza. Gdzie Lorenzo?

- Wyjechał na dwa dni - odpowiedziała Kathryn. Elizabeth pomogła jej z powrotem usiąść. - Naprawdę źle się czuję. Zaprowadzisz mnie do pokoju?

- Oczywiście. - Elizabeth przypatrywała jej się z niekłamana troską. - Musi przyjść lekarz. To mi się nie podoba, Kathryn. Musiałaś zjeść coś niedobrego.

-Niewiele jadłam... Chleb, ser, owoce... - wydukała Kathryn. - Aha, jeszcze ciastka, które przyniosła Maria. To było tu, w ogrodzie... rano. Jedno z nich wydawało mi się okropnie gorzkie.

- Ona też jadła? - podejrzliwie spytała Elizabeth.

- Tak, i to nawet ze sporym apetytem - odparła Kathryn.

- Mam nadzieję, że nie jest chora.

- Zawołam ją.

- Poszła z wizytą do Isabelli.

- A to ciekawe, Adriana zapewniała mnie, że właśnie dzisiaj Isabella przychodzi do niej w towarzystwie ojca.

Kathryn nie miała siły się z nią sprzeczać. Może coś źle zrozumiała. Z trudem stawiała nogę za nogą. Elizabeth odprowadziła ją do sypialni. Tam Kathryn znów chwyciły mdłości. Zwymiotowała do nocnika, a potem bezwładnie padła na łóżko. Była bardzo słaba. Leżała z zamkniętymi oczami, nawet nie zdając sobie sprawy z zamieszania, jakie powstało w całym domu. Elizabeth siedziała przy niej i ocierała jej spocone czoło, dopóki nie przyszedł lekarz.

Powiedziała mu o swoich obawach. Zbadał Kathryn bardzo uważnie, poszukując śladów trucizny.

- Podejrzewam jednak zwyczajną niestrawność - oznaj-

mił. - Gdyby to była trucizna, nie miałbym tu nic do roboty. Niektóre środki pozostawiają nieprzyjemny oddech lub niebieskie zabarwienie skóry wokół ust. Chyba zjadła coś, co w większej dawce mogło być naprawdę niebezpieczne... Na szczęście największe zagrożenie już minęło. Wkrótce powinna przyjść do siebie.

- Mówiła mi, że jadła chleb, ser i owoce.

- To pewnie ser - odparł. - Nieprzyjemna sprawa. Dałem jej środek na ból żołądka. Teraz powinna trochę pośpać i odpocząć.

Elizabeta podziękowała mu, ale nie była w pełni zadowolona z tej diagnozy. Jej zdaniem, na pewno chodziło o ciastka. Maria była złośliwa - dała *już tego* dowody - ale żeby chciała otruć Kathryn?

Elizabeta popatrzyła na śpiącą przyjaciółkę. Po chwili namysłu podniosła się z krzesła i wyszła z pokoju. Wiedziała, że pokój Marii znajduje się na końcu korytarza. Może nie miała racji, podejrzewając Hiszpankę, ale chciała to sprawdzić. Tylko przez moment walczyła z wyrzutami sumienia. Życie Kathryn było ważniejsze. Weszła do pokoju i zaczęła przetrząsać paki i skrzynie.

Poszukiwania były krótkie i na pozór nie przyniosły żadnych rezultatów. Elizabeta znalazła jedynie zwiewny strój z haremu, ukryty na samym dnie dużego kufra i piękny naszyjnik, zapewne z rubinu, otoczonego perłami. Zważyła go w dłoni, bo złota oprawa była na tyle gruba, że mogła zawierać jakąś tajemnicę. W tej samej chwili usłyszała za sobą jakiś szelest. Odwróciła się i zobaczyła Marię.

- Co ty tu robisz? - Hiszpanka wyrwała jej naszyjnik z ręki. - To moje! Nie masz prawa tego dotykać! Po co w ogóle przyszedłeś do mojego pokoju?!

- Kathryn jest chora - wyjaśniła Elizabeta. - Lekarz stwierdził, że to zatrucie...

- Chcesz powiedzieć, że ją otrułam?! - wrzasnęła Maria. Oczy świeciły jej jak dwa rozżarzone węgle. - Nigdy mnie nie lubiłaś! Wygadywałaś o mnie najgorsze rzeczy!

- Nieprawda - spokojnie odparła Elizabeta. - Po prostu ci nie ufam. Od samego początku robiłaś słodkie oczy do Lorenza. Chciałaś się pozbyć Kathryn i zająć jej miejsce?

- Och, ty głupia! - krzyknęła Hiszpanka. - Nic innego nie przyszło ci do głowy? Mam kochanka. To prezent od niego... - Uśmiechała się triumfalnie. - Może to ty otrułaś Kathryn? Mnie tu nie było. Gdybym rzeczywiście pragnęła jej śmierci, dawno by nie żyła.

- Choruje przez ciebie - powiedziała Elizabeta. - Nie zaprzeczaj, Mario. Jeśli jej się coś stanie... Jeśli naprawdę umrze, dopilnuję, żebyś zawisła na szubienicy za morderstwo.

- Wynoś się stąd! - krzyczała Maria. - Kłamiesz! Nigdy nie skrzywdziłabym przyjaciółki! Nic nie możesz mi udowodnić. .. Poza tym wkrótce wyjeżdżam.

- Im szybciej, tym lepiej - mruknęła Elizabeta. Ani przez chwilę nie wierzyła w wykręty Marii. - Będę przy Kathryn. Nie wolno ci tam wchodzić. Jeśli mnie nie posłuchasz, każę cię zamknąć w twoim pokoju. Doskonale wiem, co z ciebie za jędza.

- Kiedyś pożałujesz tego, co powiedziałaś. Ten, którego kocham, jest najpotężniejszy. Zapłacisz mi za to.

- Nie boję się twoich gróźb, dziewczko - odparła Elizabeta. - Nie wiem, skąd masz ten rubin i kostium z haremu, ale domyślam się, kim jesteś. Lorenzo się o tym dowie.

Kathryn obudziła się z potwornym bólem głowy. Zobaczyła siedzącą przy łóżku Elizabetę. Za oknem wstawał nowy dzień. Kathryn popatrzyła na przyjaciółkę nieprzytomnym wzrokiem, a potem wszystko sobie przypomniała.

- Siedziałaś tutaj całą noc? - spytała.

- Bałam się o ciebie - odpowiedziała Elizabeta i ścisnęła ją mocno za rękę. - Byłaś bardzo chora. Nie opuszczę cię aż do powrotu Lorenza. Nie dowierzam tej hiszpańskiej dziewczynie.

Kathryn uniosła się na poduszce. Brzuch bolał ją nie mniej niż głowa, ale czuła się już o wiele lepiej.

- Nie powinnaś tak się przejmować. To na pewno nie Maria. Jak ona się czuje?

- Dosypała ci coś do ciastek albo do wina - powiedziała Elizabeta. - Nie mam na to dowodów, Kathryn, ale wiem, że musiała mieć z tym coś wspólnego. Być może chciała ci tylko dokuczyć. Podejrzewam jednak coś znacznie gorszego.

- Może. - Kathryn westchnęła z rezygnacją. Była jeszcze zbyt słaba, żeby myśleć o takich sprawach. - Lorenzo wspominał, że niedługo odeśle ją do domu. Maria błagała mnie, żebym porozmawiała z Lorenzem i namówiła go, by pozwolił jej zostać. Prawdę mówiąc, też mam jej trochę dosyć.

- Jest podstępna i chytra. Ciagle kłamie.

- Chyba tak. - Kathryn się zawahała. Przecież nie mogła powiedzieć swojej przyjaciółce, że młoda Hiszpanka spędziła kilka miesięcy w haremie. - Pewnie ma do mnie żal, ale to jeszcze nie powód do morderstwa.

- To nie była silna trucizna - odparła Elizabeta. - W przeciwnym wypadku już byś nie żyła. Prawdopodobnie chciała cię ukarać. Uważaj na nią, Kathryn. Ona jest zdolna do wszystkiego.

- Dobrze, dobrze - obiecała chora. - A teraz idź do domu. Na pewno jesteś potwornie zmęczona. Twój mąż też się o ciebie martwi.

- Nie zostawię cię samej.

Kathryn pokręciła głową.

- Powtarzam ci: to nie Maria. Poza tym nie będę sama. W tym domu jest pełno służby na każde moje wezwanie. - Uśmiechnęła się. - Nic mi się nie stanie.

- Jak chcesz. W takim razie pójdę. - Elizabeta zrobiła kwaśną minę. - Mój szanowny małżonek pewnie myśli, że go porzuciłam. Zupełnie niepotrzebnie się przejmuję. Jest dla mnie dobry, a moje drobne flirty naprawdę nic nie znaczą. Nigdy nie byłam mu niewierna.

- Proszę cię, pozdrów go ode mnie.

Wreszcie Elizabeta dała się przekonać i poszła do domu. Kathryn zadzwoniła na pokojówkę i kazała przygotować kąpiel. W nocy spociała się jak mysz pod miotłą. Do pokoju wniesiono dużą balię i napełniono ją gorącą perfumowaną wodą.

- Chcesz, żebym ci umyła plecy, pani? - spytała cicho pokojówka.

- Na razie nie - odpowiedziała Kathryn. - Jestem zmęczona. Przez dłuższą chwilę zamierzam po prostu posiedzieć w wodzie. Bądź gdzieś w pobliżu, dobrze?

- Zaczekam w sąsiednim pokoju, pani - odparła dziewczyna. - Przejrzę suknie. Może którąś trzeba zanieść do szwaczki.

- Dziękuję, Liso. - Kathryn pokiwała głową. - Zawołam cię za kilka minut.

Nie myślała o Marii. Ostrzeżenia Elizabety wydawały jej się zupełnie bezpodstawne. Mimo to wołała mieć się na baczności.

Leniwie wyciągnęła się w nagrzanej wodzie. Bolały ją wszystkie mięśnie. Nie chciała jeszcze raz przeżyć podobnej przygody.

Zastanawiała się, gdzie teraz może być Lorenzo. Szkoda, że jeszcze nie wrócił, pomyślała. Przy nim czuła się naprawdę bezpieczna. Ciepło rozleniwiło ją do tego stopnia, że z wolna zaczęła przysypiać. Jak przez mgłę usłyszała ciche skrzypnięcie podłogi.

- To ty, Liso? - spytała. Niemal w tej samej chwili coś ciężkiego spadło jej na głowę. Zanim na dobre straciła przytomność, poczuła ciężki zapach perfum, od samego początku używanych przez Marię.

Lorenzo wpadł do domu wiedziony przecuciem, które towarzyszyło mu już od wieczoru. Przerwał naradę i dzień wcześniej wrócił do Rzymu. Wiedział, że zachowuje się jak

głupiec, lecz nie zdołał pozbyć się wrażenia, że nad jego żoną zawisło niebezpieczeństwo.

Ledwie przekroczył próg, usłyszał głośny krzyk, dobiegający z pokoju Kathryn. Pognał tam jak szalony i jednym szarpnięciem otworzył drzwi. Zobaczył pokojówkę Lisę. Walczyła z kimś... To Maria! Hiszpanka trzymała w ręku ciężki lichtarz. Lisa usiłowała ją rozbroić. Lorenzo wpadł do pokoju i złapał Marię od tyłu. Bezskutecznie próbowała uwolnić się z jego rąk.

Lisa natychmiast pochyliła się nad balią i wyciągnęła z wody bezwładne ciało Kathryn. Lorenzo patrzył na to z przerażeniem. Kathryn krwawiła z lekkiej rany z tyłu głowy, ale po chwili drgnęła i z jej ust wyrwał się cichy jęk. Lorenzo odepchnął Marię i pochylił się nad żoną.

- Kto to zrobił? - zapytał.

- To ona! - krzyknęła Maria. - Pokojówka! Chciałam ją powstrzymać...

- Nie... - z trudem wykrztusiła Kathryn. - Maria...

- Wezwij resztę służby! - zawołał Lorenzo do Lisy. - Nie dajcie jej uciec! Potem się nią zajmę.

Maria cofnęła się, a potem jak oparzona wybiegła z pokoju. Lorenzo nawet się za nią nie obejrzał. Wiedział, że ją znajdzie. Przede wszystkim musiał się zająć żoną.

Wziął ją w ramiona, podniósł i ostrożnie położył na łóżku. Odgarnął jej włosy z czoła.

- Trzeba wezwać lekarza - powiedział. - Nie powinienem cię zostawiać samej. Dobrze wiedziałem, że Marii nie wolno ufać.

Zjawiała się służba. Lorenzo rozkazał im przynieść suche ręczniki i sam wytarł żonę. Dokładnie obejrzał ranę na głowie. Na szczęście okazała się całkiem powierzchowna.

- To tylko zadrapanie - zawyrokował. - Uderzyła cię zupełnie lekko.

- Chwilę wcześniej zdążyłam się poruszyć - ze szlochom odpowiedziała Kathryn. - Boli, Lorenzo...

- Wiem, że boli. Maria poniesie zasłużoną karę. - Rozejrzał się po pokoju. - A gdzie jest Veronique?

- Zaraz po twoim wyjeździe dostała list, że jej siostra jest bardzo chora. Spytała mnie, czy może ją odwiedzić. Oczywiście kazałam jej natychmiast jechać.

- A ta przeklęta dziewczka postanowiła skorzystać z okazji. - Lorenzo wpadł we wściekłość. - Pożałuje tego.

- Odeślij ją. Nie domagam się dla niej żadnej kary, lecz nie może tu dłużej zostać. Wczoraj próbowała mnie otruć. Na szczęście nie umiała dobrać odpowiedniej dawki, więc tylko się rozchorowałam.

- Próbowała cię otruć? - Twarz mu pociemniała z gniewu. - A to suka! Powiniennem ją zabić, ale wystarczy, jeśli don Pablo dostanie ją z powrotem.

- Tak. - Kathryn uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Pewnie bała się, że jej ojciec odkryje całą prawdę. Była kochanką Raszida.

- Też to podejrzewałaś? - Lorenzo pokiwał głową. - Nic dziwnego, że chciała cię zabić. Czasem kobiety kierują uczucia do niewłaściwej osoby.

Kathryn przytaknęła w milczeniu. Była zbyt zmęczona,

by dalej mówić. W głębi duszy podejrzewała, że Maria mogła działać na czyjś rozkaz. A jeśli Raszid obiecał jej małżeństwo pod warunkiem, że zniszczy znienawidzonego wroga? Postanowiła, że jak najszybciej powie o tym mężowi, ale na razie chciała po prostu zasnąć.

- Tak... Śpij, najdroższa - odezwał się Lorenzo tonem, jakiego jeszcze nigdy u niego nie słyszała. - Zostanę przy tobie. Będę tutaj, dopóki jej nie złapią.

Rozdział dziewiąty

Minął tydzień, odkąd Maria zniknęła bez śladu. Lorenzo rozesłał swoich ludzi na poszukiwania, ale nikt nie mógł jej znaleźć. Tymczasem Kathryn zdażyła zupełnie wyzdrowieć po próbie otrucia i uderzeniu w głowę. Na szczęście cios okazał się niezbyt silny, choć na kilka sekund pozbawił ją przytomności.

- Podejrzewam, że Maria chciała cię utopić - ocenił Lorenzo. - Na szczęście Lisa była w pobliżu. Wszyscy uznaliby to za wypadek.

- Nic z tego nie rozumiem. - Kathryn westchnęła. - Dlaczego? Co jej się stało? Przecież nie byliśmy jej wrogami. Uratowałeś ją z rąk Raszida.

- Chyba nie chciała, żeby ją ratować - z namysłem odparł Lorenzo. - Jeżeli była jego faworytą, to mogła rządzić całym haremem.

- Jest bardzo piękna - przytaknęła Kathryn. - Myślę, że Raszid rzeczywiście zwrócił na nią uwagę. Kiedy wspomnia-

łam, że chcę spalić jej strój z haremu, ubłagała mnie, abym tego nie robiła. Chciała go zatrzymać. Skoro tak dobrze było jej w haremie - dodała - to może chciała tam wrócić?

Zawahała się, bo nie wierzyła, żeby Raszid mógł posłużyć się kobietą, aby zniszczyć znenawidzonego wroga.

- Gdybym zginął? - Lorenzo powoli pokiwał głową. - Tak, to całkiem możliwe. Podejrzewam, że najpierw zamierzała mnie uwieść, a potem wciągnąć w pułapkę. Ale dlaczego dwukrotnie próbowała cię zabić? Przecież byłaś dla niej bardzo dobra.

Kathryn zastanawiała się przez dłuższą chwilę.

- Może była zazdrosna? Mój ukochany wciąż był przy mnie, ona zaś straciła prawie wszystko. Zorientowała się, że ją lekceważysz. Spodziewała się, że po mojej śmierci łatwiej znajdzie drogę do twojego serca.

- Całkiem możliwe - zgodził się Lorenzo. - Nie mówmy o niej, nie jest tego warta. Jak ją schwytają, poniesie zasłużoną karę.

- Tylko błagam cię, nie bądź dla niej zbyt surowy. - Kathryn spojrzała na niego z niepokojem. - Wiem, że postąpiła karygodnie, lecz...

- W myśl prawa powinna otrzymać chłostę i pójść do więzienia.

- Nie! To zbyt okrutne! - zawołała Kathryn. - A nie możesz po prostu odesłać jej do ojca?

- Chcesz tego?

- Tak. Nie potrafiłabym znieść myśli, że przyczyniłam się do jej śmierci.

- Zgoda. Tym razem muszę ci ustąpić. Don Pablo będzie sędzią własnej córki, bowiem zamierzam go poinformować o wszystkim, co się tutaj stało. Koniec na tym. Zapomnijmy o Marii.

- Dokąd pójdziemy dziś wieczorem? - zapytała Kathryn.

Pierwszy raz od tygodnia zamierzali razem wyjść z domu. Lorenzo przygotował jakąś niespodziankę.

- Cierpliwości, madonno - odparł i leciutko pocałował ją w usta. - Za parę godzin sama się przekonasz. Na razie to tajemnica.

Tajemnicą okazał się wspaniały bal maskowy, wydany na cześć Kathryn. Zjawili się wszyscy przyjaciele. Lorenzo sprawił żonie nową wspaniałą suknię z zielonego jedwabiu, naszywaną maleńkimi brylancikami. Srebrna maseczka - też przygotowana specjalnie na tę okazję - podkreślała jej kuszące usta.

Lorenzo jak zwykle ubrał się na czarno, chociaż miał zielone szarfy na rękawach - pod kolor sukni żony. Pocałował ją przed wyjściem i wręczył jej kolejny prezent: mały naszyjnik ze szmaragdów, który jak ulał leżał na jej smukłej szyi.

-Cudowne. Rozpieszczasz mnie, Lorenzo. - Kathryn uniosła głowę i zobaczyła, że oczy męża błyszczą piękniej niż klejnoty.

- Jesteś moim największym skarbem - oznajmił z przejęciem. - Przez chwilę myślałem, że cię stracę, i ogarnęło mnie przerażenie. Moje życie byłoby bez ciebie puste. Kie-

dyś w ogóle nie myślałem o małżeństwie, ale teraz... Teraz jestem szczęśliwy dużo bardziej, niż się spodziewałem.

- Mój kochany. - Kathryn miała oczy pełne łez, ale dzielnie walczyła ze wzruszeniem. Nie wierzyła, że kiedyś usłyszy od niego tak czułe słowa. Owszem, kochała go, lecz co innego kochać, a co innego być kochanym.

Lorenzo uśmiechnął się i pocałował ją w rękę. Wyszli z domu. Noc była ciepła i wspaniała.

- Chodź, Kathryn. Przyjaciele na nas czekają.

Bal udał się znakomicie. Wszyscy ucieszyli się na widok Kathryn. Przyjaciółki wyciągały ją, jakby nie widziały jej od bardzo dawna. Na dobrą sprawę, żadna z nich nie lubiła Marii.

- Lorenzo nie powinien gościć jej u siebie - bez ogródek stwierdziła Elizabeta. Bal odbywał się w jej domu, więc z emfazą pełniła rolę gospodyni i opiekunki Kathryn.
- Mam nadzieję, że będziesz do mnie często pisać, kiedy wrócicie do Wenecji. Nasza przyjaźń przetrwa próbę czasu i rozłąki! - dodała teatralnym tonem. - Tylko pamiętaj, zaprosz mnie do siebie.

Kathryn wybuchnęła śmiechem.

- Z największą przyjemnością - odpowiedziała. - Póki co, Lorenzo nadal musi pozostać w Rzymie. Na razie nic nie mówił o powrocie.

Podjeżdżała, że będzie bardzo tęsknić do rzymskich przyjaciółek. Prawdopodobnie w Wenecji pozna nowych znajomych, a mimo to będzie jej brakowało kobiet, których

przyjaźń zyskała. Przypomniała sobie, że Lorenzo wspominał, iż kupi willę na przedmieściach Rzymu i urządzi tam letnią rezydencję.

Kathryn chyba jeszcze nigdy nie była tak radosna jak tego wieczoru. Ciągłe tańczyła - najczęściej z mężem. Lorenzo pozbył się posępnej miny i tryskał humorem. Niektórzy z jego dawnych przyjaciół wręcz nie mogli nadziwić się tej zmianie. Kilku z nich wspomniało o tym Kathryn.

- Prawdziwy cud! - zachwycał się Paolo. - To wyłącznie twoja zasługa. Ech, miłość...

Właśnie, miłość. Kathryn nigdy nie marzyła o tak wspaniałym mężu. Wszystko widziała jak przez mgłę, owładnięta niezwykłym szczęściem.

Bardzo późno opuścili przyjęcie. Pochodnie wypaliły się już niemal do końca, a księżyc świecił blado, przesłonięty przez chmury. Zaledwie wyszli na ulicę, natknęli się na człowieka, który właśnie zamierzał zapukać do drzwi Elizabety. Lorenzo aż krzyknął z radości.

- Michael! Cieszę się, że cię widzę, stary druhu. Co z twoim ojcem?

- Dużo lepiej, dziękuję - odparł Michael i uśmiechnął się krzywo. - Pouczał mnie, że powinienem znaleźć sobie żonę. To znaczy, że już wyzdrowiał.

Lorenzo się roześmiał.

- Tęskniliśmy za tobą. Może pójdziesz z nami? Mamy sporo do omówienia.

- Dlatego cię szukałem - powiedział Michael i z uśmie-

chem spojrział na Kathryn. - Mam dobre wieści. Przywiozłem list od lorda Mountfitcheta.

- Od wuja Charlesa? - ze łzami w oczach zawołała Kathryn. Och, to był naprawdę najcudowniejszy dzień w jej życiu. - Tak się cieszę. Nic mu się nie stało? A ciocia Mary?

- Oboje są cali i zdrowi. Pozwoliłem sobie otworzyć list, chociaż był adresowany do ciebie, Lorenzo. Lady Mary zachorowała podczas rejsu i lord Mountfitchet kazał skrócić na Sycylię. Nie dopłynęli na Cypr. Na wieść o napadzie Turków postanowili zostać na Sycylii. Lady Mary długo chorowała. Z powodu wojny lord Mountfitchet nie bardzo wiedział, dokąd wysłać wiadomość o ich losie. Wreszcie wybrał Wenecję.

- To wspaniałe wieści - powiedział Lorenzo. - Ogromnie się cieszę.

- Na Boga! - krzyknął Michael i błyskawicznie odepchnął go na bok. - Co ty robisz?!

Kathryn krzyknęła, przerażona. Dopiero teraz spostrzegła kobiecą postać, która wychynęła z cienia i zamierzała wbić długi zakrzywiony sztylet w plecy Lorenza. Michael był szybszy, więc chybiła. Wrzasnęła dziko i jak oszalała zaczęła wymachiwać nożem.

- Zabiję go! - krzyczała Maria. - Zabrał mnie od człowieka, którego kocham! Raszid chciał pojąć mnie za żonę! Jak on zginie, Raszid pozwoli mi do siebie wrócić!

Michael wciąż się z nią szarpał. Nagle ostrze noża zagłębiło się w jego piersi. Jęknął głucho. Z rany trysnęła krew. Maria zamierzyła się do następnego ciosu, ale Lorenzo w porę zdołał złapać ją za rękę. Hiszpanka wrzasnęła z bó-

lu, a sztylet z brzękiem upadł na ziemię. Lorenzo szybkim kopnięciem odrzucił go na bok i krótkim uderzeniem uciszył dziewczynę. Zawisła bezwładnie w jego ramionach.

Kathryn pochyliła się nad rannym Michaeliem. Mocno przyciskała ręce do piersi. Z domu Elizabety wybiegli goście zaalarmowani niezwykłym hałasem i krzykami Marii.

- Zabierzcie ją - polecił Lorenzo swoim ludziom, którzy także zjawili się na miejscu zdarzenia. - Policzę się z nią później. Co z nim?

Kathryn siedziała na ziemi i trzymała głowę Michaela na kolanach.

- Źle - powiedziała. Była blada jak ściana. - Rana jest dość głęboka. Bardzo krwawi.

- Zanieście go do domu - rozległ się rozkazujący głos Elizabety. - Już wysłałam służbę po lekarza. Tymczasem się nim zajmujemy.

Kilku mężczyzn dźwignęło Michaela z ziemi i wniosło go do budynku. Wszyscy byli bardzo przejęci. Wieczór zapowiadał się naprawdę pięknie, a tu taki dramat...

Jak to się stało? Kathryn słyszała podniecone szepty, bo Michael był powszechnie znany i lubiany wśród przyjaciół Lorenza. Wszyscy uważali, że Maria powinna zawisnąć za próbę morderstwa, a może nawet spłonąć na stosie, bo podejrzewano ją o konszachty z diabłem. Skoro była zdolna do tak okrutnych czynów... Najpierw chciała zabić Kathryn, a teraz Lorenza. Signor Santorini zginąłby na miejscu, gdyby nie odwaga jego kapitana.

Michaela zaniesiono na górę, do jednej z gościnnych

komnat. Elizabeta i Kathryn przygotowały mu posłanie. Nadal żył, chociaż stracił przytomność. Krew plamiła mu koszulę i kaftan.

- Pomóż mi go rozebrać - powiedziała Elizabeta. - Trzeba powstrzymać krwawienie, zanim nie przyjdzie chirurg.

Kathryn posłuchała jej bez wahania. Elizabeta najwyraźniej wiedziała, co robić. Rozcięły rannemu kaftan i koszulę. Został tylko w bryczesach. Służba przyniosła opatrunki i wodę. Elizabeta starannie przemyła ranę. Kathryn pomogła jej ciasno zabandażować pierś Michaela. Wciąż nie otwierał oczu.

- Ta dziewczka zapłaci za to - grobowym głosem rzekł Lorenzo. Był bardzo przygnębiony. - Niech zgnije w piekle! Zabiła jednego z najlepszych ludzi na świecie!

- Nie mów tak, kochanie - przerwała mu Kathryn. - Michael jest silny. Na pewno przeżyje.

- Nie widziałaś, jak ludzie umierają - burknął ostro. - Nie wierzę w cuda. Jeśli on umrze, ona także!

- Lorenzo... - zdławionym głosem zaczęła Kathryn, bo wiedziała, że ów gniew zaprawiony jest głębokim smutkiem. Michael był mu droższy od rodzzonego brata. - Nie... - Chciała powiedzieć, żeby się nie martwił, ale on zmierzył ją złym spojrzeniem.

- Nie prosź dla niej o łaskę - oznajmił zimnym tonem. - Zasłużyła na najsurowszą karę. Na pewno zginie.

- Dokąd idziesz? - spytała, widząc, że podszedł do drzwi.

- Zostań tutaj - polecił. - Pomóż Elizabecie. Zobaczymy się później.

Kathryn przez chwilę patrzyła za mężem. Jak do tego doszło? Jeszcze niecałą godzinę temu była tak szczęśliwa. Lorenzo spotkał starego druha, wujek napisał list, że są zdrowi - a teraz nad tym wszystkim zawisł ponury cień śmierci.

Po jakie лихо oddałem Hassana za tę hiszpańską dziewczkę? Lorenzo zaklął pod nosem, wychodząc z domu Elizabety. Mogłem go zabić! Sam o to prosił. Zebrało mi się na współczucie i teraz mam za swoje.

Wyczuwał w tym wpływ Kathryn. Przy niej wyraźniej stał się łagodniejszy, a także mniej czujny i ostrożny. Nie zauważył zaczajonej Marii. Nie ostrzegło go przecucie i niezawodny dawniej instynkt walki. Podniecony tańcem i zabawą dopuścił do tego, by życie najbliższego przyjaciela zawisło na włosku.

Miłość. Tak, tak... Wszystkiemu winna miłość. To ona zmiękcza serca mężczyzn, czyni ich słabymi i podatnymi na ciosy.

Lorenzo zacisnął pięści. Więcej to się nie powtórzy, obiecał sobie w duchu. Będę stanowczy i zdecydowany nawet wobec Kathryn. Wszystko ma swoją cenę...

Michael przez trzy dni balansował na krawędzi śmierci. W tym czasie Kathryn przebywała w domu Elizabety i pomagała w opiece nad rannym. Lorenza widziała zaledwie kilka razy, kiedy przychodził dowiedzieć się o stan zdrowia przyjaciela. Wyczuwała, że odnosił się do niej

inaczej niż do niedawna. Z dystansem, a nawet z pewną niechęcią.

Dlaczego? Z powodu Marii? No dobrze, myślała Kathryn, to ja go przecież poprosiłam, żeby dziewczyna została z nami. Ale skąd miałam wiedzieć, jak to się skończy? Przecież sama omal nie zginęłam. Nie może winić mnie za zbrodnię Marii! A jednak... Lorenzo stał się zimny, oschły i nieprzystępny.

Trzeciego dnia gorączka zaczęła spadać i Michael otworzył oczy. Uśmiechnął się na widok Kathryn. Otarła mu spocone czoło i podała wodę do picia.

- Jesteś dla mnie bardzo dobra.
- Ocaliłeś życie Lorenza. Nie wolno ci umierać.
- To mój przyjaciel... brat.
- Wiem. - Uśmiechnęła się. - A teraz spróbuj zasnąć.

Przyjaciele się tobą zajmą.

Michael zamknął oczy. Kathryn odwróciła się i zobaczyła stojącego w drzwiach Lorenza.

- Jak on się czuje? - zapytał, patrząc uważnie i jakby z naganą na żonę.

- Chyba lepiej. - Podeszła do niego. - Zostałam tutaj, żeby być przy nim, kiedy się obudzi. Nie możemy wszystkiego złożyć na barki Elizabety. Później przeniesiemy Michała do nas.

- Myślisz, że wyzdrowieje?
- Modłę się o to dniem i nocą, Lorenzo.
- Nie wierzę w modlitwy.
- Ale czasami Bóg ich słucha.

- Być może. Wysłałam okręt na Sycylię. Co mam napisać twoim przyjaciółcom?

- Że wysłałam za mąż i jestem ogromnie szczęśliwa.

- Dobrze. - Zawahał się. - Co powinienem zrobić teraz z Marią?

- Gdyby Michael zginął, musiałyby ponieść karę zgodną z rzymskim prawem - odpowiedziała Kathryn. - Sama nie wiem. Najchętniej odesłałabym ją po prostu do Hiszpanii. Jednak wyrządziła nam tyle złego...

- Jutro przyjeżdża jej ojciec. Niech sobie ją zabierze. Przyjmę okup i powiem mu o wszystkim. Powinien wiedzieć, jaką ma córkę. To będzie dla niej dostateczna kara. Zgadzasz się ze mną?

- Zrób, jak uważasz.

- Nie prosisz mnie o litość?

- Mogłeś zginąć, mój mężu - odparła Kathryn. - Michael jest ciężko ranny. To nie może ujść jej płazem.

- Wolałbym, żeby zgniła w więzieniu.

- Nie mów tak. Jesteś okrutny.

- To życie sprawiło, że stałem się okrutny, Kathryn. - W jego oczach zamigotały zimne błyski. - A jednak Michael będzie żył, i to dzięki tobie. Tylko dlatego pozwolę, by don Pablo zabrał Marię.

- Straciła ukochanego. Długo będzie cierpieła.

Lorenzo skinał głową.

- Zostałem wezwany na ważną naradę. Wrócę dopiero za kilka dni.

- Uważaj na siebie, kochany. - Kathryn objęła męża.

Lorenzo zeszywniał w jej ramionach, zamiast ją przytulić.

- Gniewasz się na mnie?

- Nie zrobiłaś nic złego - odparł. - To ja popełniłem błąd, proponując ci małżeństwo. Zaslugujesz na dużo więcej, niż mogę ci ofiarować.

- Kocham cię. Przecież wiesz o tym.

- Niestety, ja nie jestem zdolny do miłości - odpowiedział i odsunął się od żony. - Łudziłem się, że mogę być dobrym mężem. Wybacz mi. Powinienem odesłać cię do Anglii, kiedy straciliśmy z oczu lorda Mountfitcheta. - Niecierpliwie machnął ręką. - Wszystko co mam, jest twoje, ale... nie oczekuj ode mnie głębszych uczuć.

Kathryn słuchała męża kompletnie zaskoczona. Milczała, zmagając się z niewysłowionym cierpieniem. Nie chciała się rozpłakać ani okazać słabości, nie chciała też błagać Lorenza. Odwróciła się i podeszła do śpiącego Michaela. Otarła mu czoło z potu. Kiedy spojrzała w stronę drzwi, okazało się, że Lorenzo już wyszedł.

Jak mógł ją tak odepchnąć? Po tylu czułych zapewnieniach, słodkich pieścizotach, wspólnych, pełnych uniesień nocach... Czyżby to nic dla niego nie znaczyło?

Na maskaradzie u Elizabety była przekonana, że najgorsze mają za sobą. Uwierzyła w miłość Lorenza. Teraz zaś... Co go tak diametralnie odmieniło? To prawda, Michael ryzykował życie w jego obronie, ale z bożą pomocą już wracał do zdrowia. Czym ci tak bardzo zawiniłam? - zadała sobie w duchu pytanie Kathrin, czując się bezradna i zagubiona.

Nie wiedziała, że Lorenzo odchodził ze złamanym sercem. Pograżyła się we własnym cierpieniu.

Stan zdrowia Michaela poprawiał się powoli, lecz systematycznie i trwale. Po tygodniu poczuł się już na tyle dobrze, że mógł przeprowadzić się do domu Kathryn.

- Jesteś zupełnie pewna, że nie sprawię ci zbyt wiele kłopotu? - spytał, wodząc za nią wzrokiem, kiedy krzątała się po pokoju. - Na dobrą sprawę mógłbym zamieszkać w gospodzie. Nie musisz mnie niańczyć.

- Nie ma mowy - zdecydowanie odpowiedziała Kathryn. - Wybij sobie z głowy pomysły o gospodzie. Veronique wróciła od chorej siostry. Mam więc pomoc. A poza tym Lorenzo wyjechał na naradę. Będzie mi się nudzić samej w domu.

- Zapewne chodzi o przygotowania do wiosennej kampanii - z namysłem rzekł Michael. Zmarszczył brwi. - Powiniennem być teraz przy nim. - Jęknął głośno, próbując podnieść się z łóżka. - Nie. Nic z tego. Wciąż jestem za słaby. I tak bym mu nie pomógł. Obawiam się, że poleżę jeszcze kilka tygodni.

- Nie wolno ci się nadwreżać - ofuknęła go Kathryn. - Lorenzo chce, żebyś został w Rzymie, póki zupełnie nie wydobrzejesz.

- Obawiam się, że nie mam większego wyboru.

- Wkrótce poczujesz się lepiej - z uśmiechem powiedziała Kathryn. W ciągu ostatnich kilku dni Michael stał się jej bliskim przyjacielem. Polubiła jego towarzystwo.

Lorenzo wrócił kilka dni później. Dużo czasu spędził z Michaeliem, który był już na tyle silny, aby z pomocą Kathryn zejść do ogrodu i wygrzewać się na słońcu.

Lorenzo podziękował żonie za troskliwą opiekę nad przyjacielem.

- Miałem pewne plany związane z Bożym Narodzeniem - powiedział. - Obawiam się jednak, że wkrótce będę musiał znów wyjechać, Kathryn. Dostaniesz prezent i spędzisz święta w gronie przyjaciół. Są tu przecież Michael i Veronique.

Zachowywał się tak, jakby w ogóle nie pamiętał o nocach pełnych miłosnych uniesień. Wydawał się zupełnie obcy. Kathryn miała ochotę wyznać mu ze szlochem, że bez niego czuje się samotna, mimo że nie jest sama. Kochała go i cierpła na myśl o rozstaniu. Mimo to nadal milczała. Duma nie pozwoliła jej błagać męża o przychylność. Przełknęła więc łzy i w milczeniu wysłuchiwała wszystkiego, co Lorenzo miał jej do powiedzenia.

W ciągu kolejnych kilku tygodni wizyty Lorenza stały się jeszcze rzadsze i krótsze. Kathryn odniosła niemiłe wrażenie, że za każdym razem stawał się coraz bardziej oschły. Nie było uścisków ani pocałunków, nie mówiąc już o miłosnych uniesieniach i wspólnych nocach. Kathryn przeżywała to w okropny sposób. Bywały chwile, że żałowała, iż nie zginęła z ręki podstępnej Marii. Lepsza śmierć niż obojętność ze strony Lorenza.

Pewnego ranka po krótkim spotkaniu z mężem wyszła

do ogrodu. Nie mogła dłużej powstrzymać łez. Dlaczego Lorenzo tak się zmienił? Dlaczego patrzył na nią lodowatym wzrokiem?

- Płaczesz, madonno?

Drgnęła na dźwięk męskiego głosu. To był Michael. Popatrzyła na niego, zaskoczona i zakłopotana. Nie spodziewała się go tutaj o tej porze.

- Och... - Szybko otarła łzy wierzchem dłoni. - Nie słyszałam twoich kroków.

- Przepraszam, że cię przestraszyłem - odparł. - Powiesz mi, co się stało? A może sam się tego domyśle? Chyba chodzi o to, że Lorenzo tak się zmienił; traktuje cię z dystansem. Nie rozumiem, co mu się stało. Uważam, że postępuje głupio, i następnym razem powiem mu to bez ogródek.

- Ach nie! Nie zrobił niczego, żebyś mógł czynić mu wyrzuty. Po prostu... - Kathryn zaczerpnęła tchu - po prostu mnie nie kocha.

Michael delikatnie położył rękę na jej ramieniu.

- Nieprawda. Jestem pewny, że cię kocha - powiedział głosem nabrzmiałym z emocji. - Chodzi o coś innego. O tę nienawiść, która od lat go trawi. Nie chce jej odrzucić.

- Ale przedtem było inaczej! Dopiero po... - zająknęła się. - Gniewa się na mnie.

- Nie rozpaczaj, Kathryn - pocieszył ją Michael. - Przecież wiesz, że przychyliłbym ci nieba, żebyś tylko była szczęśliwa.

Gwałtownie uniosła głowę. Michael popatrzył na nią takim wzrokiem, że dreszcz przebiegł jej po plecach.

-Michael...

Położył palec na jej ustach.

- Nic nie mów. Wiem, że bardzo kochasz Lorenza. Sądzę, że jednak zdajesz sobie sprawę z moich uczuć. Pamiętaj, że zawsze będziesz miała we mnie szczerego i oddanego przyjaciela.

Kathryn popatrzyła na niego przez łyzy. Jest dobrym i czułym człowiekiem. Naprawdę go lubi, lecz nic ponadto. Kocha wyłącznie Lorenza.

- Niech cię szlag! - krzyknął Lorenzo, kiedy Michael skończył przemowę. Trzy tygodnie minęły od ich ostatniego spotkania, a z każdym dniem Kathryn popadała w coraz większy smutek. - Kto ci pozwolił wtrącać się w moje sprawy?

- Kathryn jest twoją żoną. Powinieneś traktować ją dużo lepiej - odparł spokojnie Michael. - A jeśli chodzi o pozwolenie. .. Przecież od lat pozostajemy oddanymi sobie przyjaciółmi. Kto poza mną może ci szczerze powiedzieć, co sądzi o twoim postępowaniu? Odpychasz od siebie kobietę, która jest ci bardzo oddana, która kocha cię całym sercem.

- Sam ją kochasz! - wybuchnął Lorenzo, bo słowa przyjaciela obudziły w nim zazdrość. Jednak w duchu musiał przyznać mu słuszność.

- Gdyby cię tak bardzo nie kochała, gdyby nie była twoją żoną, to rzeczywiście zapewne bym się jej oświadczył - przyznał Michael.

- Szkoda, że tego wcześniej nie uczyniłeś. Popełniłem

okropny błąd, proponując Kathryn małżeństwo. Nie mogę dać jej tego, czego potrzebuje. A przede wszystkim... nie wolno mi jej kochać.

- Całe życie spędzisz na zgryzocie? - ze złością zapytał Michael. - Dobrze wiem, ile wycierpiałeś z rąk tego potwora, ale to już przeszłość. Nikt tego nie zmieni. Jesteś potężny i bogaty. Masz szansę na szczęście. Nie każdemu jest to dane. Proszę bardzo! Jak chcesz, to zapomnij o wszystkim i zostań sam, pogrążony w smętnych rozmyślaniach.

- Nie zdajesz sobie sprawy, o co prosisz - powiedział Lorenzo. - Gdybym ją pokochał, gdybym dopuścił ją blisko do siebie, stałbym się kimś innym, niż jestem. Słabym, nijakim, podatnym na ciosy.

- Jak sobie chcesz - burknął Michael. - Bardzo mi przykro.

Odszedł. Lorenzo odprowadził przyjaciela wzrokiem. Dławiła go złość, ale wkrótce sumienie podpowiedziało mu, że Michael ma rację. Dobrze o tym wiedział. Uświadomił sobie coś jeszcze: stchórzył. Przestraszył się miłości Kathryn; bał się, co ta miłość uczyni z nim samym. Obawiał się zaangażować, bo lękał się, że mógłby stracić Kathryn.

Lorenzo wreszcie spojrział prawdzie w oczy. Nie czuł już więcej nienawiści. Pozbył się jej jak niewygodnego, krępującego ruchy ubrania. Sprawiała to miłość Kathryn. Co prawda, bronił się przed nią, ale przegrał. Właśnie ta miłość kazała mu odesłać Hassana do ojca, a Marię przekazać w ręce don Pabla. Nie mógł temu zaprzeczyć, choćby się bardzo starał.

Dobrze, że w końcu przejrzał na oczy. Tyle że... czy żona nadal go kocha?

Kathryn była w swoim pokoju. Z pomocą Lisy przeglądała suknie. Pokojówka nagle dygnęła z szacunkiem i czym prędzej, po cichu, umknęła na korytarz. Kathryn z bijącym sercem spojrzała na męża. Może to dziwne, lecz nie wyczuwała w nim dotychczasowego chłodu.

- Lorenzo? - Popatrzyła na niego niepewnie. - Co się stało?

- Nienawidzisz mnie, Kathryn?

- Dlaczego tak mówisz? Przecież wiesz, że cię kocham.

- Ostatnio bardzo źle cię traktowałem. Przebacz mi, proszę. Chodziło o Michaela. Nie zorientowałem się, że Maria czai się gdzieś za mną. Dawniej wyczuwałem niebezpieczeństwo. Możesz to nazwać szóstym zmysłem, lecz dzięki temu wiele razy wychodziłem obronną ręką z różnych groźnych sytuacji. Pomyślałem sobie, że to miłość osłabiła we mnie wrodzoną czujność. Wpadłem w popłoch. Bałem się, że oprócz Marii ktoś inny będzie chciał cię zabić. Jak mógłbym wtedy cię obronić? Obwinałem miłość o to, że pozbawiła mnie czujności i siły.

- Och, Lorenzo... - Kathryn zaszlochała i podbiegła do niego. - Myślałam, że się na mnie złościś, że mnie obwiniasz.

- Kocham cię - powiedział krótko. - Kocham, lecz niełatwo przyszło mi to okazać. Oskarżałaś mnie o okrucieństwo. Tak, to prawda. Czasem muszę być twardy i bezwzględny.

Do tej pory nie umiałem żyć inaczej. Chyba jednak czas na zmianę. Udowodniłaś mi, że jest inne życie. Muszę dotrzymać moich zobowiązań wobec Świętej Ligi, ale nie chcę już dłużej ścigać Raszida. Nie przebaczyłem mu, lecz teraz to już nie jest istotne.

- Mój ukochany. - Kathryn objęła męża i złożyła głowę na jego piersi. Po chwili wahania Lorenzo przytulił ją do siebie. Kilka minut stali w milczeniu, ciesząc się swoją bliskością.

- Zawsze możemy wrócić do Anglii. Ojciec przyjmie nas z otwartymi ramionami. Zacziesz zupełnie nowe życie.

- Całkiem możliwe - odparł. Kathryn uniosła głowę. Lorenzo uśmiechnął się zdawkowo. - Jak tylko Święta Liga przepędzi Turków z Morza Śródziemnego. Kto wie, może nadal będę sprzedawał wino? Mam serdecznie dość wojowania. Po wiosennej kampanii zamierzam odpocząć.

- Cieszę się, że w końcu szczerze powiedziałeś o tym, co tak długo leżało ci na sercu. - Kathryn westchnęła. Lorenzo obsypał jej twarz czułymi pocałunkami. - Byłam taka nieszczęśliwa. Myślałam, że cię stracę.

Lorenzo patrzył na nią ze skruszoną miną.

- Wybacz mi, byłem niedobry.

Położyła mu palec na ustach.

- Cicho. Wszystko rozumiem. Już wiem, co tak naprawdę czułeś, mój kochany. Chodź, trochę przejdziemy się po ogrodzie. Chcę, żebyśmy teraz jak najwięcej czasu spędzali razem. Michael wspominał, że wkrótce znów wyjeżdżasz.

- Niestety, tak - odparł Lorenzo. - Flota się zbiera, a mo-

je galery pełnią niemałą rolę w tym, co ma się zdarzyć. Na szczęście najbliższe dni mamy wyłącznie dla siebie.

Wyciągnęła do niego rękę, a on zamknął jej dłoń w uścisku.

-To mi wystarczy - powiedziała, patrząc na niego z uwielbieniem. - Pragnę tylko miłości, Lorenzo.

Kathryn mocniej wtuliła się w ramiona męża. Owszem, skrzywdził ją - być może mimo woli - ale umiała mu przebaczyć. Rozumiała jego rozterkę, chociaż wiedziała, że do końca życia nie zdoła wczuć się we wszystkie cierpienia, które stały się udziałem Lorenza. Tylko ktoś, kto sam przeżył podobne piekło, mógł choć w części pojąć, co się w nim działo. Jej musiało wystarczyć, że jest żoną i że nareszcie w pełni wierzy w jego miłość. Należy do niego, i tego już nic nie zmieni.

Lorenzo mocniej przyciągnął żonę do siebie i delikatnie pogładził ją po jedwabistej skórze. Tyle czasu zmarnowali w ciągu ostatnich kilku miesięcy... Jego pocałunki wprawiały ją w ekstazę, jej pieszczoty budziły w nim gwałtowne pożądanie. A kiedy wreszcie szła uniesień minął, zapadli w sen, wtuleni w siebie, tworząc jedno ciało.

Lorenzo obudził się o świcie i popatrzył na żonę. Chciał zapamiętać każdy szczegół jej ukochanej słodkiej twarzy, bo czekały ich długie tygodnie, jeśli nie miesiące rozłąki.

Kathryn pocałowała męża. Pocałunek był długi i namiętny. Potem z bólem serca stała w progu. Lorenzo od-

szedł. Na pewien czas musiała go pożegnać. Taka była cena za odzyskaną miłość.

- Obiecuj mi, że będziesz na siebie uważać, Kathryn - powiedział jej przy pożegnaniu.

- Na pewno nie zrobię nic głupiego - odparła. - Veronique jest ze mną. A poza tym, jak mi powtarzasz, mam przyjaciółki. Nawet na zakupy będę chodziła pod eskortą - dodała z uśmiechem.

- Wątpię, żeby Raszid próbował cię porwać w Rzymie - odrzekł Lorenzo. - Pytałem Michaela, czy nie zechciałby ci towarzyszyć, ale on wprost pali się do walki. Nie mogłem mu tego zabronić. Zostawiam kilku swoich ludzi, żeby mieli na ciebie oko - dokończył z przekornym śmiechem.

- Zbytek łaski. Nie musisz się o mnie martwić.

- Ani ty o mnie. Wrócę i znów cię będę dręczył, moja miłości.

- Zobaczymy. - Dumnie uniosła głowę. - Ruszaj, panie. Masz obowiązki wobec Świętej Ligi.

- Tak - odparł. - Niech Bóg nad tobą czuwa, Kathryn.

- I nad tobą, mój ukochany.

Ze smutkiem patrzyła, jak odchodzi. Zaciskała pięści, żeby nie płakać. Pokochał ją - i znów musiał odejść. I to na wojnę. Bała się, że go straci.

Rozdział dziesiąty

Okręty płynęły w nienagannym szyku. Po tygodniach narad i ciągłych opóźnień don Juan de Austria wydał w końcu rozkazy i wszyscy żeglarze odetchnęli z ulgą.

- Wreszcie coś się dzieje - powiedział Michael do Lorenza. Obaj weszli na pokład. - A już się bałem się, że dyskusje potrwać przez całą jesień.

- Papież pobłogosławił naszą misję. Don Juan jest dobrym dowódcą. Po co więc zwlekać?

- Obyś miał rację - odrzekł Michael.

- Nikt nas nie odwoła. Jeżeli wierzyć doniesieniom, turecka flota na zimę stanęła w Lepanto.

- Albo zawróciła do Konstantynopola.

Na to pytanie szpiedzy Świętej Ligi nie znali odpowiedzi. Pozostawało liczyć na łut szczęścia - że Turcy są ciągle w Lepanto.

- Muszę wracać na swoją galerę - oznajmił Michael po skończonej naradzie kapitanów. Spojrzał na dowódcę i zauważył czarne cienie pod jego oczami. Zdaje się, że Loren-

zo ostatnio źle sypiał. Ciekawe dlaczego? Przecież nie obawiał się nadciągającej bitwy. Lepiej było o to nie pytać.

- Bóg z tobą, mój przyjacielu.

-I z tobą - odparł Lorenzo. - Z boską pomocą wygramy. Na pewno.

Pierwszy raz odpowiedział w ten sposób. Naprawdę się zmienił, skonstatował Michael. Zauważył to już jakiś czas temu, ale nadal nie wiedział, czy to zmiana na trwałe.

Lorenzo zerwał się ze snu. Wciąż pamiętał ostatni koszmar. Znajdował się w jakimś domu, w pokoju. Dobrze znał wszystkie meble, sprzęty, a zwłaszcza złoty sztandar i czarną jak smoła zbroję.

Pierwszy raz mu się to śniło. Do tej pory w sennych majakach widział jedynie młodzieńca, szamocącego się na plaży z bandą groźnych piratów. A może to był fragment wspomnień? Jeżeli tak, to wszystko inne też wyglądało na prawdziwe.

Pokręcił głową, żeby odpędzić uporczywe myśli, i wyszedł z kajuty. Chciał być ze swoimi ludźmi. Noc była pogodna i spokojna. Wszelkie wcześniejsze informacje okazały się w pełni prawdziwe. Turcy rzeczywiście stali pod Lepanto. Popadli w kłopoty. Ktoś nawet wspomniał o zarazie i dużej liczbie zmarłych. Brakowało wioślarzy. Jeśli to także była prawda, to Święta Liga osiągnęła niemałą przewagę nad wrogiem.

Lorenzo z niecierpliwością wypatrywał bitwy. Jak wszyscy, którzy pływali pod banderą Wenecji, był zły, że Turcy

zajęli Cypr. Jednak o wiele bardziej wyczekiwał ostatecznego końca wojny. Dopiero wtedy mógłby spokojnie wrócić do Kathryn.

Kathryn obudziła się, wstała i podeszła do okna. Był piękny słoneczny dzień. Błękitne niebo bez jednej chmurki. Jednak nastrojowi Kathryn było daleko do pogody ducha. Martwiła się, ponieważ nie otrzymała żadnych wieści od Lorenza.

Przed wyjazdem ostrzegał ją, żeby nie czekała na listy.

- Ciągłe będziemy w ruchu, kochanie - powiedział. - A podczas wojny niemal nikt nie przewozi poczty. Pamiętaj jednak, że na zawsze zostaniesz w moim sercu.

Ciekawe, czy też myśli o mnie? - zastanawiała się Kathryn. Może nawet teraz? Owszem, śnił się jej. Nawet parę razy, ale to ciągle był ten stary sen, w którym rozdzielała ich ogromna morska fala. Próbowwała o tym zapomnieć.

Co robisz, Lorenzo? - zapytywała w myślach. Jesteś bezpieczny? Gdyby coś ci stało... Nie. Wołała nawet nie brać pod uwagę takiej możliwości. Przecież obiecał jej, że wróci.

Lorenzo dowodził własną flotyllą. To był jego warunek udziału w Świętej Lidze. Pozostawiono więc mu wolną rękę. Postanowił trzymać się jak najbliżej okrętów don Juana, bo wierzył w doświadczenie i strategiczny talent admirała.

Na innych galerach wioślarze siedzieli przykuci do wio-

seł, popędzani batem przez bosmana. Ludzie Lorenza mieli wolny wybór. Owszem, wymagał od nich posłuszeństwa i wierności, lecz równie hojnie rozdawał przywileje i nagrody. Każda wojenna zdobycz szła na sprzedaż, a pieniądze były sprawiedliwie dzielone między żeglarzy.

Na okrętach odprawiono mszę. Wszyscy wiedzieli, że niedługo czeka ich decydujące starcie. Zauważono już turecką flotę. Na oko liczyła bez mała trzysta statków i okrętów. Większość stanowiły bojowe galery.

- Rozciągnęli się na szerokość całej zatoki - powiedział Lorenzo do Michaela, kiedy tylko stanął na mostku. - To będzie zacięta walka, przyjacielu.

- Wygramy.

- O ile naprawdę uwierzymy we własne siły.

- Posłuchaj! - zwrócił mu uwagę Michael. Od strony nieprzyjacielskiej floty dobiegały dźwięki wschodniej muzyki.

Okręty Świętej Ligi czekały w zupełnej ciszy. Atmosfera była napięta, jakby każdy żeglarz szykował się na nieuchronną śmierć.

- Idź do swoich ludzi - polecił Lorenzo. - Ten dzień na zawsze zapisze się w historii.

Wróg był już bardzo blisko. Na pokładach tureckich okrętów kłębił się tłum wojowników w bogatych szatach. To byli janczarzy w służbie sułtana. Pomiedzy nimi kulili się łucznicy, gotowi do strzału.

Przy tureckiej potędze flota Świętej Ligi wydawała się śmiesznie mała. Nikt chyba lepiej od Lorenza nie wiedział, jak groźnymi wojownikami byli żołnierze sułtana.

Ani przez chwilę nie miał wątpliwości, że w zatoce stoją także okręty Raszida.

Janczarzy miotali przekleństwa, bili w cymbały i strzelali. Coraz śmielej płynęli w stronę chrześcijańskiej floty. Okręty Świętej Ligi czekały na sygnał dowódcy. Rozkaz padł, kiedy nastąpiła nagła zmiana wiatru.

Nagle role się odwróciły. Liga zyskała przewagę.

Wyglądało na to, że Bóg jednak wysłuchał modlitwy swoich wiernych.

Kathryn niespokojnie krążyła po pokoju. Nie mogła usiedzieć w miejscu. Od tygodni nie nadeszły żadne wieści od Lorenza. To prawda, że przed wyjazdem wspominał, że jego nieobecność może potrwać nawet kilka miesięcy. Nie mówił jednak, że przez ten czas nie da znaku życia.

- Nie wytrzymam - któregoś wieczoru oznajmiła Kathryn do Elizabety. - Codziennie czekam na choćby pół słowa, a tu zupełnie nic.

Przyjaciółka skinęła głową i rozprostowała obolałe plecy. Była w pierwszych miesiącach ciąży, choć nadal zachowała nienaganną sylwetkę.

- Mój mąż wyłożył niemałą kwotę na rzecz Świętej Ligi - powiedziała. - Jak zresztą wszyscy dobrzy i bogaci chrześcijanie. Z drugiej strony - spojrzała na Kathryn - cieszę się, że nie musiał iść na tę wojnę. Wiem, co czujesz.

- Przez cały czas wmawiam sobie, że nerwy tu nic nie pomogą - odrzekła z westchnieniem Kathryn. - Lorenzo obiecał mi, że wróci. Muszę w to wierzyć.

- Oczywiście. - Elizabeta się uśmiechnęła. Pokazała przyjaciółce swoją robótkę. Przygotowywała wyprawkę dla dziecka. - Wróci. Wszystko w swoim czasie. Przecież dla niego bitwy morskie to nie pierwszozna.

- Tak... - zaczęła Kathryn, ale urwała nagle, bo w korytarzu rozległy się podniesione głosy. Po chwili Veronique wprowadziła gościa.

- Paolo! - zawołała Kathryn i wstała, żeby go powitać.
- Dobrze cię znów widzieć.

- Wiem, pani, że niespokojnie czekasz na wiadomości - odparł. - Przyszedłem tu tak szybko, jak tylko mogłem. Podobno Święta Liga odniosła wielkie zwycięstwo nad Turkami.

- Zwycięstwo! - Kathryn nie potrafiła powstrzymać się od radosnego okrzyku. - Tak bardzo się cieszę! Wiesz coś jeszcze?

- Po obu stronach były spore straty - ogólnikowo odparł Paolo. Niektórzy mówili nawet o rzezi, ale wołał o tym nie wspominać. - Don Juan okazał się wytrawnym i doświadczonym strategiem oraz dowódcą. Mimo to bitwa trwała bardzo długo. Szala zwycięstwa przechylała się raz na jedną, raz na drugą stronę. Prawdziwy przełom nastąpił dopiero po śmierci tureckiego wodza. Podobno galernicy też zerwali kajdany i rzucili się na swoich byłych panów.

- A jakieś wieści... dla mnie? - Kathryn popatrzyła na niego niespokojnie.

- Pytasz, czy Lorenzo jest zdrow i cały? Tego akurat nie wiem. Do portu codziennie wpływają nowe statki. To już nie potrwa długo.

- Tak, rozumiem. - Kathryn westchnęła. Chciała dowiedzieć się czegoś więcej, lecz na to musiała jeszcze trochę poczekać. - Cieszę się, że przyszedłeś do mnie z tak pomyślną nowiną.

- Chciałem cię uspokoić - odparł. - Niedługo znów wpadnę.

Kathryn podziękowała mu z całego serca. Zaprosiła go na kieliszek wina, ale odmówił. Chciał odwiedzić innych znajomych i przekazać im wieść o zwycięstwie.

- No widzisz - odezwała się Elizabeta, kiedy Paolo wyszedł. - Doczekałaś się. Turcy zostali pokonani, wojna skończona. To znaczy, że Lorenzo jest już w drodze do domu.

- Tak. - Kathryn się uśmiechnęła. - Mam nadzieję, Elizabeto - dodała. - Nie mogę się go doczekać.

Bitwa z Turkami była wygrana, ale Lorenzo nie miał wątpliwości, że niedługo wróg znów podniesie głowę. Na razie żołnierze sułtana uciekli, żeby lizać rany. Morze stało się bezpieczniejsze. Przynajmniej na pewien czas.

Lorenzo stracił trzy galery w bitwie pod Lepanto. Rozbitków wyłowiono na inne okręty, ale straty w ludziach i tak były dość znaczne. Wszyscy, którzy z nim walczyli, przyłączyli się do Świętej Ligi z własnej i nieprzymuszonej woli. Na innych okrętach bywało z tym raczej różnie. Lorenzo zdobył kilka wrogich statków, więc mógł pomyśleć o nagrodzie dla swoich żeglarzy.

- Co teraz zrobisz? - spytał Michael, kiedy spotkali się

na pokładzie flagowej galery Lorenza. - Od razu wracasz do Rzymu?

- Chyba nie. Najpierw zabiorę uszkodzone galery i popłynę z nimi na Sycylię. Tam dokonam niezbędnych napraw. - Lorenzo zrobił zamyśloną minę. - A przy okazji chciałbym choć na chwilę spotkać się z lordem Mountfitchetem. Dopiero potem ruszę do Rzymu.

Michael pokiwał głową.

- Masz dla mnie jakieś rozkazy?

- Zabierz resztę flotylli i płyn do Italii. Zostań tam aż do mojego powrotu. Prawdopodobnie zjawię się tydzień po tobie. Wtedy porozmawiamy o dalszych planach.

- Coś się zmieniło?

- Sam jeszcze tego nie wiem. Wszystko zależy od rozmowy z lordem Mountfitchetem. Być może będę musiał wrócić do Anglii... przynajmniej na krótko.

- „Wrócić” do Anglii? - Michael popatrzył na niego ze zdumieniem. - To twoja prawdziwa ojczyzna?

- Tak powiedziałem? - Lorenzo zmarszczył brwi. - Nie, nie... Chodziło mi o Kathryn.

Jeszcze przez chwilę rozmawiał z Michaelem, a potem się rozstali. Lorenzo z roztargnieniem wydawał rozkazy. Wiedział, że lepiej płynąć w konwoju, na wypadek ataku piratów. Jego galera nie ucierpiała w bitwie. Mógł więc bez przeszkód eskortować pozostałe okręty na Sycylię. Potem zaś...

Właśnie. Czego chciał się dowiedzieć od lorda Mountfitcheta? Tego jeszcze nie wiedział, ale zapamiętał sen. Dwoje dzieci stało na plaży. Chłopiec krzyknął do swojej

towarzyszki, żeby uciekała. Wtedy rzuciło się na niego kilku groźnych zbirów. Widział też dom, a w nim człowieka, którego chłopiec nazywał swoim ojcem. Powracały następne obrazy. Jeszcze nie miał tyle odwagi, żeby określić je wspomnieniami.

Czy to możliwe, że jego ojcem jest Charles Mountfitchet? Czy po prostu zaczerpnął garść przypadkowych zdarzeń z opowieści, które usłyszał od Kathryn? Czy to prawdziwe wspomnienia, czy tylko gra wyobraźni? Jeszcze nie wierzył w to, że jest Richardem Mountntchetem, jednak koniecznie musiał coś sprawdzić.

Dobrze wiedział, że Kathryn niecierpliwie czeka na niego w Rzymie. Ale w tej sytuacji tydzień nie robił żadnej różnicy. Liczyła się przede wszystkim przyszłość zarówno ta bliższa, jak i dalsza. A teraz czekała go, kto wie, czy nie decydująca rozmowa z lordem Charlesem.

Kathryn zbierała kwiaty w ogrodzie. Nagle usłyszała za sobą echo ciężkich żeglarskich kroków. Odwróciła się i serce niespokojnie przyspieszyło rytm, kiedy zobaczyła niespodziewanego gościa.

- Michael! - zawołała z radością. - Cieszę się, że cię widzę! Jesteś zdrow? A gdzie Lorenzo?

- Niczego mi nie brakuje - odparł. - Podobnie jak Lorenzowi, kiedy widziałem się z nim po raz ostatni. Musiał popłynąć na Sycylię, żeby dopilnować naprawy kilku naszych okrętów, które ucierpiały w bitwie. Chciał też pomówić z lordem Mountntchetem. Potem wraca do Rzymu.

- Właśnie wczoraj dostałam list od lady Mary - powiedziała Kathryn. - Znaleźli dom i odpowiednią ziemię. Chyba osiedlą na Sycylii. Lord Mountfitchet chciał w tej sprawie zasięgnąć rady Lorenza. Dobrze, że się spotkają.

- Lorenzo prosił mnie, żebym do jego powrotu został w Rzymie. - Michael zrobił zamyśloną minę. - Chyba wybiera się do Anglii... Chociaż nic jeszcze nie wiadomo.

- Tak, wspominał o zmianach - potwierdziła Kathryn. - Powiedział, że mógłby zrezygnować z części dotychczasowej floty. Najlepiej jednak na niego poczekać. Wtedy sam nam przedstawi swoje plany.

- Oczywiście. Pozwól, że teraz cię opuszczę. Chciałbym odwiedzić innych przyjaciół.

- Ale zjesz ze mną kolację? - zapytała Kathryn. - Zaprosiłam na dzisiaj Elizabetę, jej męża, Paola, Isabellę z ojcem i parę innych osób. Przyłącz się do nas. Opowiesz nam więcej o bitwie, bo słyszałam już najprzeróżniejsze plotki. Niektóre sprzeczne. Ty zaś widziałeś to na własne oczy, więc masz wiadomości z pierwszej ręki.

- Z przyjemnością - odparł Michael i zawahał się odrobinę. - Wiesz co? Chciałem prosić Isabellę Rinaldi, żeby została moją żoną. Ojciec bez przerwy namawia mnie do żeniaczki. Do tej pory się opierałem, ale teraz... Skoro Lorenzo mógł się zmienić, to chyba ja tym bardziej. - Spojrzał na nią z ukosa. - Myślisz, że Isabella mnie choć trochę lubi?

- Bez wątplenia - zapewniła go Kathryn.

Uśmiechnął się i pokiwał głową.

- W takim razie poważnie pomyślę o oświadczeniach. Do wieczora, Kathryn.

- Wszyscy będziemy czekać!

Kathryn przez chwilę patrzyła za nim z zadumą. Cieszyła się, że Lorenzo chce zabrać ją do Anglii. Stęskniła się za swoim ojcem. Ale czy miała zostać tam na stałe? Powoli pokręciła głową. Dobrze jej było tutaj, w Rzymie.

Napisała do ojca kilka miesięcy temu, informując go o małżeństwie i szczęściu, jakie ją spotkało. Do tej pory nie nadeszła odpowiedź. W pierwszej chwili myślała, że może był zajęty. Teraz jednak zastanawiała się, czy jej list w ogóle do niego dotarł. Milczenie ojca wydawało jej się bardzo dziwne.

- Dobrze pana znów widzieć - powiedział lord Charles, wyciągając rękę do Lorenza. - Moja siostra dość dawno wysłała list do Kathryn. Pisała jej, że chcemy osiedlić się na Sycylii. Znalazłem ładny kawałek ziemi, dom, lecz przed zakupem chciałem zasięgnąć pańskiej rady.

- To zależy. - Lorenzo pokiwał głową. - Może pan osiąść tutaj i założyć winnicę, ale może pan także przenieść się do Rzymu albo do Wenecji. Zamierzam poszerzyć swoje interesy. Mam pewne kontakty w Anglii, Niemczech i Francji. A co by pan powiedział na to, gdybym przyjął pana do spółki? Sam nie dam rady ogarnąć tego wszystkiego na tak dużą skalę.

- Do spółki? - Lord Charles był szczerze zaskoczony i ucieszony tym pomysłem. - Chyba tak... Tak, ma pan

moją zgodę. Gdyby mój syn wciąż żył, przekazałbym to jemu, ale w tej sytuacji. - Westchnął i wzruszył ramionami. - Pomału zacząłem przyzwyczajać się do myśli, że więcej go nie zobaczę. Nie chcę wracać do Anglii. Tutejszy klimat lepiej mi odpowiada. Oczywiście nie przestanę go szukać.

- Może jest bliżej, niż pan myśli - cichym głosem odezwał się Lorenzo. - Pozwoli pan, że zadam panu kilka pytań związanych z Richardem?

Lord Charles spojrzał na niego z nadzieją.

- Znalazł pan coś?

- Nie jestem pewny. Może to nieprawda, ale... Na siódme urodziny syn dostał od pana szpadę. „Naucz się być mężczyzną” - powiedział pan z tej okazji.

Lord Charles osłupiał.

- Nie pamiętam, czy miał wtedy siedem, czy osiem lat. Tak, dałem mu szpadę i rzeczywiście mogłem powiedzieć coś takiego.

- Niech pan opisz dom. Jest tam baszta i fosa? Jest pokój pełen broni, w którym Richard w dzieciństwie lubił przesiadywać?

- Tak, tak. - Lord Charles z napięciem wpatrywał się w Lorenza. - Miał nawet swoją ulubioną zbroję. Mój ojciec nosił ją...

- ... na Polu Złotogłowie, gdzie Henryk Ósmy spotkał się z Franciszkiem Pierwszym. Pański ojciec był wtedy w orszaku Henryka. - Lorenzo zmrużył oczy. - A czy pański syn nie miał przypadkiem dziwnego ulubieńca? Może zwierzątko?

- Zwierzę? - Lord Charles w zamyśleniu potarł dłonią czoło i nagle wybuchnął śmiechem. - Dobry Boże, tak! Prawie zapomniałem. Przyniósł kiedyś do domu małego liska... - Urwał na widok miny Lorenza. - Co się potem stało?

- Zabrał go do pokoju i nakarmił mięsem ukradzionym z kuchni. Zobaczył pan to i sprawił mu porządne lanie.

- A potem kazałem mu odnieść lisa do lasu.

- Ale on tego nie zrobił - z uśmiechem sprostował Lorenza

- Schował zwierzę w stajni i zaniósł mu resztki własnego posiłku. Wreszcie lis wyrósł na tyle, że mógł wrócić do lasu.

- Nic o tym nie wiedziałem. - Charles przyjrzał mu się spod oka. - Tylko Richard mógłby...

- Nie byłem pewny, czy to sen, czy może bujna wyobraźnia - powiedział Lorenzo. - Dopiero kiedy wspomniał pan o zbroi, domyśliłem się, że to prawda. - Jego głos stał się nabrzmiąły z emocji. - Przepraszam. Nie wiem, jak to wyrazić. Już przy naszym pierwszym spotkaniu poczułem do pana niezwykłą sympatię. Jakby łączyły nas jakieś więzi. Nie wierzyłem w podszepty serca. Potem jednak zaczęły dręczyć mnie wspomnienia. Nie mogę udowodnić, że jestem pańskim synem, ale to możliwe.

- Boże wszechmogący! - Lord Charles zatoczył się do tyłu i ciężko opadł na fotel. Przez chwilę siedział z twarzą ukrytą w dłoniach. Gdy podniósł wreszcie głowę, policzki miał mokre od łez.

- Też to poczułem - szepnął. - Ale nie ośmielałem się przypuszczać...

- W takim razie... mogę być pańskim synem? - Jeszcze nigdy Lorenzo nie był tak bliski płaczu. - Nie mam żadnych dowodów.

- Ależ masz! - Lord Charles zerwał się z fotela i chwycił syna w objęcia. Szlochał głośno jak małe dziecko. - Od pierwszego spotkania powtarzałem sobie, że chciałbym mieć właśnie takiego syna jak ty. Już od dawna myślę o tobie w ten sposób.

- W takim razie uczynię wszystko, żebyś był ze mnie naprawdę dumny, ojciec - oznajmił Lorenzo. - Oczywiście zachowam we wdzięcznej pamięci Antonia Santoriniego, bo uratował mnie od pewnej śmierci i obdarzył miłością. W głębi serca czułem, że jesteś moim ojcem. Chciałem pojechać z Kathryn do Anglii i tam potwierdzić niewyraźne wspomnienia.

- Załatwione - oznajmił Charles. - Obejrzymy ziemię, którą chcę kupić, podejmiemy decyzję, a potem we dwóch popłyniemy do Rzymu, a stamtąd do Anglii.

- Z ziemią zgoda, lecz potem muszę jak najszybciej wracać do Italii, ojciec. Kathryn na pewno za mną bardzo tęskni i się niepokoi. Przyplyniesz później, na mojej galerze - jednej z tych, które zostawiam tutaj do naprawy. Morza są wprawdzie bezpieczniejsze, ale jeszcze nie uwolniliśmy się na dobre od plagi piratów. Chcę, żebyś płynął pod dobrą eskortą.

Charles się uśmiechnął. Serce śpiewało mu z radości, bo odnalazł syna. Bez namysłu zgodził się na wszystko, co zaproponował Lorenzo.

- Kathryn... - Zmieszana Veronique zajrzała do pokoju. - Masz gościa...

- Gościa? - z bijącym sercem zapytała Kathryn.

Co to znaczy? Czy to Lorenzo? Jakiś człowiek wszedł do pokoju tuż za starszą damą. Kathryn z radosnym okrzykiem zerwała się na równe nogi.

- Ojczy! Och, jak się cieszę, że cię widzę! Skąd się tu wzięłeś? Nie napisałeś do mnie ani słowa.

Ojciec zmierzył ją złym spojrzeniem.

- Ty nie dostałaś listu?! A co ja mam powiedzieć! Od miesięcy czekam na wiadomości od ciebie, Kathryn! Przyjechałem więc do Wenecji, do pana Santoriniego, i dowiedziałem się, że wysłaś za męża. Co to wszystko znaczy? Dlaczego tak mnie traktujesz? Nie zasłużyłem sobie na to, droga córko.

-Wybacz mi, ojczy - odpowiedziała Kathryn. - Nie było w tym mojej winy. To bardzo długa i zawiła historia. Usiądź więc proszę. Zaraz ci ją opowiem. - Popatrzyła na Veronique. - To jest mój ojciec, sir John Rowlands. Może przyniesiesz nam coś do picia?

- Miło mi panią poznać - odezwał się sir John. - Proszę wybaczyć moje wcześniejsze zachowanie, ale martwiłem się o Kathryn.

- Nie gniewaj się na mnie - powiedziała Kathryn, kiedy uśmiechnięta Veronique wyszła z pokoju. - Przykro mi, że nie dostałaś mojego listu. Wyjaśniłam w nim prawie wszystko. Lorenzo poślubił mnie, żeby uratować moją reputację.

Sir John aż podskoczył na te słowa.

- Nie, nie. - Kathryn pokręciła głową. - Nie wyciągaj zbyt pochopnych sądów, zanim nie wysłuchasz wszystkiego. Lorenzo w niczym nie zasłużył na twoje niezadowolenie.

- W takim razie słucham - odparł sir John. Od miesiący zamartwiał się o córkę, ale teraz, kiedy zobaczył ją całą i zdrową, gniew zaczął powoli przygasać.

Kathryn zaczęła swoją opowieść. Jej ojciec co chwila mienił się na twarzy. Porwanie! Spisek! Przecież na dobrą sprawę to wszystko przez Lorenza. Później usłyszał jednak o losach lorda Charlesa i lady Mary i zrozumiał, że Kathryn miała szczęście. Mogło być dużo gorzej, gdyby Santorini okazał się innym człowiekiem.

- Rozumiem - stwierdził wreszcie, gdy Kathryn dobrnęła do końca historii. - A gdzie twój mąż? Chciałbym go wreszcie poznać, zanim wam udzielę błogosławieństwa.

- Walczył, ojcze. Chyba słyszałeś o straszliwej bitwie stoczonyj niecałe dwa tygodnie temu?

- Tak, coś mi mówiono w Wenecji. Więc jeszcze nie wrócił do domu?

- Był u mnie jeden z jego kapitanów - odpowiedziała Kathryn. - Lorenzo wybrał się na Sycylię. Chciał porozmawiać z lordem Mountfitchetem. Powinien zjawić się lada dzień.

- Dobrze, poczekam - odrzekł sir John. Niespodziewanie uśmiechnął się do Kathryn. - No chodź. Pocałuj mnie,

moja córeczko. Byłem zły, ale po wszystkim, co mi powiedziałaś, postanowiłem ci przebaczyć.

- Dwie galery po nawietrznej, panie! - Oficer wpadł do kajuty, w której Lorenzo siedział pochylony nad mapą. - Nie jestem pewny... ale to chyba piraci.

- Przekleństwo! - Lorenzo szybko przypasał szpadę i wybiegł na pokład. Galery były coraz bliżej. Na jednej z nich powiewała bandera Raszida.

Lorenzo zaklął pod nosem. Był wściekły, że dał się zaskoczyć. Popłynął sam, bo chciał jak najszybciej wrócić do Kathryn. Gdyby zaczekał kilka dni dłużej na Sycylii, mógłby wyjść z portu z połową swojej floty.

Był pewny, że piraci wrócili do Algieru, by tu przeczekać zimę. Tymczasem jednak ciągle przemierzali morze w poszukiwaniu łupów. Chcecie walki? - pomyślał. Będziecie ją mieli. Wprawdzie przewaga była po stronie piratów, lecz jego ludzie postanowili drogo sprzedać własne życie.

Kathryn siedziała z ojcem w salonie. Popijali wino i jedli herbatniki. Nagle w korytarzu rozległ się hałas. Kathryn zerwała się z fotela. Do salonu wpadł Michael, a tuż za nim lord Mountfitchet.

- Kathryn... - oznajmił od progu lord Mountfitchet - niestety, przynoszę ci okropne wieści...

- Lorenzo? - Zbladła jak kreda i chyba by upadła, gdyby ojciec nie podtrzymał jej w ostatniej chwili. - Coś mu się stało...

Sir John mocno trzymał ją za rękę.

- Do diaska, Charles! O co chodzi?

- John, nie wiedziałem, że przyjechałeś - wyjąkał Charles. Był przerażony i szary jak popiół. - To przerażające. Lorenzo uparł się, że sam popłynie z Sycylii do Włoch, bo spieszył się do Kathryn. Mówił mi, że po ostatniej bitwie morza stały się dużo bezpieczniejsze. - Drżącą ręką zakrył oczy. - Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Znalazłem go, żeby zaraz stracić.

- O czym ty mówisz?! - wykrzyknął sir John. Veronique posadziła swoją panią na krześle i podała jej kieliszek z winem. - Co się stało z jej mężem?

- Znaleźliśmy wrak jego galery - odparł Charles. - Nie wiele z niej zostało, ale wyciągnęliśmy z wody rozbitka. Biedak dwa dni spędził wśród szczątków. Ledwie mógł mówić z gorączki i osłabienia. Powiedział nam jednak, że piraci wprowadzili jeńców. Lorenzo albo zginął, albo jest w rękach wroga.

- Nie! - z najwyższym przerażeniem krzyknęła Kathryn. - Tylko nie Raszid! On go zabije. - Zalała się łzami. - Będzie torturował.

- Nie rozpaczaj, Kathryn - po raz pierwszy odezwał się Michael. - Już wysłałem okręty na rozmowy z Raszidem. Zaproponujemy mu ogromny okup. Sam się wybiorę do Algieru. Każdy kamień poruszę, żeby znaleźć Lorenza.

Kathryn pochyliła głowę, zdruzgotana. Rozpacz była nie do zniesienia.

- To moja wina. Zmusiłam go do miłości. - Przecież Lo-

renzo właśnie tego się obawiał: że straci czujność, instynkt, który go tyle razy ochronił. Myśląc o żonie, zapomniał o ostrożności. Chciał jak najszybciej wrócić. - Och, wybacz mi, kochany!

- Co to za bzdury, Kathryn? - Sir John zrobił zdumioną minę. Odruchowo przyłożył rękę do piersi, jakby go coś bolało. - Czym tu zawiniłaś?

- Przepraszam! - zawołała ze łzami. - Muszę być teraz sama.

Wybiegła z salonu. Mężczyźni popatrzyli po sobie, lecz Veronique natychmiast zniknęła za swoją panią.

- O co w tym wszystkim chodzi? - spytał sir John, znów pocierając mostek. Niekiedy wcale nie czuł bólu, czasami cierpiał. Wiedział, że musi wziąć miksturę przepisaną mu przez medyka, ale teraz nie miał na to czasu.

- Lorenzo opowiedział mi swoją historię - zaczął Charles. - Powtórzę ci ją od początku, żebyś wszystko dobrze zrozumiał.

- Muszę już iść - wtrącił Michael. - Nie mamy czasu do stracenia. Powtórzcie Kathryn, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby odnaleźć Lorenza.

- Zapłacę każdy okup - powiedział Charles. - Choćbym miał wydać ostatniego pensa.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy - powtórzył Michael i wyszedł.

Kathryn stała w oknie, patrząc na nocne niebo. Nie potrafiła zebrać myśli. Bywały chwile, w których żało-

wała, że Lorenzo nie zginął w bitwie. Teraz był zdany na łaskę i niełaskę najgorszego, najbardziej zajadłego i mściwego wroga.

- Lorenzo - szepnęła - mój ukochany. Co ja ci zrobiłam?

To przez nią Raszid teraz triumfował. Przez nią Lorenzo dał się złapać. Jej miłość była jak trucizna, wiodła prosto w objęcia śmierci.

Kathryn załkała cicho.

Co się dzieje z jej mężem? Jest więźniem Raszida? Kiedyś przez trzy lata był galernikiem. Teraz na pewno wkrótce umrze, jeśli Michael go nie odnajdzie i nie wybawi z niewoli.

Nie umieraj, prosiła w myślach. Nie chcę żyć bez ciebie. Jestem twoją żoną, kochanką, przyjaciółką. Skradłeś mi serce, ciało i duszę. Musisz wrócić, bo bez ciebie nie chcę żyć.

Lorenzo ostrożnie obmacał bolącą głowę. Chyba przeleżał nieprzytomny ładnych parę godzin. Rozejrzył się. Znajdował się w kajucie pirackiej galery. Dlaczego nie wrzucili go pod pokład, tak jak innych?

A może pirat dobrze wiedział, z kim ma do czynienia? Pewnie tak. Żądał okupu? Czy też czekał na wyrok Raszida? Ach, o to chodzi, pomyślał Lorenzo. Stąd te niespodziewane względy.

Długo ze sobą wojowali. Raszid nie bez powodu zdobył przydomek: Groźny. Rzadko brał jeńców, chyba że chciał

nimi zastąpić zmarłych galerników. Tylko czasami przyjmował okup. Zdobyte statki płądrował i zatapiał. Załogę wycinał w pień.

Lorenzo oburącz chwycił się za obolałą głowę. Co ze mną będzie? - pomyślał. Albo sprzedadzą mnie jako niewolnika, albo wezmą okup, a niewykluczone, że przykują mnie do wioseł. Jeżeli Raszid się o mnie dowie, na pewno nie oszczędzi mi tortur. A potem skaże na śmierć.

Kiedyś, gdy porwali go piraci, nie miał doświadczenia, żeby na dobre podjąć walkę z losem. Dziś nie zamierzał się poddać. Wiedział już, kim jest, i co się stało.

Postanowił być czujny i czekać na swoją szansę. Przez moment pomyślał o Kathryn. Gdyby Raszid wziął okup, mógłbym wrócić do Rzymu, uznał. Może nie warto uciekać? Ale coś w nim buntowało się przeciwko takiemu rozwiązaniu. Od lat był człowiekiem czynu. Przywykł do ustawicznej walki. Teraz także za wszelką cenę pragnął sam wyrwać się na wolność.

Gdyby jednak zginął przy próbie ucieczki, Kathryn zostałaaby młodą wdową. No cóż, jest piękna i odziedziczyłaby po mężu ogromny majątek. Lorenzo spisał testament na jej korzyść, zanim wyruszył na wojnę z Turcją. Nie musiała zatem martwić się o przyszłość. Z czasem znowu kogoś by pokochała.

-Kathryn...

Bezwiednie wyszeptał jej imię. Nie, postanowił. Nie mogę beczynn timer czekać na spotkanie śmierci. Muszę stąd uciec. Dla niej.

- Ty! Niewierny psie! - rozległ się szorstki głos od progu.
- Chcesz żreć? A może wody?

Lorenzo jęknął, lecz nie odpowiedział. Wyczuł, że pirat podszedł do niego. Zmusił się, żeby wciąż leżeć nieruchomo. Jeszcze nie nadszedł właściwy moment do ucieczki. Jeszcze nie...

Pirat zamruczał coś i chlusnął wodą w twarz Lorenza. Ten przekręcił się na bok, ale wciąż nie otwierał oczu. Pirat rzucił jakieś przekleństwo i wyszedł, głośno trzaskając drzwiami.

Lorenzo przesunął dłonią po twarzy i wyssał z palców krople wilgoci. Był spragniony i głodny, ale postanowił udawać nieprzytomnego.

Kathryn obudziła się z płaczem. Śnił jej się Lorenzo. Straszliwie cierpiał i wzywał ją po imieniu.

- Och, Lorenzo - szepnęła, wstała z łóżka, podeszła do okna i wbiła wzrok w ciemność. - Nie umieraj. Nie odchodź ode mnie. Wróć, ukochany, bo bardzo mi jesteś potrzebny.

Nie umarł. Nie mogła w to uwierzyć, bo gdyby uwierzyła, byłby to kres nadziei. Nie, wiedziała, że na pewno żyje. Był gdzieś tam i myślał o niej. Bardzo chciał wrócić. Musiał wrócić, choćby ze względu na jej miłość.

Nie mogła zasnąć. Ubrała się, wyszła na dziedziniec i wystawiła twarz na chłodny powiew nocy. Całym sercem tęskniła za ukochanym mężem, w dodatku nie była w stanie znaleźć pocieszenia.

- Lorenzo - wyszeptała - nie opuszczaj mnie, mój najdroższy.

Lorenzo wiedział, że dotarli do jakiegoś portu. Okręt stanął i tylko lekko kołysał się na martwej fali. Z góry dochodziły ochrypłe krzyki załogi. To galernicy cieszyli się, że zaznają krótkiego odpoczynku.

Kilka minut później ktoś wszedł do kajuty i stanął nad nieruchomym ciałem Lorenza. Patrzył na jeńca przez dłuższą chwilę. Potem go kopnął.

- Wstawaj, niewierny psie! - zawołał. - Raszid chce cię zobaczyć.

Głośny śmiech z kilku gardeł był dowodem na to, że inni stłoczyli się w kajucie.

- Trzeba go stąd wynieść - powiedział pierwszy. - Raszid zażąda naszych głów, jeżeli ten pies umrze.

Podnieśli jeńca. Lorenzo bezwładnie zwiśł im na rękach. Wynieśli go na pokład. Och, jak dobrze było znów poczuć na twarzy świeży powiew morskiej bryzy...

Rzucili go na deski. Chyba odeszli. Lorenzo ostrożnie spojrzął jednym okiem. Ze zdumieniem spostrzegł, że cała załoga zgromadziła się na dziobie. Wszyscy patrzyli w stronę brzegu. Oto jego szansa!

Na czworakach podpełzł do rufy. Obejrzał się, ale piraci wciąż stali do niego tyłem.

Chyba czekali na kogoś, kto zamierzał wejść na pokład galery. Zapewne na Raszida. Lorenzo postanowił nie zwlekać dłużej. Wstał i przerzucił nogę przez reling.

Za sobą usłyszał czyjś ostrzegawczy okrzyk. Teraz lub nigdy!

Zawahał się przed skokiem do morza. Huknął strzał. Lorenzo poczuł dotkliwy ból w ramieniu i poleciał na łeb na szyję w zimne fale.

Rozdział jedenasty

Pograżona w głębokim smutku Kathryn przechadzała się po ogrodzie. Nagle ujrzała Michaela. Rozmawiał z jej ojcem i lordem Mountfitchetem. Szybko weszła do domu, mając nadzieję, że usłyszy pomyślne wieści.

- Znalazłeś go?

- Nie, Kathryn - odpowiedział Michael. Spojrzał na nią błagalnym wzrokiem, bo wiedział, że przysparza jej cierpienia. - Niestety, niczego się nie dowiedziałem. Skontaktowałem się z jednym z ludzi Raszida. Nie słyszał o walce z galerą Lorenza ani o jeńcu.

- Ale od tamtej pory minęło już półtora miesiąca! - zawołała Kathryn. - Dlaczego nikt nic nie wie? Jeśli Lorenzo został zabrany do Algieru...

- Przepytowaliśmy na wszystkich targach niewolników - odparł Michael. - Nic z tego.

- Przecież ktoś musiał go widzieć... jeśli nadal żyje. - Kathryn z trudem powstrzymała się od płaczu. Mimo

wszystko uparcie czepiała się nadziei, choć coraz trudniej było jej uwierzyć w cudowne ocalenie męża.

- Nie trać nadziei - powiedział Michael. - Pchnąłem posłańca do Raszida, z prośbą, aby odpowiedź przysłał do lorda Charlesa. Sam jadę do Granady. Chcę porozmawiać z Ali Khayrem. Może coś słyszał? A może jego ludziom ła-twiej będzie dotrzeć do twierdzy piratów?

- O pojmaniu Lorenza mówił nam rozbitek - z namy-słem stwierdziła Kathryn. - Tylko jeden człowiek. A jeśli się pomylił? Jeżeli to nie Raszid, lecz jakiś inny pirat albo...
- Pokręciła głową. - Nie. Nigdy nie uwierzę, że on już nie żyje. Na pewno ocalał.

- Zawsze byłaś dla mnie podporą nawet w chwilach zwątpienia - wtrącił lord Mountfitchet. Popatrzył na nią pełnymi łez oczami. - Teraz ja ci odpowiem: Lorenzo nie umarł. To nie żółtodziób, Kathryn. To silny, zdecydowany i doświadczony dorosły mężczyzna. Wiele już w życiu przeszedł. To go wzmocniło. Jest twardy. Na pewno da sobie radę, bez względu na to, kim są jego obecni wrogowie.

- Masz rację, panie - przyznała. W duchu niemal bez przerwy modliła się o życie i wolność dla męża. - Wierzę, że Lorenzo wkrótce do nas wróci.

Sir John przypatrywał się córce z niepokojem. Ostatnio co-raz częściej cierpiał na ból w piersiach. Domyślał się, że zostało mu już niewiele czasu. Musiał wrócić do domu, by dopilnować spraw związanych z późniejszym podziałem majątku. Jedno-cześnie chciał być przy córce w tak trudnej dla niej sytuacji.

Lorenzo otworzył oczy i zobaczył jakąś kobietę. Miała miły głos i delikatne dłonie. Chyba opiekowała się nim już od dłuższego czasu, chociaż nie wiedział, ile przeleżała w gorączce.

- Obudziłeś się wreszcie? - spytała cicho kobieta w swoim rodzimym języku. Uśmiechnęła się. - Chwała Allahowi. Wszyscy myśleli, że na pewno umrzesz. Kiedy mój mąż wyłowił cię nieprzytomnego z morza, wyglądałeś jak martwy.

- Gdzie jestem?

Lorenzo doskonale rozumiał jej mowę, bo za młodu musiał się jej nauczyć. Teraz jednak był zbyt obolały, słaby i zmęczony, żeby rozsądnie myśleć.

Kobieta przytknęła mu do ust jakieś naczynie. Lorenzo posłusznie przełknął łyk napoju.

- Mam na imię Salome - odpowiedziała. - Mój mąż, Khalid, jest rybakiem. Klepiemy biedę, panie. Kiedy mąż cię znalazł, byłeś ranny i ledwo żywy. Słyszał jednak, że ktoś cię szuka, więc pomyślał sobie, że dostaniemy choć nagrodę za twój trup. Potem przyniósł cię tutaj. Wszyscy we wsi strasznie boją się Raszida, ale Khalid za nic w świecie nie chciał oddać cię w ręce tego potwora.

- Jestem wam bardzo wdzięczny - chrapliwym głosem odezwał się Lorenzo. - Nie minie was nagroda. Mam przyjaciół, którzy dużo zapłacą za mój szczęśliwy powrót.

- To samo powiedziałam mojemu mężowi - odparła Salome i uśmiechnęła się, żeby dodać mu trochę otuchy. - Pielęgnowałam cię przez wiele dni i nocy, panie. Twoja rana goiła się wyjątkowo szybko, ale umysł wciąż pozosta-

wał chory. Chyba przebywałaś myślą w odległej przeszłości. Krzyczałaś, że jesteś dzieckiem, mówiłaś o ojcu.

- Ojciec? - ze smętną miną powtórzył Lorenzo. Przywołał w pamięci niedawne wydarzenia. Znowu pewnie się martwi, a Kathryn odchodzi od zmysłów. Jest przekonana, że nie żyję, przemknęło mu przez głowę. Próbował usiąść, ale natychmiast jęknął z bólu i opadł na poduszki.

- Jeszcze nie jesteś w pełni sił - zauważyła Salome. - Musisz wypocząć. Niecierpliwość tu w niczym nie pomoże. Jak poczujesz się lepiej, wyślemy wiadomość do twoich przyjaciół. Będziesz mógł do nich wrócić. Nie jesteśmy chciwi, panie, ale bardzo biedni. Błagamy tylko o niewielką nagrodę za nasze kłopoty.

Lorenzo uśmiechnął się i wbrew woli sennie przymknął powieki.

- Wkrótce staniecie się bogaci - powiedział i zaraz potem usnął.

- Muszę szybko wracać do domu - oznajmił sir John.

Znalazł córkę w ogrodzie, jak zwykle pogrążoną w smutnych rozmyślaniach. Serce krajało mu się z bólu, kiedy patrzył na jej nieszczęście. Kathryn była bardzo blada. Z jej oczu wyzierało cierpienie.

- Chcę, żebyś pojechała ze mną.

- Nie mogę wyjechać z Rzymu! - z nagłym przestraszeniem zawołała Kathryn. - Muszę tu zostać. Jak tylko go znajdą...

- Już dwa miesiące minęły, odkąd Lorenzo zniknął - z grobową miną przypomniał jej ojciec. - Wiem, że ko-

chałaś go niemal ponad życie tylko po to, żeby dwukrotnie stracić, jeśli Charles ma rację i to rzeczywiście jest Richard Mountfitchet. Czekasz na niego. To całkiem normalne. Ja jednak powinienem już wracać do Anglii. Nie mogę zostać we Włoszech ani chwili dłużej. W naszym dawnym majątku poczujesz się bezpiecznie.

- Nie. Chcę być tutaj. Poczekam na męża.

- Lepiej posłuchaj dobrej rady ojca.

Kathryn odwróciła się, słysząc głos lorda Charlesa. Lord Mountfitchet właśnie wszedł do ogrodu i przypadkiem usłyszał fragment ich rozmowy.

- Muszę poczekać na Lorenza. - Kathryn miała oczy pełne łez. - Nie zmuszajcie mnie, żebym się go wyrzekła. Błagam... Na pewno wróci...

- Będę w Rzymie - zapewnił ją lord Charles - i natychmiast do ciebie napiszę, kiedy tylko otrzymam konkretne informacje. Powiem mu, co cię skłoniło do wyjazdu z Italii. Przecież masz swoje obowiązki także wobec ojca. Niestety, Mary musiała zostać na Sycylii. Opiekuje się biednym Williamem. Ostatnio poznała nawet pewnego dżentelmena, który namawia ją do ślubu. Mary wcale się nie opiera. Sama rozumiesz, że w tej sytuacji, jeszcze przed naszym nieszczęściem, nie miałem prawa żądać od niej, żeby nagle zmieniła plany.

- Dajcie mi jeszcze tydzień - poprosiła Kathryn. Słowa z niemałym trudem przechodziły jej przez ściśnięte gardło.
- Jeśli w tym czasie niczego się nie dowiemy, to spełnię życzenie ojca.

Odwróciła się do nich tyłem, bo już dłużej nie mogła zaplanować nad płaczem. Może to racja? - pomyślała. Może najlepiej będzie, jak jednak wyjadę z Rzymu? To przeze mnie Lorenzo wypuścił się na morze sam, bez eksorty. Spieszył się do domu. Całkiem niedawno przyznał, że zmienił się przez miłość. Stał się mniej drapieżny, czujny, mniej rozważny. To go właśnie zgubiło. Wszedł prosto w ręce wroga.

Lorenzo poślubił ją w dość dziwnej sytuacji głównie po to, żeby uciszyć bezsensowne plotki. Uwierzył, że ją kocha, ale to był zły omen. W dzieciństwie zwabiła Dickona na plażę i wydała go w ręce piratów. Gdyby nie miłość, Lorenzo byłby teraz bezpieczny. Ta myśl była przerażająca. Kathryn aż się zachwiała. Uświadomiła sobie, że już dwukrotnie stała się przyczyną klęski ukochanego.

- Wybacz mi, najmilszy - szepnęła cicho. - Tak będzie najlepiej.

Uniosła głowę, otarła łzy.

- Dobrze, ojciec - odpowiedziała. - Jeżeli przez tydzień nie będzie żadnych wiadomości, pojedę z tobą do Anglii.

Salome wpadła do pokoju, kiedy Lorenzo przysypiał. Ramię bolało go znacznie mniej niż przedtem, ale wciąż był za słaby, żeby wychodzić z domu. W ogrodzie wolał też nie siedzieć, bojąc się, że ktoś go zobaczy. Dawno powinien stąd zniknąć. Swoją obecnością narażał gospodarzy na nieszczęście.

- Co się stało? - zapytał na widok zatroskanej miny Salome.

- Szukają cię - odparła ze strachem w oczach. - Pytali we wsi. Podali twój dokładny rysopis. Mój mąż lęka się, że ktoś nas zdradzi. Dają za ciebie niemałą kwotę pieniędzy, panie.

- W takim razie muszę stąd uchodzić - odparł Lorenzo. - Nigdy nie chciałem waszej krzywdy. W tej chwili nie mam żadnych możliwości, żeby odwdziaczyć się za Opiekę, ale nagroda was nie minie. Kiedy tylko wrócę do domu...

- W porę przypomniał sobie o małym złotym pierścieniu, który nosił na palcu. Na szczęście piraci mu go nie zabrali. Podał go Salome. - Weź go jako zadatek na przyszłość. Winiem ci jestem dużo więcej. Z bożą łaską spłacę wszystkie długi.

- Mój mąż początkowo nie myślał o okupie. Niestety, jest coraz starszy i niedługo w ogóle nie będzie mógł pracować.

- Dostaniecie nagrodę - obiecał Lorenzo. - A teraz muszę stąd zniknąć.

- Włóż ubranie męża - odparła Salome. - Przyniosłam coś, czym można przyciemnić skórę. W przeciwnym razie zaraz cię odkryją, bo po chorobie jesteś bardzo blady. Nie chcę, żebyś przypadkiem poczuł się dotknięty, panie, ale powinieneś chodzić z nisko pochyloną głową.

Lorenzo podziękował jej za dobrą radę. Przebrał się w zniszczoną powłóczystą szatę. Morze zabrało mu niemal całe ubranie. Został tylko w rajtuzach.

Uciekł z domu Salome przez małą furtkę w murze na tyłach ogrodu. Nie chciał iść główną ulicą. Było już pod wieczór. Słońce w złocistej glorii nurzało się w morskich falach. Za chwilę noc miała przejąć władzę nad tą częścią świata.

Przez minione tygodnie Lorenzo nie zasypiał gruszek w popiele. Planował uciec do Algieru, gdzie najłatwiej mógł znaleźć schronienie w tłumie. Do portu zawijały cudzoziemskie statki, zwłaszcza z Holandii albo Portugalii. Przy odrobinie szczęścia mógł znaleźć pracę. Gdyby przedostał się do Hiszpanii, mógł liczyć na pomoc przyjaciół.

Szedł może z pół godziny, kiedy nagle gdzieś z tyłu usłyszał głośny tętent. Był zupełnie sam na pustej wiejskiej drodze. Od razu domyślił się, że to ci sami ludzie, którzy wcześniej zjawili się we wsi Salome. Potoczył wzrokiem po okolicy w poszukiwaniu kryjówek.

Niestety, był na zupełnie pustym skalistym stoku. Nie miał gdzie się schować. Postanowił zatem odegrać niewielką komedię, żeby w ten sposób zmylić prześladowców. Nisko trzymał głowę, jak przystało na biednego chłopca lub rybaka.

Końskie kopyta zadudniły głośniej. Jeźdźcy byli coraz bliżej. Może pognają dalej? - pomyślał Lorenzo.

Okazało się, że nic z tego. Dowódca oddziału szybko ściągnął wodze.

- Hej, ty! - ryknął. - Psie! Widziałeś, żeby ktoś tędy przechodził? Jakiś obcy?

- Nie, dostojny panie - odparł Lorenzo.

Niemal rozpląszczył się na ziemi, zgodnie z obyczajem panującym wśród muzułmanów. Może mnie nie poznają w zgrzebnej szacie rybaka? - przemknęło mu przez głowę. Przebranie było całkiem udane.

- Długo wędrujesz?

- Cały dzień byłem dzisiaj w drodze, panie.

Dowódca spojrział na swoich towarzyszy, którzy także wstrzymali konie i kłócili się o coś zawzięcie. Jedni chcieli natychmiast wracać do wsi, inni zaś domagali się dalszej pogoni.

- Stara kłamała! - burknął gniewnie jeden z najbardziej zaciechowanych Arabów. - Lepiej zawrócić. Zmusimy ją, żeby powiedziała prawdę. Najlepiej wyrwać język temu rybakowi. To twarda sztuka. Ani słowa nie pisał, choć zebrał niezłe cięgi. Jego żona na pewno będzie bardziej rozmowna pod warunkiem, że lepiej dobierzemy się do jej męża.

Lorenzo słuchał tego z przerażeniem. Ci ludzie cierpieli wyłącznie dlatego, że się nim zaopiekowali, że poratowali go w nieszczęściu. Nie mógł ich za to winić. Nie bał się chłosty. Nie chciał uciekać za cenę czyjśgo cierpienia. Nie pozwalało mu na to poczucie honoru. Odrzucił kaptur i spojrział na dowódcę.

- Jestem Lorenzo Santorini - oznajmił. - To mnie szukacie.

Dowódca oddziału przez dłuższą chwilę patrzył na niego ze zdumieniem. Chytry uśmiech pojawił się na jego szczurzej twarzy.

- Szukamy cię już od tygodni - powiedział. - Raszid obiecał górę złota temu, kto cię znajdzie.

- W takim razie jesteś bogatym człowiekiem - z kamienią w ręku odpowiedział Lorenzo. - Mam przyjaciół, którzy też ciągle mnie szukają.

Dowódca patrolu niepewnie zerknął na swoich ludzi. Niektórzy z nich już zeskoczyli z koni i spode łba patrzyli na Lorenza. Chyba spodziewali się czegoś innego. Sprzeciwu? Walki? Tymczasem Lorenzo stał zupełnie spokojnie. Pozwolił wziąć się do niewoli. Żądza zysku zaślepiła ich od tego stopnia, że zapomnieli o Salome i jej mężu.

Lorenzo był święcie przekonany, że najzwyczajniej w świecie pociągną go za koniem, jak na triumfie cesarów. Zdziwił się, kiedy podstawiono mu wierzchowca. - Raszid chce cię żywego i w dobrej kondycji - powiedział dowódca patrolu. - Skoro poddałeś się nam bez oporu, nie spotka cię najmniejsza krzywda.

Lorenzo skinął głową, lecz nic nie odpowiedział. Był na to zbyt dumny. Niektórzy ludzie załamywali się na skutek tortur. Mógł liczyć tylko na szybką śmierć.

- Żegnaj, Kathryn - mruknął pod nosem. - Wybacz mi, moja miłości. Chciałem do ciebie wrócić, ale cena okazała się zbyt wysoka.

Kathryn z niedowierzaniem spoglądała na brzegi ojczystej ziemi. Z rozdartym sercem pomyślała, że właśnie tu osiadzie na resztę życia. Pod przymusem uznała - przynajmniej oficjalnie - że Lorenzo nie żyje. Przecież w przeciwnym razie wysłałby choć zdawkową wiadomość do Rzymu.

Lord Charles został w Rzymie.

Czekał na wieści od Michaela. Kapitan dei Ignacio oznajmił bez ogródek, że nie zamierza przerwać poszukiwań. Kath-

ryn wiedziała jednak, że to zupełnie na nic. Od dnia porwania Lorenzo przepadł jak kamień w wodę.

Mój ukochany, pomyślała, przełykając łzy. Popatrzyła na ojca, który właśnie w tej chwili zjawił się na pokładzie. Sir John zerknął na spienione fale, które pochłoneły tak wielu żeglarzy.

- Wkrótce będziemy w domu - powiedział. Z niepokojem patrzył na córkę. Była bardzo blada i miała smutne, podkrążone oczy. Stała się cieniem dawnej urodziwej, pełnej życia dziewczyny. - Tam poczujesz się lepiej.

- Wątpię, tato - odparła nieswoim głosem. - Kochałam go tak bardzo, że... - Urwała. Prawdę mówiąc, miała ochotę umrzeć, ale wołała nie martwić ojca.

- Wiem, co czujesz, Kathryn. Tak samo było ze mną po śmierci twojej matki. Myślałem, że to koniec świata. Dopiero potem nauczyłem się żyć bez niej. Znalazłem pociechę w dzieciach.

- Nie mam dzieci.

- Wciąż jesteś na tyle młoda, żeby powtórnie wyjść za mąż. Ponoć Lorenzo zapisał ci sporą fortunę. Tak przynajmniej mówią prawnicy. Nie opędzisz się od kandydatów.

Kathryn nie chciała drugiego męża. Rozmowa o spadku doprowadzała ją do szału. Żadne pieniądze nie zastąpią mi Lorenza! - pomyślała z goryczą.

- Lepiej nie mówmy o tym. Nie dbam o majątek. Już nigdy nie wyjdę za mąż.

- Nie przesadzaj! - zawołał ojciec. - Kiedyś smutek ci przejdzie. Jeszcze będziesz szczęśliwa.

Kathryn odwróciła się tyłem do ojca. Niczego nie rozumiał. Skąd miał wiedzieć, że bez Lorenza czuła się niepełna, niczym pozbawiona swojej połowy? Nie potrafi nikogo pokochać. A bez miłości nie było nawet najmniejszej mowy o następnym ślubie.

Sir John pluł sobie w brodę, że wysłał córkę do Włoch z lordem Mountfitchetem. W głębi duszy nie pochwalał także jej małżeństwa. Ani przez chwilę nie wierzył w kłamstwa Santoriniego. To był jedynie zręczny wybieg. Domniemany „Richard” po prostu chciał zagarnąć majątek Charlesa. A może raczej tytuł? Miał pieniądze, więc teraz pożywał zaszczytów. Podczas wojny stracił kilka okrętów. Szukał koneksji, dzięki którym szybko wyrównałby tę stratę.

Kłopot w tym, że sir John nie zdążył poznać zięcia. Nie wiedział zatem - bo niby skąd mógłby to wiedzieć - że Lorenzo był bardzo bogaty. Uważał go za kogoś w rodzaju złodziejaska, który ukradł mu ukochaną córkę. Wolał ją widzieć jako wdowę niż żonę takiego człowieka. Czas leczy wszelkie rany, ciągle powtarzał w myślach. Kłopot jedynie w tym, że on sam nie miał tego czasu za wiele. Czuł nadchodzącą śmierć, chciał więc zapewnić córce spokojną i bezpieczną przyszłość. Musiał tego dokonać, choćby wbrew jej woli.

Oczywiście Kathryn nie znała myśli ojca, instynktownie wyczuła jednak, że nie przepadał za Lorenzem. Nie zamierzała się z nim o to kłócić. Była zbyt przygnębiona, by prowadzić domowe waśnie. Liczyła na to, że z czasem ojciec przywyknie do jej decyzji i nie będzie mówił o małżeństwie.

W dalszym ciągu była przekonana, że Lorenzo na pewno nie żyje, bo tylko śmierć mogła go powstrzymać przed powrotem do Rzymu.

Lorenzo nie wierzył, że wciąż żyje. Dwa tygodnie minęły, odkąd wpadł w ręce wroga, a jeszcze nie stanął przed Raszidem. Traktowano go całkiem przyzwoicie. Zamiast tortur, których się spodziewał, stał się jedynie więźniem. Codziennie dostawał jadło oraz wodę. Strażnik, chociaż ponury, traktował go z pewnym szacunkiem.

W oknie celi były grube kraty. Drzwi otwierano tylko w porze posiłku. Nie był to jednak ponury loch. Lorenzo mógł poruszać się po całej izbie, niekrępowany łańcuchami ani na rękach, ani na nogach. Mało tego, przynoszono mu nawet wodę do mycia i czyste ubrania. Sypiał na miękkiej kanapie. Miał niemal wszystko, czego mógłby żądać - z wyjątkiem wolności.

O co w tym chodzi? - rozmyślał. Może Raszid wpadł na piekielny pomysł, aby pokazać mu uroki życia przed strasliwymi torturami?

Lorenzo niespokojnie krążył po pokoju. Bez przerwy planował ucieczkę. Przeczuiwał, że Raszid coś knuje. Bawi się ze mną jak kot z myszą, przemknęło mu przez głowę.

Usłyszał skrzypnięcie drzwi i odruchowo napiął mięśnie, szykując się do skoku. Posiłki przynoszono mu w miarę regularnie. Teraz jednak było zaledwie późne popołudnie.

Lorenzo w napięciu czekał, co będzie dalej. Może to niespodziewana szansa na ucieczkę? Przecież już nie musiał

obawiać się o Salome i jej męża. Mógł myśleć tylko o sobie. Lepsza śmierć niż powolne konanie na torturach.

Jakiś człowiek wszedł do jego celi. W niczym nie przypominał strażnika. Był dużo starszy i bogato odziany. Na głowie nosił turban barwy złota.

- Mój pan pragnie, abyś dotrzymał mu towarzystwa, panie.

Lorenzo uśmiechnął się posepnie. Wreszcie nadeszła chwila, której się obawiał.

- Pragnie? - powtórzył z gorzkim uśmiechem. - A co się stanie, jeżeli zrezygnuję z tego zaproszenia?

W jego oczach pojawiły się przekorne błyski. Wolał umrzeć szybko i z honorem.

- Mój pan będzie bardzo rozczarowany. Myślę, że to spotkanie może być dla ciebie nader korzystne, panie. Nie bój się niczego.

- Myślisz, że w to uwierzę?

- Ręczę własnym słowem. Jestem Mustafa Kasim. Gwarantuję, że zachowasz życie.

Lorenzo uważnie spojrzał mu prosto w oczy. Nie dostrzegł w nich niczego podejrzanego. Z niedowierzaniem pokręcił głową. Nie spodziewał się tego po Raszidzie. Ale przecież doświadczył w życiu niejednej niespodzianki, zarówno przykrej, jak i miłej. Mimo wszystko uwierzył temu człowiekowi.

- Zatem przyjmuję pańskie słowo.

- Dziękuję - odparł Mustafa Kasim. - Proszę za mną. Mój pan czeka.

Lorenzo niespiesznie poszedł za przewodnikiem. Długo wędrowali przez kręte korytarze pałacu Raszida. Ściany zbudowane były z szarego kamienia, podłogi wykładane matowym szarym marmurem. Ów wystrój budził zimne dreszcze nawet podczas największych upałów. Lorenzo szedł, prosty jak świeca, na pozór nie zwracając najmniejszej uwagi na otoczenie.

Jeszcze nie wiedział, co go czeka. Jeśli miał wierzyć słowom Mustafy, nie powinien spodziewać się tortur ani egzekucji. Czyżby Raszid wyznaczył okup?

Do tej pory robił to niezwykle rzadko. Co mu się stało, że nie chciał pognać starego wroga? Toczyli przecież bezwzględną wojnę.

Mustafa zatrzymał się przed wielkimi drewnianymi drzwiami bogato rzeźbionymi i nabijanymi żelaznymi ćwiekami. Zapukał raz metalową pałką, którą wyjął zza pasa. Dwaj czarni niewolnicy z wysiłkiem odciągnęli masywne skrzydła. Oni też byli bogato ubrani. Komnata wyraźnie różniła się od reszty twierdzy. Uderzała feerią barw. Na podłodze leżały grube i miękkie dywany. Wokół kanapy kryte jedwabiem, marmurowe stoliki, złote i srebrne rzeźby, alabastrowe wazony... Jednym słowem, fortuna, chociaż zgromadzona bez ładu i składu, niczym w gnieździe sroki. Raszid na pewno jest bardzo bogaty.

- Panie - odezwał się Mustafa - przyszedł ten, którego wezwałeś.

Lorenzo spojrział w stronę przepysznie zdobionego tronu. W swoim małym imperium Raszid żył jak udzielny

król. To raczej śmieszne, myślał Lorenzo. Pirat, który uważa się za kalifa? Zerknął i niesłychanie się zdumiał. Znał tę twarz, ale nie była to twarz Raszida. Nie była to nacechowana okrucieństwem twarz człowieka, z którym walczył przez minione lata, lecz gładkie oblicze jego syna. Tak, to Hassan. Ten sam, którego Michael wymienił na Hiszpankę.

- Jak widać, znów się spotykamy. - Młodzieniec uśmiechnął się lekko. - Wygląda pan na zdziwionego, signor Santorini. Chciał pan zobaczyć kogoś innego?

- Twojego ojca.

- Ojca? - Hassan się roześmiał. - Niestety, to niemożliwe. Bardzo mi przykro, signor, ale Raszid zmarł dwa tygodnie temu, w dniu pańskiego przyjazdu.

- Raszid nie żyje?!

- Nie powiedziałem tego? Proszę o wybaczenie, że tak długo musiał pan czekać na spotkanie ze mną. Widzi pan, nieoczekiwana śmierć mojego ojca spowodowała zamieszanie. - Machnął ręką w stronę bogatych przedmiotów zdobiących tę komnatę. - Niektórzy chcieli mi to zabrać. A przecież to moje. Przekonali się na własnej skórze, kto tu naprawdę rządzi, ale zajęło mi to nieco czasu.

Lorenzo wzdrygnął się mimo woli. Przez chwilę w ciemnych oczach Hassana zobaczył błysk okrucieństwa. W tym momencie nie miał żadnych wątpliwości, że rozmawia z synem Raszida.

- Nie chcesz wiedzieć, skąd się tu wzięłeś, panie?

- Podejrzewam, że z rozkazu Raszida.

- Chciał pana zabić powoli i możliwie w najboleśniejszy

sposób. W zamian za moją wolność musiał oddać pewną hiszpańską dziewczynę. Od początku był przekonany, że to kiepska zamiana. Ale cóż, musiał przystać na pańskie warunki. - Hassan gniewnie błysnął oczami. Przez chwilę czekał na odpowiedź Lorenza, ale ten uparcie milczał. - No dobrze - mruknął, żeby uniknąć dalszych nieporozumień. - Nie jestem swoim ojcem. Ogromnie lubię piękne rzeczy. Kobiety, jedwabie, klejnoty, to sprawia mi największą radość. Unikam przelewu krwi. Pod presją ojca dowodziłem bojową galera. Sam pan widział, co z tego wyszło. Teraz mój ojciec nie żyje.

Lorenzo patrzył mu prosto w oczy, ale nie potrafił się zorientować, czy Hassan pograżył się w żalobie, czy raczej cieszy się ze śmierci Raszida.

- Kiedyś mnie oszczędziłeś. Dlaczego? Możesz mi to wyjaśnić, panie?

- Uznałem, że nie zasługujesz na śmierć. Nie byłeś swoim ojcem. Nie powinieneś się poczuwać do jego grzechów.

- Tak. - Hassan westchnął. - Mam własne. - Błysnął oczami. - Tamtego dnia okazałeś mi niezwykłą łaskę, chociaż mogłeś mnie zabić. Teraz kolej na mnie. Też umiem być łaskawy. Wtedy ocaliłeś mi życie, dzisiaj ja zwracam twoje. Możesz odejść stąd, kiedy tylko zechcesz. Moja galera zawiezie cię do każdego miejsca na wybrzeżu Morza Śródziemnego. Masz na to moje słowo.

- Jeśli tak, to natychmiast chcę wracać do Rzymu.

- Ach, prawda. Wziąłeś sobie żonę. Ja też ostatnio noszę się z tym zamiarem, żeby znaleźć sobie dobrą żonę. Była-

by pierwszą w moim życiu. Mamy wiele wspólnego, signor Santorini. Dziś wieczór zjemy razem kolację. Jutro może pan stąd spokojnie odjechać. - Wskazał na kanapę. - A teraz proszę siadać. Z przyjemnością posłucham opowieści o pańskiej żonie.

Lorenzo usiadł, chociaż wciąż nie wierzył w swoją szczęśliwą gwiazdę. Przez cały czas obawiał się podstępu. Mimo wszystko Hassan był synem Raszida, mógł więc posunąć się do okrucieństwa. Przed powrotem do Rzymu należało mieć się na baczności. Rzym zaś oznaczał spotkanie z Kathryn. Lorenzo uśmiechnął się do młodocianego króla piratów.

- To właśnie jej zawdzięczasz życie.

- Naprawdę będzie aż tyle ludzi? - zapytała Kathryn. Nie chciała siedzieć na przyjęciu wśród trzydziestu lub więcej gości. Nie chciała tańczyć ani udawać wesołości.

- Przecież to zaręczyny twojego brata - zdenerwował się sir John. Popatrzył na nią kosym wzrokiem. - Jeśli nie przyjdiesz, zrobisz wielką przykrość Philipowi i Mary Jane.

- Wiem, ojczu. Mary Jane to naprawdę wspaniała dziewczyna. Philip na pewno będzie z nią szczęśliwy. Lecz...

- Żadnych wykrętów, Kathryn. Zanedbujesz naszą rodzinę. Wybaczylem ci dawne grzeszki, ale więcej już nie popuszczę.

Kathryn odwróciła się do niego tyłem. Słowa ojca podziały na nią jak chłasknięcie bicia. Nigdy nie widziała go w takim nastroju. Miała do niego żal, że nie rozumiał

jej rozpaczy. Tymczasem ból po stracie ukochanego męża chwilami stawał się dla niej nie do zniesienia.

Nie mogła dłużej usiedzieć w domu. Włożyła płaszcz i wyszła na długi spacer. Na dworze było piekielnie zimno. Porywisty wiatr szarpał jej ubraniem. Kathryn drżała niczym w febrze. Twarz miała białą jak kreda. Po tak długim pobycie w Rzymie wciąż nie mogła przyzwyczać się do mrozów, panujących w Anglii. Tam wiatr zawsze był ciepły i niósł ze sobą zapach świeżych kwiatów. Kathryn tęskniła za Italią. Znowu zadygotała, kiedy jej twarz owionął lodowaty powiew. Spojrzała w górę na ciemne chmury, zasnuwające całe niebo.

Wszystko szare, przemknęło jej przez głowę. Bez opieki Lorenza na pewno nie przetrwam w tym posępnym kraju. Lepiej umrzeć. A może go szybciej spotkam? Przecież księża wciąż mówią o życiu pozagrobowym.

Zamyślona, daleko odeszła od domu. W końcu stanęła na skraju urwiska, sterczącego nad plażą, na której niegdyś piraci porwali Dickona.

Czy to możliwe, że Lorenzo istotnie jest Dickonem? Charles Mountfitchet wierzył w to bez zastrzeżeń. Kathryn wciąż pamiętała swoje pierwsze spotkanie z Lorenzem Santorinim. Ona też miała wrażenie, że znają się od dawna. Lorenzo miał te same oczy, co jej najdroższy Dickon. Początkowo w ogóle nie mogła w to uwierzyć. Był dla niej rodowitym Wenecjaninem, synem Antonia Santoriniego. Nie myślała o nim jako o Richardzie, a tu tymczasem...

Czyżby dwa razy straciła tę samą miłość? Miała samot-

nie iść przez życie? Po co? Dwa kroki przed nią rozpościerała się smolista otchłań. Spienione fale wściekle biły o skaliste brzegi. A gdyby tak...

- Kathryn? Kathryn! Nie wolno ci tego robić!

Odwróciła się na dźwięk znajomego głosu. Przez krótką chwilę myślała, że to Lorenzo. Potem jednak poznała Michaela. Pędem rzuciła się w jego stronę. Czyżby nareszcie czegoś się dowiedział?

- Kathryn! - zawołał Michael, patrząc na nią z wyraźnym przerażeniem. - Przez moment byłem przekonany, że chcesz...

Nie pozwoliła mu dokończyć.

- Wiesz coś o nim? - spytała z bijącym sercem. Wyciągnęła rękę do przyjaciela. - Wiesz, gdzie przebywa?

- Przykro mi - odpowiedział Michael, zły na siebie, że nie ma mniej przygnębiających wieści. - Mówiono mi, że został ranny, kiedy skakał do morza z pokładu galery. Najwyraźniej usiłował uciec z niewoli Raszida. Obawiam się, że utonął. Wszelki ślad się urywa.

- Och, nie... - jęknęła Kathryn. Zachwiała się, jakby za chwilę miała upaść. - Lorenzo... nie... - Już od dawna podejrzewała, że jej mąż nie żyje, lecz ta wiadomość była dla niej najdotkliwszym ciosem. - Mój kochany...

Michael zdążył złapać Kathryn w ostatniej chwili. Z rozdzierającym płaczem rzuciła mu się w ramiona. Michael całował ją po włosach i mruzczał słowa pocieszenia.

- Moja maleńka - szepnął. - Dobrze wiem, że to nie najlepsza pora, aby mówić o takich sprawach, ale pamiętaj, że

Lorenzo odszedł, a ja tu wciąż jestem. Twoje rany niedługo się zagoją. Będę cię kochał i ochraniał od wszelkiego nieszczęścia. Stoję zaledwie krok od ciebie.

- Nie mogę - odparła cicho. - Nie pokocham nikogo więcej. Nigdy nie wyjdę za męża.

- Ciii, droga Kathryn. O nic cię nie proszę. Chcę tylko być twoim najlepszym przyjacielem. Może pewnego dnia spojrzysz na mnie nieco przychylniejszym okiem. Najpierw musisz dojść do siebie.

Kathryn nic na to nie odpowiedziała. Miała wrażenie, że serce pękło jej na dwoje. Dlaczego wszyscy ciągle powtarzają, że pewnego dnia otrząsnę się ze smutku? - pomyślała. Nikt nic nie rozumie. Owszem, Michael jest uroczy i kocha go jako przyjaciela, ale nie może zastąpić Lorenza. To wydawało się po prostu niemożliwe.

- Chodź - powiedziała, dziarsko unosząc głowę. Nie domagała się współczucia. Choćby ze względu na rodzinę i znajomych nie mogła dłużej obnosić się ze swoim smutkiem. - Wracajmy do domu. Mój ojciec chciałby z tobą porozmawiać.

Lord Charles właśnie zasiadał do kolacji, kiedy za drzwiami rozległ się hałas. Usłyszał podniesione głosy. Wstał z krzesła, żeby sprawdzić, co się stało, i nagle zobaczył stojącego w progu Lorenza.

- Chwała Bogu! - wykrzyknął, nie panując nad emocjami. Ze łzami w oczach wybiegł na powitanie syna. Pochwy-

cił go w objęcia. - Myślałem, że już nigdy cię nie zobaczę. Mówiono nam, że zostałeś zastrzelony w Algierze.

- Istotnie, byłem o włos od śmierci - przyznał Lorenzo - ale Bóg czuwał nade mną. Ubogi rybak wyłowił mnie z morskiej toni. Potem doszedłem do siebie pod czułą opieką jego żony.

- Nie minie ich nagroda! - natychmiast zawołał Charles.
- Już nigdy nie zaznają biedy.

- Sam tego dopilnuję - odpowiedział Lorenzo. Przez długą chwilę wpatrywał się w twarz ojca. - Wiele przeze mnie wycierpiałeś, ojczu, ale już możesz być spokojny. Nie przysporzę ci więcej zmartwień. Raszid nie żyje, a z jego synem, Hassanem, nie mam żadnej zwady. Zawarliśmy rozejm. Nasze statki będą nawzajem się omijać.

- Siadaj, zjedz ze mną i opowiedz mi wszystko od początku.

- Oczywiście. - Lorenzo rozejrzał się po komnacie i zmarszczył brwi. - Jesteś sam? A gdzie Kathryn?

- Jakiś czas temu jej ojciec przyjechał do Rzymu. Martwił się o nią, bo nie dostał listu, w którym pisała mu o waszym ślubie. Przekonany o twojej śmierci, postanowił zabrać ją do Anglii. Kathryn wprawdzie nie chciała jechać, ale nie mogła odmówić ojcu.

- Źle postąpiła - orzekł ponuro Lorenzo. - Powinna zostać z tobą.

- Nie możesz się na nią gniewać, synu - odpowiedział Charles. - Szczerze opłakiwała twoją śmierć i pewnie nadal rozpacza.

- A jednak nie zaczęła na mnie.

Lorenzo był rozczarowany i zły, bo myślał, że zaraz ją zobaczy.

- Przecież przed chwilą ci mówiłem, że to sir John zmusił ją do wyjazdu.

- Żona powinna trzymać stronę męża.

- Przysięgam ci, że nie zrobiła tego z własnej woli.

Lorenzo smętnie skinął głową.

- Dobrze, że chociaż ty zostałeś.

- Nie miałem wyjścia. W tobie pokładam wszystkie nadzieje na w miarę spokojną przyszłość. Modliłem się o twój szczęśliwy powrót. Jak widać, moje modlitwy zostały wysłuchane. Naprawdę żyjesz. Za to będę dziękował Bogu aż do końca życia.

Lorenzo się roześmiał.

- Najwyraźniej Bóg nade mną czuwa - powiedział. Teraz, gdy był już całkiem pewny swojej tożsamości, opuściły go ponure myśli. - A pamiętasz, jak jeździliśmy na polowania z sokołami w lasach Mountfitchet? Jak szalony uganiałem się po całej okolicy, a ty zawsze czekałeś na mój powrót. Pewnie nieraz myślałeś, że zginąłem na dobre.

- Tak. Mimo to zawsze wracałeś. - Charles nie mógł powstrzymać się od śmiechu. - Wiesz co? Podziwiam twoją pamięć.

- Podejrzewam, że to są skutki silnego uderzenia w głowę lub też szoku wywołanego kolejną niewolą - zupełnie poważnie odpowiedział Lorenzo. - Kiedyś nie chciałem tego wszystkiego pamiętać.

Ojciec ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Wspomnienia powracały do mnie tylko we fragmentach. Zawsze były mocno zamglone, niczym sen albo inna złuda. Nie wiedziałem, że jestem Richardem Mountfitchem. No dobrze, w pewnym momencie zacząłem coś podejrzewać, lecz nie miałem pewności.

- Na Sycylii przekonałeś mnie niemal od razu - odparł Charles i popatrzył na niego zamyślonym wzrokiem.

- Rzadko okazywałem ci, że cię naprawdę kocham. Na przyszłość to się zmieni. Bóg dał mi drugą szansę i zamierzam ją wykorzystać. Obaj mieliśmy szczęście. Na dobrą sprawę czekał mnie sromotny koniec. Jedynie Bóg, chociaż się go wyrzekłem, wciąż był przy mnie. Nie dał mi zginąć.

Charles tylko przytaknął w milczeniu. Słowa tu były niepotrzebne. Lorenzo musiał sam odzyskać utraconą wiarę.

- Co dalej, synu?

- Początkowo chciałem wziąć Kathryn do Anglii. Pomyślałem sobie, że powinna jeszcze raz zobaczyć się z ojcem, zanim na stałe osiadziemy w Wenecji. Póki co, podtrzymuję ów pierwotny zamiar. Mój dom jest tutaj, ojczu. Do Anglii mnie nie ciągnie. Chyba że sam zechcesz tam pojechać... Co ty na to?

- Ustaliliśmy to już na Sycylii. Do waszego powrotu na pewno zostaną w Rzymie. Prawdę mówiąc, mam dość tych wszystkich podróży.

- W takim razie powierzam ci moje interesy, ojczu - oznajmił Lorenzo. - Muszę jeszcze pomówić z Michaelem. Moja

przyszłość nabrała konkretniejszych kształtów. Mimo to nie chcę się z nim rozstawać.

Charles się zawahał.

- Michael też wyjechał - powiedział wreszcie - i to właśnie do Anglii. Podejrzewam, że chciał się spotkać z Kathryn. Wszyscy mówili nam o twojej śmierci, więc...

Nie musiał kończyć. Lorenzo zrozumiał doskonale. Michael był zakochany w Kathryn. Lorenzo przymknął oczy. Już nawet się nie złościł. Miał tylko jedynie niewielką nadzieję, że zdąży, zanim stanie się coś ostatecznego.

- Nie mam chwili do stracenia - powiedział z pośpęną miną. Dobrze pamiętał, z jaką atencją Michael odnosił się do Kathryn. - Ten wieczór mamy na pogawędkę. Jutro z samego rana wybieram się do Anglii.

Rozdział dwunasty

Kathryn spojrzała w lusterko. Miała na sobie zieloną jedwabną suknię, kupioną przez ojca. To był prezent, wybrany specjalnie na tę okazję. Kathryn chciała włożyć coś ciemnego, ale sir John stanowczo się temu sprzeciwił. Popatrzył na nią niechętnym wzrokiem.

- Nie pójdziesz ubrana na czarno na zaręczyny brata. To byłby afront wobec rodziny narzeczonej Philipa. Jesteś piękną młodą kobietą, moja córko. Nie chowaj się przed światem.

- Nie zapominaj, że noszę żałobę po mężu, ojcze.

- Nosisz żałobę po człowieku, który nazywał się Lorenzo Santorini. Jeżeli Charles mówi prawdę, to w rzeczywistości ów „Lorenzo” nigdy nie istniał. Nie jestem pewny, czy w tym przypadku twoje małżeństwo można uznać za prawdziwe. Poza tym jesteś moją córką i nigdy nie pozwolę na to, żebyś zjawiła się wśród gości smętna jak czarna wrona.

- To nieuczciwe! - ze łzami w oczach zawołała Kathryn,

głęboko poruszona ostrymi słowami ojca. Dlaczego sir John jest tak okrutny? I bez tego wiele wycierpiała. - Lorenzo poślubił mnie przed Bogiem i ludźmi. Jestem jego prawdziwą żoną.

- Wyszłaś za mąż bez mojego pozwolenia i błogosławieństwa - zimno zauważył ojciec. - Gdybym chciał, mógłbym oficjalnie unieważnić wasz związek. Najlepiej zrobisz, jak zapomnisz o tym nieszczęsnym epizodzie. Mam nadzieję, że już niedługo znajdziesz sobie nowego męża.

- Nie zamierzam.

- Pomyśl o przyszłości, Kathryn. Jeszcze możesz być szczęśliwa. Ludzie niedługo zaczną plotkować na temat twojej dziwnej przeszłości. Po ślubie wszystkie plotki ucichną. Wyjdiesz za mąż, kiedy tylko minie oficjalny okres żałoby. Kontrakt małżeński spiszemy wcześniej. Nie ma powodów, żeby z tym zwlekać.

Kathryn milczała. Bała się, że powie coś, czego później będzie żałować. Nie chciała jeszcze bardziej pogłębiać przepaści, jaka wytworzyła się między nią a ojcem. Mimo to miała ochotę płakać. Sir John potraktował ją w bezduszny sposób. Nawet nie myślała o nowym małżeństwie. W głębi ducha po prostu nie mogła uwierzyć, że ojciec może być zdolny do takiego zachowania. Kochała go i zawsze wierzyła w jego dobroć.

Postanowiła jednak nie płakać. Zrobiła to przede wszystkim dla brata. Dla tego brata, z którego od lat była bardzo dumna. Uniosła głowę i zeszła na dół, aby powitać gości. Mimo żałoby musiała się uśmiechać.

Wybór Philipa nie był przypadkowy. Zaręczył się z dziewczyną, którą szczerze podziwiał i szanował.

- Kochasz Mary Jane? - wcześniej spytała Kathryn.

- Kocham? - Philip zmarszczył brwi i popatrzył na nią spod oka. - Doprawdy nie wiem, co rozumiesz pod pojęciem miłości, Kathryn. Od najmłodszych lat znam Mary Jane. Zawsze byliśmy dobrymi przyjaciółmi. To urocze i dobre dziewczę. Na pewno będzie czułą żoną i wspaniałą matką moich dzieci. W posagu wniesie pewien majątek. Czego mam jeszcze od niej oczekiwać?

Kathryn nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Sama była innego zdania, wiedziała jednak, że w jej sferze panowały poglądy podobne do tych, które głosił Philip. Pewnie przyznałaby mu rację, gdyby nie знаła Lorenza. Ale znała! Znow coś ją ukłuło w sercu. Powróciły ból i smutek. Raczej umrę, niż wyjdę ponownie za mąż, pomyślała. Należę tylko do Lorenza. Do nikogo innego.

Zaręczyny dobiegły końca. Philip poprosił Mary Jane do tańca. Goście z uśmiechem przyglądali się tańczącej parze i przytupywali lekko w takt skocznej muzyki, granej przez minstrela.

- Ty będziesz następna, Kathryn - odezwała się szacowna dama, stojąca po jej lewej ręce. - Sir John znajdzie ci dobrego męża. Wkrótce zapomnisz o przeszłości.

- Ciągle jestem w żałobie, pani Feathers.

- Sama zobaczysz, że mężczyźni praktycznie niczym się nie różnią. Miałam trzech mężów. Niczego to nie zmieniło.

Dla nich liczy się tylko władza, pieniądze i dzieci. Tak zwana miłość to zwykła ułuda.

Ta nieszczęsna kobieta nic nie wiedziała o prawdziwej miłości! Kathryn odwróciła się i czym prędzej uciekła z sali. Za sobą słyszała śmiechy i skoczną muzykę. Chwyciła płaszcz, który ktoś rzucił na stojący w sieni kufer i wybiegła na zewnątrz. Zimny wiatr ochłodził jej rozgrzane policzki. Niebo było już zupełnie ciemne. Kathryn mocniej zaciągnęła poły płaszcza i, roniąc łzy, poszła prosto przed siebie.

- Och, Lorenzo - wyszeptła cicho - ukochany. Wróć do mnie! Błagam... Dłużej nie zniósę tej udręki.

- Kathryn! Zaczekaj!

Odwróciła się na głos Michaela. Miała ochotę być zupełnie sama, ale obecność kapitańscy Ignacia nie powinna jej przeszkadzać. Przecież Michael był z nimi w Wenecji, a także w Rzymie. Dużo lepiej niż inni rozumiał jej rozterkę i cierpienie. Co więcej, okazywał jej troskę i współczucie, czego nie doczekała się od własnego ojca.

- Nie powinnaś wychodzić na dwór o tej porze - powiedział Michael. - Jeszcze się przeziębisz. Prawdę mówiąc, wcale się nie zdziwię, jeśli do rana spadnie śnieg. Możesz się rozchorować.

- Jak będę chora, to ojciec nie zmusi mnie do małżeństwa. Nie chcę wyjść za człowieka, którego nie kocham.

- O czym ty mówisz?

-Tak, Michaelu. Ciągłe słyszę, że powinnam natych-

miast zapomnieć o przeszłości. To niemożliwe. Kocham Lorenza. Zawsze go będę kochała.

- Sir John nastaje, abyś wyszła za mąż? - Michael zawa-
hał się przez krótką chwilę. Nie zamierzał tak szybko mó-
wić jej o swych uczuciach, ale teraz zrozumiał, że czas nagli.
Biedny młodzieniec zakochał się w Kathryn, gdy leżał ran-
ny, pod jej czułą opieką.

- Twój ojciec zawsze był mi przychylny - zaczął nieśmia-
ło. - Myślisz, że chciałby takiego zięcia?

- Nie mogę być twoją żoną, Michaelu. Zrobiłabym ci
wielką krzywdę. Bardzo cię lubię, jesteś moim najlepszym
przyjacielem, ale moje serce należy wyłącznie do Lorenza.
Obawiam się, że nic tego nie zmieni.

- Chcę ci oszczędzić dalszych przykrości, Kathryn.
Zabiorę cię do Rzymu, do dawnych przyjaciół. Tam byłaś
szczęśliwa.

Podszedł bliżej, wyciągnął rękę i pogładził ją po bla-
dym policzku.

- Jeśli chcesz, będę bardzo, bardzo cierpliwy. Nie wyko-
rzystam praw małżonka. Zaczekam, aż sama mi na to po-
zwolisz. Obiecuję.

- Och, Michaelu! - urywanym głosem zawołała Kathryn.
- Wstyd mi. Jesteś tak dobry dla mnie, tak kochany. Jednak
nie mogę ci zrujnować życia! A co zrobisz, jeśli już nigdy
nie otrząsnę się z tęsknoty? Jeśli zawsze będę kochała jedy-
nie Lorenza?

Łzy płynęły jej po policzkach. Czuła ich słony smak na
ustach. Michael delikatnie wziął ją w ramiona. Był to tyl-

ko gest pocieszenia, chociaż... Ostrożnie musnął wargami pachnące włosy.

- Kocham cię, Kathryn. Jeżeli trzeba, będę na ciebie czekał aż do końca życia.

Popatrzyła na niego. Łzy niczym brylanty błyszcząły na jej długich rzęsach.

- Przecież kiedyś mówiłeś, że chcesz ożenić się z Isabella Rinaldi.

- Mój ojciec wciąż namawia mnie do małżeństwa. Muszę go posłuchać, bo jest już bardzo stary. Isabella to ładne dziewczę i bardzo ją lubię, lecz to ciebie kocham. Zawsze cię kochałem, od pierwszego wejrzenia, lecz dla ciebie liczył się tylko Lorenzo. Wtedy nie miałem najmniejszej szansy, za to teraz...

- Urwał zakłopotany. I tak powiedział już bardzo dużo.

- Och, Michaelu. - Kathryn otarła łzy. - Daj mi choć trochę czasu do namysłu! Może... Nie wiem...

Jeszcze nie mogła mu obiecać, że na pewno zostanie jego żoną, lecz z drugiej strony, gdyby sir John upierał się przy małżeństwie, nie było lepszego kandydata od Michaela. Ale czy mogła przyjąć jego propozycję? To byłoby z jej strony nieuczciwe.

- Na razie nic nie mów - odezwał się Michael i z uśmiechem wziął ją za rękę. - Chodź, wracajmy do gości, moja najmilsza. Nie powinnaś dłużej stać tutaj na zimnie. Wiem, że Lorenzo na pewno by nie chciał, abyś resztę życia spędziła w zgrzocie.

- Szkoda, że nie jesteśmy w Rzymie - przyznała Kathryn.
- Tam jest dużo ciepłej.

Po raz pierwszy od wielu tygodni szczerze się uśmiechnęła. Posłusznie poszła z Michaeliem w stronę domu.

Nagle muzyka umilkła. Urwał się gwar rozmów, słychać było jedynie podniecone szepty. Kathryn odruchowo wyczuła, że coś się stało. Zmienił się nastrój zabawy. W napięciu weszła na salę. Wszyscy goście patrzyli w tym samym kierunku. Na co? Na kogo? Goście zauważyli ją i w jednej chwili tłum rozstał się, niczym morze przed Izraelitami uchodzącymi z Egiptu. Zapadła głucha cisza. Kathryn jęknęła cicho na widok czarno odzianej postaci.

Świat zawirował jej przed oczami. Nie, to nieprawda. To jakieś zwidy, przywołane głęboką tęsknotą. Zbladła jak kreta i osunęła się na ziemię. Zanim upadła, dwóch mężczyzn pospieszyło jej z pomocą.

Lorenzo był szybszy. Chwycił ją w ramiona i uniół jak piórko. Zacisnął usta i z nienawiścią w oczach popatrzył na Michaela.

- Nie zapominaj, że to moja żona.

- Wszyscy myśleli, że nie żyjesz. Kathryn ogromnie cierpiała. - Michael też był bardzo zły, bo zrozumiał, że tym razem stracił ją na zawsze. - Stałem przy niej w najgorszych chwilach.

- Porozmawiamy o tym później.

Lorenzo odwrócił się i odszedł, unosząc ze sobą omdlałą Kathryn. Otaczała go aura władzy i nikt nie śmiał go zatrzymać. Twarz mu płonęła gniewem. Kiedy stanowczym głosem spytał, którądy do komnaty Kathryn, służba rzuciła się, żeby mu wskazać drogę.

Sir John obserwował to wszystko z drugiego końca sali. Miał nadzieję, że Michael dei Ignacio okaże się bardziej stanowczy wobec signora Santoriniego. Ale wystarczył mu jeden rzut oka na Lorenza, aby przekonać się, że wszelki opór jest tu niemożliwy. Signor Santorini przyszedł po swoją własność.

Mimo to sir John zastąpił mu drogę.

- Moja córka, panie?
- Przy mnie będzie bezpieczna.
- Poślubił ją pan pod fałszywym nazwiskiem.
- Nieprawda. Jestem adoptowanym synem Antonia Santoriniego i jego prawnym spadkobiercą. Mój prawdziwy ojciec zgodził się, abym na razie pozostał przy tym nazwisku, dopóki nie przejmę rodzinnego majątku. Mam nadzieję, że stanie się to jak najpóźniej.

Kathryn jęknęła głucho.

- Proszę ją zanieść do jej pokoju - powiedział sir John. W jego głosie pobrzmiwał cień goryczy. - Rozchorowała się z rozpaczy.

Lorenzo lekko skinął głową. Służący wskazał mu drogę na górę, do komnaty Kathryn. Pokojówki w pośpiechu przygotowywały łoże. Odrzuciły kołdry. Lorenzo delikatnie złożył swoje brzemie na czystym lnianym prześcieradle. Panny służebne przypatrywały mu się szeroko rozwartymi oczami. Odprawił je krótkim ruchem dłoni.

Kathryn poruszyła się. Miała mokre oczy. Zatem płakała, chociaż wchodząc na salę, trzymała Michała za rękę. Lorenzo z nienawiścią myślał o dawnym przyjacielu. Miał

ochotę go zabić. Czyżby Michael zdołał zawładnąć sercem jego Kathryn?

Z wolna uniosła powieki. Przez długą chwilę wpatrywała się w ukochaną twarz męża, jakby nie wierzyła własnym oczom. Westchnęła i ponownie zamknęła oczy. Samotna łza spłynęła jej po policzku.

- Wybacz, że tak cię wystraszyłem.

- To naprawdę ty, Lorenzo? Mówili mi, że już nie ma najmniejszej nadziei... Że... że nie żyjesz...

- A gdybym tak naprawdę umarł? - burknął z gniewem.

- Co wtedy? Wyszłabyś za Michaela?

- Nie! - Uniosła się wyżej na poduszkach. Słabość minęła, ale wciąż czuła gorzki smak w ustach. Rozbolała ją głowa. - Dlaczego tak patrzysz na mnie? Przecież znasz prawdę! Kocham cię...

- Czy na pewno? Poszłaś gdzieś z Michaelem, i to w połowie balu wydanego z okazji zaręczyn brata. Może jesteście kochankami? Trudno się dziwić. Od miesiący nie miałaś żadnej wiadomości. Choć, prawdę mówiąc, nie przypuszczałem, że zapomnisz o mnie aż tak szybko.

- Jak możesz myśleć, że cię zdradziłam? - zapytała zdumiona Kathryn. W oczach Lorenza zobaczyła błysk dawnej niechęci. Na pewno winił ją za to, co się stało. - Ojciec zmusza mnie do małżeństwa. Nie chciałam tego, ale on jest okropnie uparty. Michael obiecał, że będzie cierpliwy... - Urwała, widząc minę Lorenza. Był wściekły! - Zaproponował mi białe małżeństwo. Poprosiłam go o czas do namysłu.

- Uwierzyłaś mu? - z pogardą w głosie spytał Lorenzo.
 - Mógłby cię pojąć w każdej chwili. Potrzebny mu tylko pozór. Ja też cię pragnę, Kathryn. Dotychczas nigdy tak nie pragnąłem.

Zadrżała pod jego namiętym spojrzeniem.

- Nie szukałam drugiego męża.

- Ale uległaś namowom ojca i Michaela. Myślałem, że nasza miłość jest dużo silniejsza.

- Bo jest! - zawołała z rozpaczą. Popatrzyła na niego błagalnym wzrokiem. - Wiesz, że cię kocham. Zawsze kochałam.

- Nawet w dzieciństwie? - zapytał gorzko. - Pokochałaś Lorenza i niemal natychmiast zapomniałaś o biednym Dickonie. Teraz nawinał ci się Michael...

Był dla niej niesprawiedliwy!

- To nieprawda! Jestem tylko twoja, Lorenzo! Zawsze byłam...

- Tak, jesteś moja. - Pokiwał głową. - Dobrze, że chociaż pod tym względem się zgadzamy.

Wstał z łóżka. Kathryn popatrzyła na niego z przerażeniem.

- Nie odchódź!

- Musisz odpocząć. Ostatnio miałaś za dużo wrażeń. Porozmawiamy innym razem. Zaraz tu przyślę pokojówkę, żeby się tobą zajęła. Z samego rana pojedziemy do Mountfitchet. - Popatrzył na nią beznamiętnie. - Wciąż jesteś moją żoną, Kathryn, chociaż twój ojciec wolałby zapewne zupełnie inne rozwiązanie. Pojedziesz ze mną. Nie zwykłem

łatwo rezygnować z tego, co mi się słusznie należy, i równie łatwo nie przebaczam.

Kathryn przez chwilę wpatrywała się w zamknięte drzwi. Nie winiła go za to, że się gniewał. Na pewno widział w niej przyczynę swojego nieszczęścia. Miłość sprawiła, że zapomniał o czujności i wpadł w ręce wroga.

Tak długo czekała na jego powrót. Zawsze wierzyła, że wciąż żyje. Teraz, gdy wrócił, znów odciął się od niej i zniknął za grubymi drzwiami. Już jej nie kocha.

Do Mountfitchet Hall pojechali konno. Panował przenikliwy mróz, w powietrzu wirowały drobne płatki śniegu. Kopyta głucho stukały o zmarzniętą ziemię. Kathryn jechała u boku męża. Raz po raz zerkała na jego zaciętą twarz. Towarzyszyły im dwie służące i dziesięciu zbrojnych.

Wreszcie przybyli do Mountfitchet. Lorenzo poruszał się całkiem swobodnie, jakby zajrzał tu dużo wcześniej, przed wizytą w majątku sir Johna. Służba powitała go z szacunkiem, niczym dziedzica.

- Byłeś tutaj? - spytała Kathryn, gdy przywitania dobiegły końca i znaleźli się sami w komnacie na prawo od wielkiej sali.

- Nie. Przyjechałem prosto do ciebie. Dlaczego pytasz?

- Zachowujesz się tak, jakbyś znał tu wszystkie kąty.

- Mieszkałem tutaj przez dwanaście lat, Kathryn - odparł z powagą.

Popatrzył na nią z wyraźnym napięciem. W tej chwili wydawał jej się mniej odległy niż przed paroma godzinami.

Kathryn szeroko otworzyła oczy.

- A zatem odzyskałeś pamięć? Charles mówił nam, że masz mgliste wspomnienia, ale...

- Wszystko pamiętam, Kathryn. Tak jakby to było wczoraj.

- Pamiętasz tamten dzień na plaży? Piratów, napad...

Skinął głową.

- Nienawidzisz mnie za to, co się wtedy stało?

- Niby dlaczego? - wyraźnie się zdziwił.

- To moja wina. Namówiłam cię na tę eskapadę.

- Byłem wystarczająco duży, aby dokładnie zdawać sobie sprawę z tego, co robię. Lepiej od ciebie wiedziałem, na co się narażam.

- Kazałeś mi uciekać. Za późno sprowadziłam zbrojnych. Przez całe życie miałam wyrzuty sumienia, że nie zostałam tam, aby cię bronić.

- Przecież byłaś zaledwie dzieckiem. Co byś zrobiła w walce z piratami? Na pewno wpadłabyś w ich ręce. Wiesz, co by cię spotkało? Wiesz, gdzie byś była teraz?

- Nie kpij ze mnie, Lorenzo. Nie zniosę tego.

- Przepraszam. Źle mnie zrozumiałaś. Po prostu nie życzę ci takiego losu.

- Pozwól zatem, że teraz udam się do siebie. Muszę trochę odpocząć.

- Oczywiście. - Zdawkowo skinął jej głową. Był pe-

łen szacunku, ale daleki, niemal obcy. - Mam jeszcze parę spraw do załatwienia. Ojciec powierzył mi pełną pieczę nad majątkiem.

Kathryn spojrzała na niego spod oka.

- Chcesz tu zamieszkać?

- A ty?

- Byłam szczęśliwa w Rzymie. - Dumnie uniosła głowę.

- Nawet dość często.

- Co to znaczy, Kathryn?

- Cokolwiek zechcesz - odpowiedziała. Nagle poczuła narastającą złość. Tyle się wycierpiąta. Nie miał prawa tak jej traktować! - Jeżeli nie wiesz, to nie chce mi się tego dokładniej wyjaśniać.

Odwróciła się i wyszła z pokoju. Przez chwilę myślała, że Lorenzo pobiegnie za nią, jednak tego nie zrobił.

Nie zrobił, bo nie tęsknił za jej miłością. Stała się dlań ciężarem. Kiedyś w Rzymie powiedział wprost, że nie szukał głębokich uczuć. Wtedy zdołała jakoś przekonać go do siebie. Teraz wrócił tylko dlatego, że uważał ją za swoją własność, lecz tak naprawdę wcale jej nie potrzebował.

Lorenzo został sam w pustym pokoju. W powietrzu wciąż unosił się delikatny zapach perfum, których używała Kathryn. Miękkie smukłe ciało, jedwabista skóra i słodkie pocałunki... Zawsze o nich pamiętał, i tylko dlatego udało mu się przetrwać w pirackiej niewoli. Cóż się zatem zmieniło? Dlaczego właśnie teraz odsunął się od żony?

Czyżby to zwykła zazdrość? Kathryn przez całą drogę uparcie milczała. Była bardzo blada, a w jej oczach czaiło się cierpienie. To głównie moja wina, uznał Lorenzo. Wpadłem w złość, kiedy nieoczekiwanie ujrzałem ją z Michałem. W duchu przeklinał swoją obesowość. Życie nauczyło go, że trzeba być twardym, ale za sprawą Kathryn stał się innym człowiekiem. A może teraz wracał do dawnych przyzwyczajień? Może to jednak było od niego silniejsze? Przecież tak bardzo tęsknił za jej perlistym śmiechem...

Nie, postanowił w duchu. Wrócą chwile szczęścia! Wrócą radosne dni, które spędziliśmy w Rzymie. Kathryn znów będzie moja. Muszę o nią walczyć.

A jeśli przegram? Na moment opadło go z wątpienie. Potrafiłbym z niej zrezygnować?

Nie! Natychmiast odrzucił tę możliwość. Należy do niego! I tylko do niego. Tak łatwo się nie poddam! - pomyślał. Za wszelką cenę odzyskam jej utraconą miłość.

Kathryn była w ogrodzie, kiedy usłyszała wołanie Lorenza. Zatrzymała się, żeby na niego poczekać. Do tej pory widywali się tylko w porze posiłków, głównie podczas kolacji. Lorenzo najwyraźniej miał niemało zajęć związanych z uporządkowaniem spraw majątkowych. Ciągle pracował od dnia, w którym przybyli do Mountfitchet.

- Nie za zimno na spacer? - spytał, podchodząc bliżej.
- Trochę zimno - odpowiedziała zdawkowym tonem.

Miała ochotę dodać, że to właśnie przez jego zachowanie wybrała się na samotną przechadzkę.

- Może wrócimy razem do domu? - Podał jej ramię.
- Mam ciekawe wieści. Dostałem list od Jej Wysokości królowej Elżbiety. Ponoć usłyszała o kilku wydarzeniach. Chciałaby się dowiedzieć czegoś więcej o bitwie pod Lepanto.

Królowa pytała także o Lorenza. Mówiono jej, że w młodości został porwany z Anglii przez piratów. Zawsze była ciekawa takich historii. Lubiła się otaczać młodymi i dzielnymi ludźmi.

Kathryn ciężko westchnęła. Zatem zamierzał znów wyjechać?

- Kiedy wybierasz się na dwór królewski?
- Pojedziemy tam razem. Najwyższa pora, żeby moja żona wreszcie zaznała nieco przyjemności. W Londynie kupię ci kilka ładnych rzeczy. Co powiesz na pierścionek lub naszyjnik z pereł? Nie rozpieszczałem cię prezentami. Nigdy nie miałem na to czasu.

Kathryn spojrzała mu prosto w oczy. Nie rozumiała tego zachowania. Czyżby nie wiedział, że jego miłość jest najlepszym podarunkiem? Nie marzyła o niczym innym.

- Zawsze byłeś dla mnie szczodry, Lorenzo. W Rzymie niczego mi nie brakowało.
- Niczego, Kathryn? Aby na pewno?
- Owszem, Lorenzo. Czasem dawałeś mi dużo więcej, niż się spodziewałam.

- Kathryn... - zaczął, ale w tej samej chwili podbiegł do nich służący z wielce zaafetowaną miną. Najwyraźniej miał do przekazania pilną wiadomość.

- O co chodzi? - warknął Lorenzo. Nie chciał, żeby mu teraz przeszkadzano.

- Przynoszę wieści dla lady Kathryn, panie - padła odpowiedź. - Jej ojciec, sir John, poważnie zapadł na zdrowiu. Przed śmiercią chciał się rozmówić z córką.

- Jak to przed śmiercią?! - z przerażeniem zawołała Kathryn. Niepewnie zerknęła na męża. - Co się stało? Przecież w ogóle nie chorował!

- Jedziemy - oznajmił Lorenzo. - I to natychmiast. - Spojrzył na żonę. - Nie przejmuj się, moja ukochana. Na pewno nie stało się nic poważnego.

Pełnym czułości tonem nazwał ją „swoją ukochaną”! W tej chwili nie mogła myśleć o sobie. Ojciec był chory i czekał na nią...

Ze łzami w oczach pobiegła za mężem. Co prawda, po powrocie do Anglii wiele razy kłóciła się z ojcem, ale nie chciała, żeby umarł niepogodzony z własną córką.

Sir John leżał z zamkniętymi oczami. Kathryn podbiegła do niego i uklęknęła obok łóżka. Powoli rozwarł powieki.

- Kathryn, moje najdroższe dziecko... Wybacz mi...

- Ojciec. - Z trudem powstrzymywała łzy. - Nie mam ci nic do wybaczenia. Kocham cię.

- Byłem dla ciebie bardzo niedobry - odparł szeptem.

Nie miał siły mówić. Wyciągnął rękę i delikatnie pogładził ją po dłoni. - Chciałem tylko, żebyś po mojej śmierci miała zapewnioną przyszłość. Bałem się, że umrę, zanim wyjdiesz za mąż.

- Nie wolno ci umrzeć, tato. Kocham cię. Nie chcę, żebyś umierał!

- Już od kilku miesięcy wiedziałem, że długo nie pożyję. Właśnie z tego powodu zabrałem cię do Anglii. Nie mogłem cię zostawić samej w Rzymie, skazanej na wyroki losu. Ufałem w to, że znajdę ci dobrego męża. Teraz, kiedy Lorenzo wrócił, mogę spokojnie zamknąć oczy. Przebaczysz mi, moja córeczko?

Kathryn pocałowała ojca.

- Kocham cię - powtórzyła. - Zawsze byłeś dla mnie najczulszym i najlepszym ojcem. Wprawdzie ostatnio zupełnie nie rozumiałam twojego zachowania, ale teraz... - Zdusiła szloch. - Jeśli to cię pocieszy, ojcze, masz moje pełne przebaczenie.

- Dziękuję - odparł ze słabym uśmiechem. - Posiedź tu przy mnie chwilę. Chcę wiedzieć, że jesteś blisko.

Kathryn miała oczy pełne łez, ale wciąż nie płakała. Niedawno miała żal do ojca za to, że próbował zmusić ją do powtórnego małżeństwa. W tym momencie czuła jedynie smutek. Dręczyło ją, że nie zauważyła u niego oznak śmiertelnej choroby.

Przesiedziała przy nim większą część nocy, aż wreszcie brat przekonał ją, że powinna trochę odpocząć.

- Lorenzo chce, abyś przespaała się parę godzin -

powiedział. - Teraz moja kolej. Zawołam cię, gdybyś była potrzebna.

- Nie wiedziałam, że on jest tak bardzo chory.

- Nikt nie wiedział, Kathryn. Ojciec skrzętnie ukrywał to przed nami. Uparł się, że pojedzie sam do Wenecji, chociaż od początku chciałem mu towarzyszyć. Ta podróż chyba ostatecznie nadwątlila jego siły. Od powrotu czuł się wyraźnie gorzej.

Tymczasem ona, pogrążona w smutku po stracie męża, nie zwróciła na to najmniejszej uwagi! Czując wyrzuty sumienia, poszła do swojej sypialni. Miała nadzieję, że Lorenzo choć trochę ją pocieszy, że utuli w ramionach, szepnie czułe słowa. Niestety, nie przyszedł. Kathryn długo kręciła się w miękkim łóżku, zanim wreszcie zasnęła.

Lorenzo zjawił się następnego ranka. Kathryn właśnie się ubierała. Z niepokojem spojrzała na jego przygnębioną minę.

- Gorzej z nim?

- Na pewno nie lepiej. Rozmawiałem z medykami. Nie dają mi większych nadziei. Przykro mi, Kathryn. Wiem, jak cierpisz.

- Tak, to prawda - przyznała. - Tym bardziej że ostatnio ciągle się z nim sprzeczałam.

- Przeze mnie?

- Tak... - chlipnęła. - Zupełnie nie wiedziałam, dlaczego mu tak zależy na moim małżeństwie. A on to robił tylko dla mojego dobra.

- Wybacz mi, że niespodziewanie stanąłem między wami.
- Nie przepraszaaj - odparła. - Byłam przekonana, że już straciłam cię na zawsze. Nie zwracałam uwagi na nic, co się wokół działo.

- Myślałaś, że nie żyję? Płakałaś po mnie? - Lorenzo z napięciem spoglądał jej prosto w oczy, jakby szukając prawdy.

- Oczywiście - odparła bez wahania. - Nie było dnia, w którym nie żałowałam, że nie umarłam razem z tobą. Kiedyś wybrałam się na brzeg skały, gdzie... Chyba chciałam się rzucić w morze. Na szczęście zjawił się Michael.

- Uratował ci życie?

- Raczej ocalił mnie przed grzechem, który rozłączyłby nas na zawsze. Nie chciałam żyć bez ciebie.

-Kathryn... - zaczął Lorenzo nabrzmiałym z przejęcia głosem. - Spróbuj mi wybaczyć całkowicie niestosowne zachowanie. Kiedy ujrzałem, że Michael trzyma cię za rękę...

Nie dokończył, bo w tej samej chwili zjawił się służący.

- Pani Kathryn - powiedział - jest pani potrzebna na dole. Sir John umiera i chciałby się z panią zobaczyć.

- Och nie! - krzyknęła Kathryn. Lorenzo złapał ją za rękę i uściskał.

- Pójdiesz ze mną? - spytała, patrząc błagalnym wzrokiem.

- Oczywiście - odparł. - Zawsze będę przy tobie w chwilach największej potrzeby. Jeśli Bóg da, już nigdy nic nas nie rozłączy.

Uśmiechnęła się, ale jej oczy były pełne łez. Pospieszyli do komnaty sir Johna. Rzeczywiście umierał. Błady jak kreda, leżał z zamkniętymi oczami. Philip klęczał przy łóżku ze złożonymi rękami i głową pochyloną w modlitwie. Kathryn podeszła bliżej. Sir John z trudem otworzył oczy.

- Moja najdroższa córeczko - szepnął - pocałuj mnie po raz ostatni.

Kathryn pochyliła się nad nim i przycisnęła usta do jego wychudłego policzka. Skórę miał cienką jak bibuła.

- Tylko obiecaj mi, że nie będziesz płakać - powiedział.
- Wiem, że jesteś bezpieczna i w troskliwych rękach. - Popatrzył na Lorenza. - Niech pan ją kocha tak mocno jak ona pana.

- Jeszcze nikogo w życiu bardziej nie kochałem - zapewnił go Lorenzo.

- Cieszę się.

Sir John zamknął oczy. Wciąż trzymał córkę za rękę, lecz jego uścisk nagle zelżał i dłoń opadła bezwładnie. Odszedł.

Kathryn wydała zduszony jęk, kiedy zrozumiała, co się stało. Na szczęście Lorenzo był tuż przy niej. Wziął ją w ramiona, przytulił do siebie i pozwolił wypłakać się na swoim ramieniu.

- Poszedł prosto do nieba - powiedział, aby ją pocieszyć.

- Do naszej matki - dodał Philip. - Chyba od lat tego właśnie pragnął.

Pochylił się nad ojcem, zamknął mu powieki, położył na nich drobne monety i zakrył twarz zmarłego prześcieradłem.

- Niech kobiety teraz się nim zajmą.

Wyszli z pokoju. Kathryn szła wsparta na ramieniu męża. Przystanęła, kiedy znaleźli się w korytarzu. Nie mogła już dłużej walczyć ze łzami.

- Pozwólcie, że was opuszczę - powiedziała cicho. - Chcę być sama.

- Oczywiście.

Lorenzo patrzył za nią przez chwilę. Szła prosto, z wysoko uniesioną głową. Nie potrzebowała go w momencie największego smutku.

Nagle poczuł się samotny. Co prawda, Kathryn zapewniała go o swej miłości, ale... Być może nie całkiem mi wybaczyła? - pomyślał z nagłym przygnębieniem.

Kathryn płakała, aż jej zabrakło łez. Potem, sama nie wiedząc kiedy, zasnęła z wyczerpania. Obudziła się dopiero w nocy. Ktoś rozpałił ogień w kominku i okrył ją ciepłym kocem. Łóżko jednak było puste.

Gdzie Lorenzo? Postanowiła go poszukać. Wstała, wzięła płonąca drzazgę z kominka i zapaliła świecę. Zanim jednak podeszła do drzwi, w progu stanął Lorenzo. Przez kilka sekund patrzył na nią w milczeniu.

- Myślałem, że śpisz.

- Spałam. - Głęboko zaczerpnęła tchu. - Obudziłam się dopiero przed chwilą. Chciałam cię poszukać. Cze-

mu nie kładziesz się koło mnie, jak przystało na prawowitego męża?

- Nie byłem pewny, czy tego pragniesz.

- Jeszcze w to wątpisz? Czyż nie dałam ci wystarczających dowodów miłości?

- Nie zdziwiłbym się, gdybyś w pewnej chwili poczuła do mnie nieodpartą niechęć - odparł. Popatrzył na nią z poważną miną. - Przeze mnie wpadłaś w ręce Hiszpanów. Dwa razy cudem uniknęłaś śmierci. Przeżyłaś ze mną ciężkie chwile w Rzymie. Z mojego powodu pokłóciłaś się z rodzonym ojcem...

- Cicho, mój skarbie. - Kathryn podeszła do męża i położyła mu palec ustach. Poczuł kuszącą woń jej perfum. Zapach rozkoszy i obietnicy. Uśmiechnęła się do niego tak czule, że mu dech zaparło. - Czasami byłam na ciebie zła, ale to już odległa przeszłość. Pokochałam cię od pierwszej chwili, gdy spotkaliśmy się w Wenecji. Serce podpowiadało mi, że jesteś Dickonem, chociaż rozum uparcie temu się sprzeciwiał. Panie Lorenzo Santorini, Richardzie Mountfitchecie, jestem twoja. Będę cię kochać do końca życia.

- Kathryn - powiedział ze wzruszeniem. Mocno przygarnął ją do siebie. - Nie zasłużyłem na taką żonę. Nie zasłużyłem na taką miłość.

- Całkiem możliwe - mruknęła z udawaną drwiną. - Masz całe życie na to, żeby się poprawić.

- Całe życie? - powtórzył z cichym śmiechem. - Powiedz raczej, że całą wieczność. Kocham cię, Kathryn. Ko-

cham w tobie wszystko: uśmiech, zapach, aksamitne ciało. Nocami marzę o twoich pocałunkach.

- Już się nie boisz, że miłość zagłuszy instynkt wojownika? - zapytała. - Przecież w Rzymie...

- Byłem wtedy okropnie głupi - odparł i uciszył ją lekkim całusem. - Przez twoją miłość stałem się silniejszy, Kathryn. Dzięki niej żyję. Dzięki niej jestem teraz z tobą.

- Jak to? - spytała z bezbrzeżnym zdziwieniem.

- Oszczędziłem syna Raszida, Hassana. Ów mściciel, którym niegdyś byłem, nigdy nie zrobiłby czegoś takiego. Hassan, pamiętając o tym, że pozwoliłem mu odejść wolno, nie skazał mnie ani na tortury, ani na śmierć. W miejsce tego wypuścił mnie na wolność. Po śmierci ojca przejął pirackie imperium Raszida, lecz jest zupełnie innym człowiekiem. Zawarliśmy rozejm. Nie będziemy na siebie napadać. To z kolei oznacza, że mogę zrezygnować z części wojennej floty i skupić się na handlu.

- Wierzysz mu?

- Raczej tak. Kiedyś Wenecja zawarła podobny pakt z Turkami. Zanim wyjechałem z Rzymu, słyszałem, że doża nosi się z zamiarem odnowienia dawnych układów. Wprawdzie niektórzy uważają to za zdradę interesów Świętej Ligi, ale kupcy stworzyli potęgę Wenecji i tylko kupcy mogą ją utrzymać.

- Zamieszkamy zatem w Wenecji?

- Przecież podobno najszczęśliwsza byłaś w Rzymie. - Lorenzo się roześmiał. - W Wenecji mogę nadal prowadzić interesy. Nasz dom jednak będzie w Rzymie. Mój oj-

ciec też zamierza osiąść tam na stałe. Spodobało mu się Wieczne Miasto.

- Obiecay mi, że gdy będziesz wyjeżdżał do Wenecji, za każdym razem zabierzesz mnie ze sobą - poprosiła Kathryn. - Nie chcę już z tobą się rozstawać.

- Ani ja z tobą - odparł, tuląc ją w ramionach. - Moje życie bez ciebie jest zupełnie puste.

Popatrzyła na niego i w jej oczach zamigotały przekorne isierki.

- W takim razie, chodźmy do łóżka, Lorenzo. Chcę, żebyś był przy mnie jak najbliżej.

- Na pewno? - spytał zduszonym głosem. Jeszcze się trochę wahał. - Niedawno mówiłaś, że wolisz być sama.

- Tylko przez chwilę - odpowiedziała. - Opłakiwałam ojca. Teraz pragnę zapomnieć o smutku. Zbyt wiele łez już wylałam. Chcę być z tobą, Lorenzo. Chcę, żebyś mnie kochał.

- Kocham cię, moja najdroższa. Zrobię wszystko, żebyś była szczęśliwa.

- Skoro mnie kochasz, to niczego więcej do szczęścia mi nie potrzeba. - Wzięła go za rękę i pociągnęła w stronę łóżka.

Ich miłość była namiętna i czuła, jakby chcieli przypięcztować wszystkie wcześniejsze obietnice. Kathryn miała łzy w oczach.

Lorenzo delikatnie otarł jej policzki.

- Dlaczego płaczesz, kochanie? Wybacz, jeżeli byłem zbyt namiętny, ale tak bardzo się stęskniłem.

- Nie, Lorenzo. - Pocałowała go. - To są łzy radości

i uniesienia. - Uśmiechnęła się. - Coś mi podpowiada, że nasz syn pocznie się właśnie dzisiejszej nocy.

- Dzieci przyjdą na świat we właściwym czasie - odrzekł i zanurzył twarz w *jej* włosach. - Na razie mamy tylko siebie. Kocham cię, Kathryn.

Westchnęła z zadowoleniem. Nareszcie czuła się całym bezpiecznie w silnych ramionach męża.

Rozdział trzynasty

- Jesteś grubsza niż ja byłam w czasie ciąży - powiedziała ze śmiechem Elizabeta.

Kathryn tylko westchnęła ciężko i rozmasowała obolały krzyż.

- Biedna mała. Ostatni miesiąc zawsze dłuży się bez końca, prawda?

- Ale nie tak jak nasz pobyt na dworze królowej Elżbiety - ze skwaszoną miną odparła Kathryn. - Lorenzo ogromnie przypadł jej do gustu. Dniem i nocą chciała go mieć w pobliżu siebie. Zatrzymałaby go na stałe, gdyby tylko mogła. Już myślałam, że nigdy się stamtąd nie wyrwiemy.

- Na szczęście jesteś z powrotem w Rzymie. Cieszę się, że przyjechałaś.

- Ja też - odpowiedziała Kathryn. - Chcę, żeby Lorenzo miał zdrowego i silnego syna. Z drugiej strony, nie mogę się doczekać, kiedy w końcu odzyskam poprzednią figurę.

- Zawsze jest tak samo - uspokoiła ją Elizabeta. - Naj-

ważniejsze, że Lorenzo wciąż uważa cię za najpiękniejszą. Nic się nie martw. Nawet nie spojrzy na inną kobietę.

Kathryn się uśmiechnęła. Nie potrzebowała zapewnień o wierności męża. W ciągu minionych kilku miesięcy nieraz dawał jej dowody niesłabnących uczuć.

Po powrocie do Rzymu chyba jeszcze trochę boczył się na Michaela, ale teraz kapitan dei Ignacio był szczęśliwym mężem Isabelli i mieszkał w Wenecji. Miał własną flotę, chociaż nie zerwał kontaktów z Lorenzem. Pozostali dobrymi przyjaciółmi. Lorenzo sprzedał część wojennych galer. Jego statki bezpiecznie pływały od portu do portu. Hassan dotrzymał słowa. Bitwa pod Lepanto przywróciła spokój na całym obszarze Morza Śródziemnego.

Lorenzo znów wyjechał gdzieś w interesach. Kathryn nie mogła mu towarzyszyć ze względu na zaawansowaną ciążę.

- Będę w pobliżu - obiecał. - Wrócę na każde wezwanie. Na razie zostaniesz pod troskliwą opieką przyjaciółek.

Kathryn cieszyła się z odwiedzin Elizabety. Tego dnia każdy ruch sprawiał jej dużą trudność. Pomału wstała i przeszła w drugi kąt ogrodu, żeby powąchać wyjątkowo piękną różę. Ledwie odgięła plecy, chwyciły ją gwałtowne bóle.

Głośno krzyknęła. Z ogromnym niepokojem spozrzała na przyjaciółkę.

- Chyba... Och! - znowu krzyknęła, czując skurcze. - Dziecko... - Strach odbił się w jej oczach. - To już? A myślałam, że dopiero za parę dni.

- Czasami poród bywa nieco wcześniej - zauważyła Elizabeta. - Nie ma powodu do niepokoju.

- Och... - Kathryn z trudem łapała oddech. Bóle stawały się silniejsze. - Chyba powinnam pójść do siebie.

W progu natknęła się na teścia. Charles tylko spojrzał na jej pobladłą twarz i od razu zrozumiał, co się dzieje. Natychmiast wezwał służbę.

- Idź do łóżka, kochanie. Zaraz pošlemy po lekarza. Pchnę także gońca do Lorenza. Powinien teraz być przy tobie.

- Dziękuję.

Kathryn przygryzła usta, żeby nie krzyczeć. Dławił ją coraz większy strach. Pokojówki pomogły jej zdjąć suknię i ostrożnie położyły ją do łóżka. Potem pobiegły po ręczniki i gorącą wodę.

Elizabeta usiadła obok przyjaciółki i wzięła ją za rękę. Kathryn bardzo cierpiała.

- Dobrze, dobrze - powiedziała Elizabeta. - Ja nie miałam tak silnych bólów. Pewnie urodzisz szybciej ode mnie.

Kathryn nie mogła wykrztusić ani słowa. Jęczała głośno. Zebrało jej się na parcie.

- Idzie! - w pewnej chwili krzyknęła Elizabeta. - Och, moja droga. Już widać główkę. Jeszcze trochę i zaraz będzie po wszystkim. Przyj mocniej!

Kathryn zrobiła, jak jej kazano. Zaniosła się rozdzierającym krzykiem - i w tej samej chwili usłyszał ją Lorenzo, który właśnie przybył, wezwany przez posłańca.

Zanim zdążył pobiec na górę, wpadł w ramiona ojca. Charles go przytrzymał.

- Poczekaj chwilę, synu. Są z nią służące i Elżabeta.

- Ona mnie woła! Natychmiast muszę ją zobaczyć!

Jeszcze nie skończył mówić, kiedy rozległ się głośny płacz dziecka.

- Już po wszystkim - powiedział z ulgą Lorenzo.

Wyrwał się z rąk ojca i pobiegł na górę. Kathryn znowu krzyknęła przeraźliwie.

- Kathryn? - Lorenzo niepewnie zatrzymał się w progu. Elżabeta posłała mu ostrzegawcze spojrzenie. - Myślałem, że dziecko już się urodziło.

- Twój syn niecierpliwie wyrwał się na świat, mój panie, ale jest jeszcze jeden maluch. I to może jednak trochę potrwać

- Drugie dziecko? Bliźnięta? - Lorenzo zbladł, gdyż wiedział, że podwójny poród może znacznie nadwzględnić siły żony. Podbiegł do łóżka i chwycił Kathryn za rękę. - Wybacz mi, moja miłości.

Kathryn przecząco pokręciła głową. Nie mogła mówić. Jej pobielające palce niczym szpony wbijały się w dłoń Lorenza.

- Nasz... syn... - wydyszała w końcu. - Daj mu na imię Dickon. Gdyby... coś mi się stało...

- Nic się nie stanie! - zawołał z przejęciem. Niecierpliwie rozejrzał się po komnacie. - Gdzie medyk? Dlaczego po niego nie posłano?

- Został wezwany już na początku - uspokajała go Elżabeta. - Ale twój syn urodził się od razu. - Pokazała mu dziecko owinięte w miękkie pieluszki. - Czyż nie jest piękny?

- Tak, ale na Boga, wolałbym mieć jedynaka! - zawołał po-
bladły Lorenzo. Z przerażeniem patrzył na cierpienia Kath-
ryn. Jeszcze nigdy nie czuł się tak bezradny. - Do stu pioru-
nów! - huknął w końcu. - Gdzie ten przeklęty lekarz?

- Tutaj, signor Santorini. Do usług.

Lekarz wszedł do pokoju. Był to niski, chudy mężczyzna
w ciemnym ubraniu. Niósł drewniane puzderko, w którym
trzymał wszystkie niezbędne instrumenty, związane z jego
zawodem.

- Ona cierpi! - zawołał Lorenzo. - Niechże pan jej po-
może!

- Proszę wyjść, signor. Zaraz ją zbadam. Może tu pozo-
stać tylko jedna kobieta.

Lorenzo zachnął się, jakby chciał odmówić, ale Elizabeta
posłała mu znaczące spojrzenie.

- Zostanę z nią - obiecała. - Signor Viera to człowiek ze
wszech miar godzien zaufania. Na pewno zrobi wszystko,
żeby ratować Kathryn. Mnie także pomógł.

Lorenzo pocałował żonę w czoło. Było mokre od potu.

- Niedługo wrócę - obiecał.

Na korytarzu spotkał ojca, który niespokojnie czekał na
wieści.

- Co się tam dzieje? - zapytał Charles.

- Kathryn urodziła zdrowego chłopca - odparł Lorenzo.

- Ale jest jeszcze jedno dziecko.

- Boże miłosierny! - Charles przeżegnał się zamazy-
stym ruchem. - Dobrze chociaż, że przyszedł lekarz.

-A co to zmienia? - burknął Lorenzo. Nie pokładał

zbytniej wiary w lekarzach. Bał się, że straci najukochańszą istotę na świecie.

Medyk wyszedł z pokoju dopiero po kilku minutach.

- Drugie dziecko leży pod złym kątem. Obawiam się, że muszę je odwrócić przy pomocy narzędzi. To może spowodować pewne obrażenia. Obawiam się jednak, że pańska żona nie zdoła sama urodzić.

- Niech pan ratuje Kathryn - wpadł mu w słowo Lorenzo. - Ona jest najważniejsza.

- Jak pan sobie życzy.

Lekarz zniknął za drzwiami. W pierwszej chwili Lorenzo chciał iść za nim, ale Charles stanowczo go powstrzymał.

- To nie miejsce dla ciebie, synu.

- Muszę być przy Kathryn!

- Wiem, co czujesz, ale to już sprawa doktora i Elizabety. Twoja matka zmarła, rodząc martwe dziecko. Chciałem wtedy być przy niej, jednak mnie odpędzała. Pójdiesz do Kathryn, jak będzie po wszystkim.

Lorenzo krążył po korytarzu niczym dziki zwierzę uwięziony w klatce. Czas dłużył mu się w nieskończoność. Wreszcie, gdy niecierpliwość wzięła nad nim górę, lekarz wyszedł z pokoju Kathryn.

- Pańska córka jest bardzo słaba, signor. Być może nie przeżyje dzisiejszej nocy. Żona potrzebuje dłuższego odpoczynku, ale raczej nie umrze. Niestety, nie wiem, czy będzie mogła mieć więcej dzieci.

- Jak ona się teraz czuje? - z niepokojem zawołał zdenerwowany Lorenzo.

- Powtarzam: powinna solidnie wypocząć - odparł lekarz. - Może ją pan zobaczyć, signor.

Kathryn leżała z zamkniętymi oczami, lecz otworzyła je, słysząc kroki męża. Na jej twarzy pojawił się wąły uśmiech.

Lorenzo delikatnie pocałował ją w usta.

- Mamy córkę i syna - szepnęła cichutko. - Czy to nie sprytne z mojej strony?

- Jesteś cudowna, kochanie. - Lorenzo popatrzył na nią z niekłamana miłością. - Dziękuję ci za syna. To najpiękniejszy podarunek, jaki mi mogłaś sprawić.

- A córka? Nie cieszysz się z niej?

- Oczywiście, że się cieszę - odparł z wahaniem. Postanowił jednak powiedzieć jej prawdę. - Doktor Viera uważa, że jest bardzo słaba. Możemy ją stracić, Kathryn, ale syn przeżyje.

- Ona też - stanowczo powiedziała Kathryn. - Damy jej na imię Beth.

- Dobrze, kochanie. - Lorenzo znów ją pocałował. - Teraz spróbuj zasnąć. Kocham cię. Kocham nasze dzieci. Niedługo znów do ciebie przyjdę.

Przez chwilę spoglądał na nią. Leżała, wysoko wsparta na poduszkach, z podkrążonymi oczami i bardzo blada, zmęczona walką o życie dzieci. Lorenzo zmówił w duchu żarliwą modlitwę. Dziękował Bogu za jej ocalenie.

- Jeśli jednak jesteś naprawdę nam łaskaw, Panie - dołożył głośniejszym głosem - to błagam, czuwaj dzisiejszej nocy nad naszą małą Beth.

Elizabeta skinęła na niego z drugiego kąta pokoju. Lo-

renzo podszedł do niej i spojrzał na drobną twarzączkę swojej maleńkiej córeczki.

- Piękna, prawda?

- Bardzo. Jak jej matka.

- I tak jak ona potrafi walczyć. Doktor jest w błędzie, mój Lorenzo - powiedziała Elizabeta. - Zobacz, jak silnie ssie mój palec. Zawołał teraz mamkę. Przekonamy się, co będzie dalej.

Lorenzo czule pochylił się nad córką.

- Żyj, kruszyno - powiedział z przejęciem. - Żyj dla siebie, dla mnie i dla swojej matki.

Miał wrażenie, że Beth uśmiecha się do niego. W tym momencie pokochał ją szczerą miłością, wcale nie słabszą od uczucia, które żywił dla Kathryn. Był głęboko wdzięczny żonie, że obdarzyła go tym maleństwem.

Był piękny, słoneczny dzień. Po raz pierwszy od ponad dwóch tygodni Kathryn zeszła na dół. Lorenzo zaniósł ją do ogrodu, posadził na fotelu, okrył kocem i podłożył pod plecy poduszkę. Kathryn rozejrzała się wokół siebie, uśmiechnęła na widok róż i wystawiła twarz do słońca. Była naprawdę szczęśliwa.

- Czuję się już zupełnie dobrze - powiedziała z szerokim uśmiechem.

- Mimo to nadal powinnaś wypoczywać - odparł Lorenzo. - Pamiętaj, lekarz wspominał o co najmniej trzech tygodniach.

- Gruba przesada. - Kathryn zrobiła nadaśaną minę. -

A pamiętasz, co mówił o Beth? Znow się pomylił. Dziewczyna rośnie jak na drożdżach.

- To zasługa Elizabety. Znalazła jej odpowiednią mamkę.

- Sama wolałabym ją karmić, ale Dickon jest tak zachłanny, że mi nie starcza mleka.

- Nic się nie przejmuj - mruknął Lorenzo. - Na pewno wie, że jest kochana. Cieszy się, kiedy bierzesz ją na ręce.

- Coś mi się zdaje, że dużo bardziej woli być u ciebie.

- Kathryn się roześmiała. - Natychmiast przestaje płakać. Hm... Chyba się domyśla, że jesteś jej wiernym niewolnikiem.

- Pod tym względem niczym nie różni się od mamy.

Lorenzo uśmiechnął się z zażenowaniem. Rzeczywiście czuł niezwykły sentyment do córki. Można powiedzieć, że owinęła go sobie wokół paluszka.

- Nic na to nie poradzę. Jest taka piękna.

Kathryn westchnęła z zadowoleniem. Lorenzo już w niczym nie przypominał człowieka, którego kiedyś znała. Zawsze wesoły, gotów do zabawy, z głową pełną pomysłów i różnych opowieści - zupełnie tak samo jak w czasach dzieciństwa. Odzyskała Dickona. Jej mąż łączył w sobie cechy Dickona i Lorenza - zapał i doświadczenie, miłość i odwagę. Był człowiekiem, którego mogła kochać i darzyć zaufaniem. Zapewniał jej opiekę i podporę w życiu.

- Możemy mówić o prawdziwym szczęściu - odezwała się. - Mamy siebie, wspaniałe dzieci...

- Bóg nam pobłogosławił - przytaknął Lorenzo. - Kie-

dyś nie wierzyłem w potęgę modlitwy, ale teraz wiem, że bardzo się myliłem.

Kathryn wyciągnęła do niego rękę. Pogładziła stare, poszarpane blizny, które miał na nadgarstkach. Lorenzo już od dawna nie nosił skórzanych opasek. Nie ukrywał przed światem żadnej tajemnicy. Odepchnął od siebie demony przeszłości.

- Kocham cię - powiedziała Kathryn.

- Ja też cię kocham - odparł.

Uniósł głowę i uśmiechnął się na widok ojca, który właśnie w tej chwili wszedł na dziedziniec.

- Mam wszystko, o czym człowiek może tylko marzyć.

koniec